

**KILJAN KAZIMIERZ**

**BUKIET CHĄBRÓW**



*Cała mądrość życia w tej jednej  
mieści się prawdzie  
— czekać i mieć nadzieję...*

Aleksander Dumas

Było wczesne przedpołudnie. Justyna stała przy oknie swojego mieszkania i wpatrując się w wirujące na wietrze płaty śniegu, zastanawiała się, jak spędzić ten ostatni dzień roku.

Spojrzała w dół na wyludnioną ulicę i stojące wzdłuż chodnika samochody przykryte grubą kołdrą białego puchu. W zasięgu wzroku nie było najmniejszych oznak życia. Jaki ten świat jest piękny, pomyślała z zachwytem.

W tym samym momencie, niczym na zamówienie, zza chmur wyjrzało słońce i roziskrzyło srebrzyste kryształki śniegu, sprawiając, że sceneria za oknem nabrała prawdziwie baśniowej krasy. Kobieta uśmiechnęła się bezwiednie do siebie i na chwilę opuściło ją uczucie nostalgii, jakie towarzyszyło jej od wczesnego poranka. Ciągle biła się z myślami. Rozważała, co ma zrobić. Na co się zdecydować? Jak spędzić dzisiejszą noc?

Jeszcze przed chwilą sądziła, że zostanie w domu, że cały wieczór przesiedzi przed telewizorem, a o północy wypije lampkę szampana, po czym pójdzie spać. Tak jak to już wiele razy bywało. Teraz jednak zaczęła dopuszczać do siebie myśl o ewentualnym wyjściu z domu. Sprawiał to zapewne ten ujmujący widok za oknem, przypominający lata dzieciństwa, pełne radości i bez troski.

Podświadomość podpowiadała jej, że taką noc powinna spędzić w jakiś szczególny sposób. Jeśli nawet nie na sylwestrowym balu i szalonej zabawie, to przynajmniej w gronie znajomych lub przyjaciół. Podświadomość kusiała Justynę także czym innym. Nadzieją na wyjaśnienie tajemniczego zdarzenia, jakie miało miejsce w Wigilię Bożego Narodzenia.

Tego dnia przyszła do pracy jako pierwsza, o czym zakomunikował jej stojący przy wejściu strażnik.

— No, pani Justyno, pani to zasługuje na prawdziwe uznanie — wyznał z przekonującą szczerością, wręczając jej klucze do pracowni. — Zawsze o czasie, a dzisiaj to już szczególnie.

Justyna zjawiała się w firmie nieco wcześniej. Miała coś pilnego do załatwienia, co musiało wyjść z biura jeszcze przed świąteczną przerwą. Zwłaszcza że w tym roku trwała ona aż cztery dni.

Kiedy podeszła do swojego biurka, ujrzała intrygujący przedmiot. Pośrodku blatu leżał niewielki pakiecik, owinięty w krwiście czerwony papier, przepasany złotą

wstążką. Zaskoczona rozejrzała się po sali w nadziei, że znajdzie sprawcę tej niespodzianki. Niestety, nikogo w pobliżu nie było. Wzięła tajemniczy przedmiot do ręki i dopiero wówczas dostrzegła okolicznościowy blankiet opatrzony intrygującym zwrotem: *For You*.

Przez chwilę zastanawiała się, czy ten souvenir jest rzeczywiście dla niej, czy przypadkiem ktoś się nie pomylił. Zwłaszcza że napis na wizytówce niczego nie wyjaśniał.

W końcu uznała, że skoro prezent znalazł się na jej biurku, to ma przynajmniej prawo rozpakować go i być może w ten sposób rozwiązać wątpliwości.

Niestety, w środku także nie znalazła żadnych wskazówek. Odkryła natomiast coś, co zaparło jej dech w piersi. Wewnątrz znajdowało się stare, niezwykle piękne pod względem edytorskim, bogato ilustrowane rycinami i zapewne bardzo cenne wydanie *Opowieści wigilijnej* Karola Dickensa.

— Boże, jakie to cudowne — wykrzyknęła z zachwytem, już szeptem zapytała samą siebie: — To jest dla mnie? Nie, chyba niemożliwe.

Ale to było ze wszech miar możliwe. Jeśli już ktoś w firmie miałby otrzymać taki prezent, to z pewnością mogła to być tylko Justyna.

Wszyscy znali jej zamiłowania, graniczące wręcz z obsesją, do starych wydawnictw. Szczególnie takich, które — jak zwykła mawiać — mają swoją duszę. Kochała

stare książki, noszące ślady czasu, z pożółkłymi kartkami, jakże często postrzępionymi przez niesfornych czytelników. Miała ich sporą kolekcję i była z niej bardzo dumna. Większość woluminów odziedziczyła po ojcu, który gromadził książki przez całe swoje życie.

Jej najnowszy eksponat, z pewnością biały kruk, leżał teraz na mahoniowej ławie, obok starej mosiężnej lampy z jasnozielonym abażurem i cieszył oczy Justyny. Jego widok sprawiał, że od kilku dni o niczym innym nie myślała, jak tylko o tym, kto jej go ofiarował. Analizowała, kim mógł być ów tajemniczy darczyńca. Ale nikt nie przychodził jej do głowy.

Nie udało się tego ustalić w Wigilię, choć przeprowadziła dyskretne śledztwo. Trud był jednak daremny. To między innymi dlatego Justyna rozważała teraz możliwość pójścia na spotkanie sylwestrowe organizowane przez kierownictwo firmy, na którym będzie wiele osób — kontrahentów, współpracowników i przyjaciół. Istniało duże prawdopodobieństwo, że wśród nich może znaleźć się nieujawniony dotąd ofiarodawca.

Długo jeszcze biła się z myślami. Kilkakrotnie zmieniała decyzję. W końcu postanowiła, że pójdzie na to sylwestrowe spotkanie. Przekonała ją do tego, a może raczej zmusiła serdeczna przyjaciółka — Agata, która także nie wiedziała, co ze sobą począć tego szczególnego wieczora.

— Justynko, kochanie, nie rób mi tego — prosiła, telefonując po raz setny. — Pójdziemy razem, będzie nam rażniej. Posiedzimy, pogawędzimy, a może nawet potańczymy. Czy nam się już nic od życia nie należy? Zobaczysz, będzie fajnie.

— No dobrze. Niech cię... Ty to potrafisz człowieka do wszystkiego namówić.

Agata była jej rówieśnicą. Miała trzydzieści cztery lata i znały się od bardzo dawna. Chodziły razem do ogólniaka, a po maturze wybrały tę samą uczelnię i artystyczny

kierunek — architekturę. Po studiach ich drogi się rozeszły, straciły siebie z oczu na jakiś czas, by trzy lata temu spotkać się ponownie. To Justyna załatwiła jej pracę w swojej firmie, zajmującej się kompleksową obsługą projektową przedsięwzięć inwestycyjnych. Odtąd widywały się każdego dnia.

Justyna kierowała pracownią specjalizującą się, najkrócej mówiąc, w aranżacji wnętrz. Była w tym dobra. Miała znakomitą opinię nie tylko w środowisku wrocławskim. Jej projekty sprzedawały się jak cytrusy w czasach socjalistycznego niedostatku. Swoimi koncepcjami wyraźnie wyprzedzała epokę.

Obok wieloletniej przyjaźni łączyło je, o ile można tak powiedzieć, coś jeszcze — problemy osobiste. Obie miały życiowego pecha. Straciły mężów w niemal identyczny sposób. Ich frajerzy znaleźli sobie nowsze modele.

Decyzja o pójściu na imprezę sylwestrową, choćby to nawet było na poły zawodowe spotkanie, to dla kobiety nie lada wyzwanie. Towarzyszy temu odwieczny problem. W co się ubrać? Choć w tym przypadku można by znaleźć jakieś usprawiedliwienie. Inaczej jest, kiedy takie wyjście planowane jest od tygodni, a już zupełnie szalone, kiedy ma ono spontaniczny charakter.

Ja ją zamorduję! — pomstowała Justyna, przewalając sterty ciuchów. — Cholera jasna, przecież ja nie mam co na siebie włożyć. Nie będę się przecież ośmieszać. Która



to godzina? — spojrzała nerwowo na zegarek z nadzieją, że może zdąży jeszcze coś kupić.

Niestety, na to było już za późno. Musiała więc skoncentrować się wyłącznie na tym, co kryły jej antyczne szafy. Przez dobrą godzinę w powietrzu fruwały kolorowe sukienki, tuniki, bluzki, sweterki... Wszystko ostatecznie lądowało na sofie, tworząc górę sięgającą sufitu.

Wkurzona nie na żarty postanowiła zawiadomić Agatę, że — niestety — dzisiejszy wieczór spędzi jednak w domu.

— Wybacz mi moja droga. Miałam szczerą chęć, ale ja nie mam się w co ubrać — wykrzyczała do słuchawki, licząc na to, że przyjaciółka da jej spokój. — Na sylwestra nie idzie się w byle czym, to nie biznesowy raut, choćby był najbardziej wykwinny. Tym razem nasz Invest Projekt będzie musiał obejść się beze mnie.

Przez chwilę na łączach zapanowała zupełna cisza. Wyglądało na to, że zaskoczona potokiem słów przyjaciółka nie może znaleźć stosownych argumentów. Miała ogromną ochotę pójść na to spotkanie, tymczasem, niemal w ostatniej chwili, jej plany brały w łeb.

— Spokojnie, Justyna, nie szalej — uspokajała przyjaciółkę, a po chwili podjęła jeszcze jedną próbę przekonania jej do swoich planów. — Jak to nie masz się w co ubrać? Przecież ty masz w domu istny butik. Mogłabyś ubrać wszystkie baby z naszej firmy, a i tak zostałyby jeszcze coś dla ciebie. — Teraz ona nie pozwalała

dojść Justynie do słowa. — Nie wiem, czy pamiętasz... — kontynuowała ze stoickim spokojem swoją mowę obronną — że nasze dzisiejsze spotkanie zostało ściśle dookreślone, jeśli chodzi o garderobę. Panie mają być ubrane na czerwono... lekko, cocktailowo — zakończyła z wyraźnym naciskiem.

— Aaa, o tym rzeczywiście zapomniałam — przyznała Justyna z dającym się wyczuć zażenowaniem. W tych kilku słowach można było wychwycić nutkę ulgi, wskazującą na to, że tak naprawdę Justyna także chciała pójść na to spotkanie. — Mówisz na czerwono? — dodała po chwili.

— Tak, kochanie, na czerwono — Agata natychmiast podchwyciła jej optymistyczny ton, chcąc ułatwić przyjaciółce podjęcie właściwej decyzji. — Do tego mogą być jakieś gustowne dodatki, ale komu ja to mówię. Przecież jesteś w tym niedościgniona.

— Ooo, dziękuję ci — Justyna wyraźnie zmierzała do zakończenia rozmowy. — Wobec tego, jak się umawiamy? Gdzie się spotkamy?

— Całość zaczyna się o dwudziestej. To może już na miejscu?

— Dobrze, spotkamy się na miejscu.

Pięknie wystrojoną salę na dwunastym piętrze wypełniał już spory tłum gości. Wszyscy witali się, pozdrawiali i zajmowali miejsca przy stolikach. Część osób zatrzymywała się na parkiecie, by jeszcze przez chwilę porozmawiać o sobie tylko znanych sprawach. Zapewne biznesowych.

Z każdą minutą wewnątrz sali stawało się bardziej czerwone. Sprawiały to kobiece kreacje, które mieniły się odcieniami karminu, wiśni, maliny, koralu, szkarłatu czy rubinu. Były to najprzeróżniejsze zestawienia, zarówno jedno-, jak i dwuczęściowe, podkreślone efektownymi dodatkami. Szkarłatny blask bijący od dam tonowali panowie w nienaganych garniturach w zdecydowanie ciemnych barwach i śnieżnobiałych koszulach zwieńczonych jedwabnymi krawatami bądź klasycznymi muszkami.

Agata z niecierpliwością spoglądała w kierunku drzwi wejściowych, oczekując na pojawienie się przyjaciółki. Wprawdzie było zaledwie kilka minut po dwudziestej, ale była nieco podenerwowana. Obawiała się, czy Justyna przypadkiem nie zmieniła zdania i ostatecznie nie postanowiła zostać w domu.

Na szczęście nie. Niemal w tym samym momencie w drzwiach pojawiła się urocza pani architekt. Wyglądała wprost oszałamiająco. Miała na sobie długą do kostek sukienkę z żorzęty koloru żywej krwi, lejącą się wzdłuż ciała, która wręcz perwersyjnie podkreślała jej smukłą sylwetkę. Góra, na ramiączkach, ukazywała większe partie oliwkowej skóry, przenikającej przez muślinowy szal spoczywający na ramionach. Jej długie do ramion krucze i bujne włosy, upięte teraz fantazyjnie ku górze, uwydatniały łabędzią szyję — sprawiając, że większość oczu skierowanych było właśnie na nią. Tymczasem ona, pobrzękując bransoletami, kroczyła dumnie przez środek parkietu w kierunku wybiegającej naprzeciw Agaty.

Wyglądała niczym Sandra Bullock w filmie *Miss Agent*, grająca rolę agentki FBI wcielającej się w konkursową piękność. Podobnie jak teraz Justyna, Sandra Bullock w finale wyborów miss piękności wyszła na scenę w oszałamiającej sukience, tyle że różowej.

— Ale masz wejście! Widziałas te gały? Wyglądasz świetnie!

— Daj spokój. Ale dziękuję za dobre słowo. Gdzie siedzimy? — zapytała, dostrzegając twarze zwrócone w jej kierunku. Poczowała zakłopotanie, ale nie dała tego po sobie poznać.

— Nasz stolik jest obok szefostwa. Chodź, poprowadzę cię.

— Kto siedzi z nami? — Justyna dopytywała z zaciekawieniem.

— Jest parę osób z naszej firmy i kilku nieznajomych, zapewne kooperantów. Nawet niczego sobie — dodała Agata z nutką ekscytacji w głosie.

Kto i z jakiego powodu siedział przy tym czy innym stoliku, wiedzieli jedynie organizatorzy spotkania. Czy rozdzielając miejsca, kierowali się jakimś kluczem, trudno powiedzieć. Zapewne tak, choć dla wszystkich była to jedna wielka niespodzianka, która w jakimś sensie podnosiła napięcie już na samym początku imprezy.

Tego wieczora czekało uczestników więcej podobnych atrakcji, w tym wybór najpiękniejszej damy czy night mistera. Zostaną również wręczone nagrody roczne, czemu towarzyszą zwykle duże emocje. Są to niezwykle prestiżowe wyróżnienia, wysoko cenione w środowisku zawodowym. Nie bez znaczenia jest również to, że łączą się one ze znaczącymi gratyfikacjami finansowymi. Tego typu nagrodę w roku ubiegłym otrzymała Justyna.

Kwadrans po dwudziestej zadźwięczał kryształowy dzwonek, ucichł gwar i głos zabrał prezes firmy — Dietrich Schultz, który przybył na to spotkanie z Berlina. Mimo że obiecał nie wygłaszać długiego przemówienia, to podsumowanie mijającego roku i ocena wyników działalności firmy okazały się dość męczące. Czas jego prezentacji wydłużało dodatkowo tłumaczenie z niemieckiego. Po nim wystąpili jeszcze inni mówcy, zaproszeni goście, kontrahenci... a więc obie panie miały sporo czasu, aby przyjrzeć się osobom zasiadającym w ich najbliższym otoczeniu.

Połowa z nich to pracownicy firmy, których znały mniej lub bardziej. Pozostali to zapewne osoby reprezentujące jednostki współpracujące z nimi przy realizacji szeregu przedsięwzięć.

Agata i Justyna co pewien czas pochylały się ku sobie i szeptały tajemniczo, za każdym razem kwitując swoje zachowanie pełnymi powagi spojrzeniami, które miały zapewne ukryć frywolność wymienianych poglądów.

— Znasz tego po prawej? — pytała szeptem Agata. — Tego w granatowym garniturze.

— Chyba tak, to — o ile dobrze pamiętam — specjalista od konstrukcji stalowych. Dokonywał w naszej pracowni kilku uzgodnień.

— Ten z naprzeciwka to niezłe ciacho... Jak znam życie, na pewno żonaty.

— Tego akurat nie znam. Ale daj spokój, bo chyba się czegoś domyśla — strofowała Agatę Justyna.

Wkrótce, po zakończeniu części oficjalnej i spełnieniu toastu, zaproponowano wzajemną prezentację. Osoby siedzące przy wspólnym stoliku wstawały i przedstawiały się kolejno. Odtąd wszystko było już jasne. No, może prawie wszystko. Autoprezentacja nie uwzględniała bowiem informacji dotyczących stanu cywilnego, co nadal niepokoiło Agatę, szczególnie w odniesieniu do siedzącego naprzeciwko Artura Bralczyka. Wyraźnie wpadł jej w oko.

Przy ich stoliku siedział również zaprzyjaźniony z nimi Leszek Kaliski, kolega z korporacji, który raz po raz posyłał w kierunku Justyny ciepłe uśmiechy. Nieszczęśnik nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ów gest jest przez nią odbierany. Tego rodzaju oznaki sympatii natychmiast czyniły go podejrzanym w sprawie „wigilijnego prezentu”.

Był jeszcze ktoś, kto już od pierwszych minut spotkania trafił na listę osób przewidzianych do inwigilacji. Ów podejrzanym siedział przy nieco bardziej oddalonym stoliku, nie na tyle jednak, by Justyna nie dostrzegła jego przenikliwych spojrzeń. W jego oczach było coś trudnego do określenia, co sprawiało, że Justyna chwilami czuła się nieswojo. Badawcze spojrzenia nieznanego wywoływały w niej sprzeczne uczucia — od zaciekawienia po lęk.

Był niezwykle eleganckim mężczyzną, o ciemnej karnacji, mogącym mieć około czterdziestu lat. Szczupły, o sportowej sylwetce, z bujnymi, czarnymi, dobrze przystrzyżonymi włosami.

— Aga, czy ty przypadkiem nie znasz tego faceta? — zapytała, pochylając się ku niej konspiracyjnie. — Tego tam... z błękitnym krawatem.

— Już wiem, widzę. Chyba nie. Nigdy go u nas nie widziałam. A dlaczego pytasz?

— Gapi się na mnie od samego początku, ale ja też go nie znam.

— To ciekawe. Rzeczywiście, spogląda w naszym kierunku. Jest niezły.

— Aga. Nie o to chodzi! Przecież ja tu nie przyszedłam na łowy.

— Słuchaj! A może to jest ten twój tajemniczy wielbiciel? No wiesz, ten od książki. Jeśli tak, to nie byłoby tak źle. Nie sądzisz?

— Przestań. Jak możesz! Ten prezent to oczywiście miła rzecz, ale kto daje tak kosztowne rzeczy nieznajomym bezinteresownie.

— Noo, w sumie masz rację.

Spotkanie nabierało tempa. Po toastach i pierwszej konsumpcji rozpoczął się program artystyczny. Na początek odbył się krótki koncert kwartetu skrzypcowego, grającego repertuar Haydna. Po niewielkiej przerwie na



parkiecie pojawili się iluzjoniści, a po nich odbył się pokaz z wykorzystaniem żywego ognia.

Przez cały czas biesiadnicy prowadzili między sobą luźne rozmowy, których kanwą — na szczęście — nie były tematy zawodowe. Dyskutowano o filmie, aktorach i ploteczkach z życia ekscentrycznych gwiazd. Panie z przejęciem rozprawiły o trendach w modzie.

Agata okazała się prawdziwą duszą towarzystwa. Znakomicie wszystkich integrowała, podrzucając raz po raz nowy temat do wspólnych rozważań.

— Aga, nie masz ochoty rozprostować kości? — zaproponowała w pewnym momencie Justyna. — Mogłybyśmy przy okazji obejrzeć ekspozycję prac naszej firmy.

— Dobry pomysł. Będzie okazja pokazać się wszystkim w całej krasie — żartowała z właściwym sobie poczuciem humoru przyjaciółka. — Nie po to walczyłam przed lustrem pół dnia, żeby teraz siedzieć za stołem.

Agata była niezwykle uroczą i zgrabną kobietą, a dzisiaj wyglądała wprost wyjątkowo. Jej wiśniowa kreacja, z pięknym dekoltem, lekko przymarszczona w okolicy biustu, sięgająca kolan sprawiała, że wyglądała znacznie młodziej. Długie do ramion, proste włosy koloru dojrzałego zboża eksponowały jej duże niebieskie oczy.

Obie panie odbyły paradny marsz w kierunku holu, gdzie znajdowała się ekspozycja. Na miejscu było już

kilka osób, które najwyraźniej wpadły na ten sam pomysł. Z uznaniem rozmawiano na temat prezentowanych makiet, ukazujących wiele imponujących przedsięwzięć inwestycyjnych, których koncepcje powstały w pracowniach InvestProjektu. Były to różnego rodzaju budowle, kompleksy biurowo-biznesowe, osiedla mieszkalne, galerie handlowe i obiekty sportowo-rekreacyjne. Szczególnym zainteresowaniem pań cieszyła się makieta prezentująca architektoniczną wizję przystani jachtowej wraz z towarzyszącymi jej obiektami rekreacyjnymi.

W pewnym momencie dołączył do nich Leszek Kaliski.

— No i co? — usłyszały zza pleców jego głos. — Widzę, że wam się to podoba.

Panie odwróciły się jak na komendę, niczym nastolatki przyłapane na oglądaniu zakazanych zdjęć.

— Ooo... i ty się urwałeś? — pierwsza zareagowała Agata. — Co do makiety, to nie tylko nam się podoba, ale jesteśmy z tego wręcz dumne.

— I słusznie — odpowiedział Leszek. — To bardzo interesująca koncepcja i... mam w niej swój niewielki udział.

— Tak, tak, wiemy — włączyła się do rozmowy Justyna. — Pamiętamy spory o ten sławetny kominek w sali brydzowej. Za nic nie chciałeś go zaakceptować.

W tym momencie pojawił się kelner z tacą pełną kieliszków z białym i czerwonym winem. Wszyscy troje sięgnęli po czerwone, jakby się umówili.

— Jeśli chodzi o kominek... — powrócił do tematu Leszek — wam, artystom, wydaje się, że wszystko, co zmieści się na kartach szkicownika, jest fizycznie realne. Tymczasem w praktyce nie zawsze tak jest, nie mówiąc już o tym, czy zasadne i opłacalne.

— I tacy właśnie są inżynierowie — podjęła wątek Justyna. — Nie, bo... trzeba dodatkowo ruszyć głową, coś przeprojektować, dodać. Sam wiesz, że ostatecznie wszystko stało się możliwe.

— No, dobrze, dobrze. Masz trochę racji. W sumie wszystko da się zrobić, choć — jak wiesz — trzeba na to czasu, którego bardzo często nie mamy — łagodził ton niefortunnego sporu. — Teraz mam świetną okazję, aby przyznać ci się do czegoś. Otóż ten kominek to był naprawdę świetny pomysł. Mówię szczerze. Ostatecznie bardzo mi się podoba, przydaje temu miejscu szczególnego charakteru.

— Bardzo się cieszę. Nie wiedziałam, że się do tego przekonałeś. Jest w tym projekcie więcej tego typu rodzyneków, które przysparzają mi wiele satysfakcji. Czekam na dokończenie inwestycji, aby móc zobaczyć to w realu.

— Ja też — dodał Leszek. — Być może uda nam się kiedyś wypić tam wspólną kawę.

— Hola, hola — włączyła się do rozmowy Agata, chcąc tym samym przypomnieć o swoim istnieniu. — Jeszcze chwila, a ruszycie na budowę — żartowała. — Ja również włożyłam do tej koncepcji swoje co nieco i mam zamiar wprosić się na wspólną kawę.

— Bardzo przepraszam, nieopatrznie podsłuchałem państwa rozmowę, a że dotyczyła mojej inwestycji, nie mogłem oprzeć się pokusie, by jej nie wysłuchać do końca — włączył się do rozmowy nieznajomy mężczyzna, trzymając w ręku kieliszek białego wina. — Pozwólcie państwo, że się przedstawię — Łukasz Zarzycki. Jestem, jak już powiedziałem, inwestorem tego wspaniałego przedsięwzięcia.

Agata i Justyna spojrzały na siebie wielkimi oczami, jakby zobaczyły ducha dawno zmarłego przodka. Robiły wrażenie tak zaskoczonych, że można było oczekiwać, iż za chwilę wydadzą z siebie dzikie okrzyki. Powodem tego było nagłe pojawienie się mężczyzny, który przez cały wieczór przeszywał wzrokiem Justynę.

Na szczęście teraz, z bliska, wyglądał bardziej przyjaźnie. Był ze wszech miar przystojnym mężczyzną o sprężystej sylwetce, łagodnym spojrzeniu i nienaganych manierach. Przy tym ładnie się uśmiechał, eksponując swoje śnieżnobiałe uzębienie.

— Miło nam pana poznać — podjęła rozmowę Justyna. — Swoją drogą, ciekawa jestem, jak to się stało, że

pan realizuje to przedsięwzięcie. O ile pamiętam, projekt był robiony na zamówienie kogoś innego.

— Tak, to prawda — skinął uprzejmie głową. — Stało się tak na skutek wielu skomplikowanych zbiegów okoliczności, o których ewentualnie opowiem innym razem. Niemniej od początku ta koncepcja była przygotowywana dla mnie i z prawdziwą satysfakcją ją realizuję. Aaa, co do kawy, o której państwo mówiliście, tej przy kominku, będzie na państwa czekała jeszcze przed oficjalnym otwarciem ośrodka. Już dzisiaj na nią zapraszam.

— Kiedy zamierza pan zakończyć budowę? — zapytała Agata.

— Myślę, że pod koniec roku, który wkrótce przywitamy.

Był czarujący. Miał ujmujące spojrzenie. Kiedy patrzył, miało się wrażenie, że czyta w duszy, że zna myśli. Zniewalającym uśmiechem topił skrywany opór Justyny, która z każdą chwilą wyzbywała się uprzedzenia. Wypadał niezłe. Nie był natrętny i mówił tyle, ile należało. Wykorzystał też moment, by podejść bliżej Justyny i zaproponować mały toast we dwoje.

— Niech mi będzie wolno wyrazić w ten sposób moje uznanie dla tej koncepcji — powiedział zniżonym głosem, wskazując subtelnym skinieniem głowy na makietę. — Bardzo się cieszę, że przygotowała to właśnie pani. — W tym momencie ich kieliszki zadźwięczały delikatnym tonem.

— Czy to znaczy, że zależało panu na tym, abym zrobiła to właśnie ja? — zapytała po przełknięciu wytrawnego trunku.

— Mam nadzieję, że to nic złego? Tak, zależało mi na tym. Znam pani prace i niezwykle sobie cenię ich kunszt. Jest pani prawdziwą artystką w swoim zawodzie.

Po tych słowach sytuacja stała się dla Justyny nieco krępująca. Podziękowała za zawodowe uznanie i umiejętnie zmieniła temat, wciągając do rozmowy Leszka. Natomiast sama postanowiła pójść do toalety, aby poprawić makijaż. To stary jak świat sposób na wyplątanie się z niezręcznej sytuacji. Z okazji skorzystała również Agata, mając nadzieję na wymianę pierwszych wrażeń.

— No i co ty o tym wszystkim sądzisz? — zapytała, rozglądając się, czy w pobliżu nie ma wścibskich uszu.

— Ale o co pytasz? — Justyna udawała, że nie wie, o co jej chodzi. Pochylona w kierunku ogromnego lustra poprawiała konturówką usta.

— Wiadomo przecież, o tego Łukasza.

— No, co? Facet jak facet. — Bawiła się najwyraźniej z przyjaciółką w kotka i myszkę, ale w głowie miała istny mętlik. Sama nie wiedziała, co ma o nim sądzić.

— Jakie zrobił na tobie wrażenie? Bo jeśli chodzi o mnie, to bardzo dobre. Mówił coś więcej o sobie? Widziałam, że przez chwilę szeptałyście.

— Po pierwsze to nie były szept, a po drugie nic o sobie nie mówił, a ja go o nic nie pytałam. Jak ty to sobie wyobrażasz? — dodała nieco oburzona.

— Nie, no okay. Pewnie, że nie mogłaś. Zauważyłaś w jego głosie jakiś dziwny akcent? Wygląda to tak, jakby gość dłuższy czas spędził za granicą.

— Tak, też na to zwróciłam uwagę. Być może niedawno wrócił do kraju. To by wyjaśniało, dlaczego nikt go tu nie zna. Ktoś, kto buduje takie cacka, musi mieć niezłą kasę. Tacy są zwykle znani, przynajmniej w naszym środowisku. — Justyna otworzyła się ze swoimi wątpliwościami. — Tymczasem nikt o nim nic nie wie.

— Na to wygląda, ale co... — urwała w pół zdania, kiedy do toalety weszła rudowłosa piękność.

Wróciły do stolika, gdzie panowała już niemal swojska atmosfera. Wszyscy znali się tak, jakby chodzili ze sobą do tej samej klasy. Nieobecni, jak każe polska tradycja, musieli wypić karniaka, by w ten sposób dorównać humorem do pozostałych.

Z ich powrotu do stolika wyraźnie ucieszył się Artur Bralczyk, czego nie omieszkał oznajmić w dość ostentacyjny sposób.

Na niewielkiej scenie w rogu sali rozłożył się kwintet, który raczył wszystkich znanymi standardami jazzowymi. Na parkiecie pojawiły się pierwsze pary, inni zadowalali się jedynie słuchaniem.

Justyna wyłączyła się na chwilę z towarzyskiej fry-woli i rozmyślała o Łukaszu. Zastanawiała się, czy to on jest tym tajemniczym darczyńcą. Starła się jednak nie dopuszczać do siebie takiej myśli, choć wiele wskazywało na to, że to może być prawda.

— Justynko, *co* ci jest? — *zapytała* w pewnej chwili Agata. — Stałaś się nagle taka milcząca, nieobecna. Źle się czujesz?

— Masz rację. Nie czuję się najlepiej. Rozboliła mnie głowa, chyba po tych karniakach. Nie lubię mieszać alkoholi.

— Może weźmiesz tabletkę?

— Czy ja wiem?

Pół godziny później Justyna podjęła stanowczą decyzję, że idzie do domu. Tabletki nie pomogły, a do tego pojawiły się jeszcze dolegliwości żołądkowe. Przeprosiła Agatę i podziękowała wszystkim za miły wieczór.

Kiedy była już w holu, podbiegł do niej Łukasz, pytając z z troskaniem:

— Co się dzieje? Czy mogę pani jakoś pomóc?

— Nie, dziękuję. To nic takiego. Po prostu boli mnie głowa i moja dalsza obecność tu nie ma sensu.

— Szkoda, bardzo żałuję. Miałem nadzieję, że jeszcze porozmawiamy — nie krył rozczarowania.

— Może innym razem. Świat się przecież nie kończy na dzisiejszym wieczorze.



— Oczywiście... To może panią odwożę, wypilem zaledwie jedną lampkę wina. Proszę mi na to pozwolić.

W końcu Justyna uległa. Uznała, że nie ma w tym niczego takiego, co by stawiało ją w złym świetle. Mężczyzna podając jej pomocne ramię, zaprowadził do zaparkowanej nieopodal limuzyny i uchylił przed nią szeroko drzwi.

Noc była wyjątkowo piękna. Panował niewielki mróz, w przestrzeni szybowały z wolna wielkie płaty śniegu, które w świetle latarni wyglądały niczym baśniowe motyle.

Podczas jazdy rozmawiali na neutralne tematy, które w żaden sposób nie dotyczyły ich relacji. Kiedy dojechali pod właściwy adres, Łukasz zgrabnie wyśliznął się zza kierownicy, by otworzyć drzwi i pomóc wysiąść swojej pasażerce.

— Tu mieszkam, na pierwszym piętrze — zakomunikowała uprzejmie, gestem ręki wskazując na wysoką, kilkupiętrową kamienicę. — Jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc. Czuję się jednak dość niezręcznie, że przeze mnie przerwał pan sylwestrową zabawę.

— Proszę nie czynić sobie z tego powodu najmniejszych wyrzutów. To naprawdę drobiazg. Ogromnie się cieszę, że mogłem pomóc, a przede wszystkim poznać panią bliżej.

— Jeszcze raz dziękuję i proszę wracać na bal — dodała, wyciągając rękę na pożegnanie.

— Dobranoc. Poczekam chwilę, zanim nie zobaczę świateł w oknie. Będę spokojny, że dotarła pani bezpiecznie do domu.

Ból głowy i panujący w niej mętlik emocjonalny sprawiły, że Justyna nawet nie myślała o śnie. Zresztą do północy pozostała już tylko godzina i postanowiła przywitać nowy rok. Aby zagłuszyć skołatane myśli, włączyła telewizor. Na większości kanałów pokazywano imprezy sylwestrowe organizowane w plenerze. Ludzie, mimo śniegu i mrozu, bawili się znakomicie. Na scenie występowały znane gwiazdy krajowe i zagraniczne, co podnosiło ich atrakcyjność. "We Wrocławiu było podobnie. Na rynku odbywał się taki właśnie plenerowy sylwester, którego echa docierały teraz do mieszkania Justyny.

Zaparzyła sobie zielonej herbaty i usiadła w ulubionym fotelu. Na ławie obok leżała książka, która od kilku dni wywoływała w niej tyle emocji. Wzięła ją z namaszczeniem do ręki i gładząc czule okładkę, po raz pierwszy obejrzała ją z uwagą.

To był naprawdę piękny egzemplarz. Oprawiony w bordową skórzaną okładkę z tłoczonymi, pozłacanymi literami. Podobnie okazał się grzbiet książki, ozdobiony dodatkowo wytłoczonym pośrodku herbem drukarni. Otworzyła ją, aby nacieszyć oczy starym krojem czcionki, mnóstwem misternych obramówek, niezliczoną ilością graficznych zdobników, nie mówiąc już o drzeworytach. Na ostatnich stronach zamieszczono reklamy firm — pięknych pod względem graficznym — które zapewne sponsorowały wydanie tego tomu.

Przekartkowała ją po raz kolejny i w pewnym momencie mignęło jej przed oczami coś, czego dotąd nie dostrzegła. Przejrzała książkę jeszcze raz, tym razem wolniej, i trafiła na podłużny kartonik, coś w rodzaju zakładki. Od razu ogarnęło ją podniecenie. Co to jest? Może jakiś ślad?

Okazało się, że to jest wizytówka antykwariatu, w którym zapewne ten eksponat został nabyty. Ucieszyła się, ponieważ ta placówka była jej dobrze znana. Prowadził ją niezwykle człowiek, sędziwy staruszek — pan Karol. Odwiedzała go co pewien czas w poszukiwaniu interesujących ją książek. Zresztą lubiła tam chodzić nawet bez konkretnego celu, po to tylko, aby móc poczuć ten szczególny klimat wnętrza, zapach, jakim emanują starodruki. Bywało, że pan Karol zapraszał ją na starą sofę i pozwalał wertować, a nawet czytać książki, na które nie było jej stać. Ileż się nasłuchiwała niesamowitych

opowieści z czasów owianych gęstą mgłą tajemnic. Oboje darzyli siebie sympatią, a być może nawet przyjaźnią.

Staruszek był kochany, ale i bardzo tajemniczy. Wiedziała o nim tylko tyle, że swój antykwariat odziedziczył po przodkach, którzy prowadzili go w tym miejscu — jak mawiał — od zawsze. Dawniej przeważały w nim, ze względów historycznych, pozycje niemieckojęzyczne, niemniej zawsze, a teraz szczególnie, znajdowały się tam starodruki polskie.

Znalezienie tej wizytówki przysporzyło Justynie wiele pozytywnych emocji, także z innego powodu. Teraz miała nadzieję, że uda jej się ustalić, kto był nabywcą ofiarowanej jej *Opowieści wigilijnej*.

Takich ksiązek nie sprzedaje się byle komu. Wiedziała o tym doskonale. Znała zasady, jakimi kieruje się pan Karol. Nie oddałby tak cennej pozycji komuś, kto nie wzbudzałby jego zaufania. „Nie można pozwolić na to, — powtarzał — aby ostatnie, unikatowe wydania ksiązek poszły na zmarnowanie”.

Z tych nostalgicznych rozmyślań wyrwały ją niespodziewanie odgłosy wystrzeliwanych fajerwerków. W mieście witano nowy rok. Zewsząd słyhać było kanonady petard, a z przyległych mieszkań — strzelające szampany.

Przez chwilę Justyna poczuła się bardzo samotna, opuszczona. Jej oczy stały się szkliste. Szybko jednak

opanowała wzruszenie, nie pozwalając łzom zakreślić na policzkach śladów po niespełnionych marzeniach. Mam nadzieję, że ten rok będzie co najmniej taki jak miniony — westchnęła z nostalgią i z tą optymistyczną myślą postanowiła pójść spać.

Noc minęła bardzo szybko. Justyna obudziła się w znacznie lepszej formie. Wczorajsze dolegliwości ustąpiły, co zapowiadało dobry dzień.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że jej myśli koncentrują się wokół poznanego wczoraj Łukasza. Intuicja podpowiadała jej, że to właśnie on jest tym tajemniczym ofiarodawcą. Wiele na to wskazywało.

Zastanawiała się, co o nim sądzić. Jakim jest człowiekiem? Jakie mogą być jego zamiary wobec niej? Na odpowiedzi było za wcześnie. Znała go zbyt krótko, można powiedzieć — wcale. A na dodatek wywoływał w niej skrajne uczucia. Jednak w miarę bliższego poznania — zdecydowanie zyskiwał. Był niezwykle taktowny, momentami ujmujący. Potrafił cierpliwie słuchać i nie narzucać się ze swoją osobą, choć chwilami dawało się wyczuć w jego charakterze typowe dla mężczyzny zdecydowanie. Ważnym dla Justyny argumentem przemawiającym „za” był ów tajemniczy prezent. Ktoś, kto kupuje t a k i e upominki, nie może być prostakiem. Z tą konkluzją wyskoczyła z łóżka i zniknęła w łazience.

Przed południem zadzwoniła Agata.

— Witaj, kochanie. Wszystkiego najlepszego w nowym roku. Jak się czujesz?

— O, jak miło, że dzwonisz. Witaj, Agusiu. Ja również życzę ci samych dobrych dni w nowym roku. Pytasz, jak się czuję... Na szczęście dobrze. Nawet humor mi dopisuje. Powiedz, jak tam sylwester?

— Och... — westchnęła. — To nie na telefon. Ogólnie bardzo fajnie, ale muszę ci o wszystkim opowiedzieć osobiście. Jakie masz plany na dzisiaj? Może się spotkamy?

— Wiesz, to jest dobry pomysł. Zamierzałam pójść na spacer do parku. Mamy taką piękną zimę. Może umówimy się gdzieś w plenerze.

— Świetnie. Ubierzemy się ciepło i pospacerujemy. To nam dobrze zrobi. Wobec tego, gdzie i o której?

— Może o czternastej? Spotkajmy się na Świdnickiej, pod pomnikiem Chrobrego.

— Super. To jesteśmy umówione. Pa.

Justyna przyszła nieco wcześniej. Czekając na Agatę, zachwycała się urokiem zimy. Park przy Podwalu przypominał jej obrazki z dzieciństwa, z czasów kiedy mieszkała na obrzeżach niewielkiego miasta. Drzewa przykryte puszystymi czapami śniegu, ławki drzemiące pod grubą kołdrą białego puchu, dziewicze alejki nietknięte ludzką stopą...

Zima potrafi być naprawdę piękna — zachwycała się w myślach, patrząc na roztaczający się przed nią widok. Nawet w centrum tak dużego miasta jak

Wrocław. Szkoda, że niewielu ludzi to dostrzega. Zabiegani, uwikłani w wir codzienności nie potrafimy patrzeć na otaczający nas świat. Tymczasem piękno jest tak blisko, tuż obok.

Z tych refleksyjnych rozmyślań wyrwała ją Agata, która podeszła, a raczej podkradła się najciszej jak potrafiła.

— Puch! — wypaliła za jej plecami, naśladując strzał myśliwskiej dubeltówki. — O czym tak dumasz?

— Niech cię! Zgłupiałaś? Aleś mnie przestraszyła.

— Spokojnie, to tylko ja, twoja najlepsza przyjaciółka — żartowała jak zawsze, kiedy miała dobry humor. — Dawaj buziaka w ten nowy rok.

— Noo, Aga... Dawno cię takiej nie widziałam. — Dziewczyny wymieniły się całusami. — To musiała być naprawdę wyjątkowa noc. Wprost promieniejesz.

— To była cudowna noc. Bawiłam się wspaniale. Domyślasz się z kim?

— Nie, nie mam pojęcia. Choć zanim jeszcze wyszłam, dostrzegałam, że coś się zaczynało dziać pomiędzy tobą a Arturem... Bralczykiem, o ile dobrze pamiętam.

— Noo, ty to jesteś. Niczym jasnowidz — wyrzuciła z siebie rozbawiona. — Skąd wiesz? Zapewne dzwonił do ciebie Leszek.

— Nie, skąd, jaki tam Leszek. Domyśliłam się. To przecież było tak widoczne.

— Nie wygłupiaj się... Ośmieszyłam się, co? Ale, niech tam. Jeśli nawet, to warto było. To świetny facet.



— I co, nie jest żonaty? — zapytała żartobliwie. — Pamiętam, jak prorokowałaś na początku spotkania.

— Wyobraź sobie, że nie. Choć nie do końca — dodała, zniżając nieco głos. — Życiorys ma pod tym względem podobny do naszego.

— No tak. Można się było tego spodziewać. Kto w tym wieku i z taką aparycją jest jeszcze kawalerem?

Spacerując alejkami parku, dziewczyny rozmawiały o zdarzeniach minionej nocy. Agata opowiedziała przyjaciółce o wszystkich ważnych epizodach sylwestrowego spotkania, o laureatach dorocznych nagród, wyborze najpiękniejszej pani i mistera, o parkietowych podbojach...

Okazało się, że to właśnie taniec zbliżył ją z Arturem. Nowo poznany przyjaciel znakomicie czuł się na parkiecie. Łatwo więc urzekł Agatę, która także uwielbiała taniec. I w ten sposób, od fokstrota przez rumbę po walca, poznawali się coraz lepiej. Tych kilka godzin sprawiło, że zaprzyjaźnili się na tyle, by umówić się na spotkanie w innej niż sylwestrowa rzeczywistości.

— To brzmi jak prawdziwa bajka. — Justyna podsumowała emocjonalne wyznania swojej przyjaciółki. — Cieszę się, że jesteś taka radosna.

— Dziękuję. A teraz opowiedz mi, jak potoczyło się twoje śledztwo, co się wydarzyło po wyjściu? Widziałam, jak Łukasz wybiegł za tobą niczym księżę i przez dłuższy czas nie wracał.

— Tak, rzeczywiście... Do tego uparł się, aby mnie odwiedzić do domu. Był tak nieustępliwy, że w końcu uległam.

— I co ? — dopytywała konspiracyjnie. — Mów szybko.

— Jak to co? Nic. Odwiózł mnie pod bramę, poczekał, aż wejść na górę, i odjechał. Chyba wrócił na bal.

— Tylko tyle? Nie umówiliście się? — pytała wyraźnie rozczarowana. — Nie wziął telefonu?

— Oczywiście, że nie. Przecież ja go praktycznie nie znam. Nic o nim nie wiem, poza tym, że buduje przystań według naszego projektu.

— Szkoda. Myślałam, że coś się w końcu wyjaśni. Bo, wiesz... Kiedy wrócił, był wyraźnie odmieniony, powiedziałabym rozczarowany. Jego twarz nie była już tak pogodna jak wcześniej. Zatańczył raz czy dwa, z jakąś przypadkową — jak mi się wydaje — kobietą, po czym straciłam go z oczu. O ile pamiętam, zniknął zaraz po toście noworocznym.

— Hm, ciekawy facet — dodała półgłosem Justyna. — Nic wiem, co o nim sądzić.

Po dwugodzinnym spacerze Justyna, nieco przemarznięta, wróciła do swojego mieszkania. Przyrzędziła małe co nieco, aby zaspokoić pojawiający się głód, i postanowiła odrobić zaległości zarwanej nocy. Uwielbiała popołudniowe drzemki. Często wślizgiwała się pod gruby wełniany koc i oddawała we władanie Morfeusza. Zawsze twierdziła, że wypoczynek, a w szczególności sen, dobrze służy urodzie. Teraz mogła sobie na to pozwolić, ponieważ czekał ją jeszcze jeden dzień wolny od pracy — niedziela.

Było zapewne bardzo późno, na co wskazywały zarówno ciemność, jak i wyludnione ulice. Justyna zbliżała się do rynku od strony Oławskiej. W świetle ulicy majaczył fragment Ratusza skąpanego w gęstej mgle. Coraz bardziej przerażona przyspieszyła kroku. Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że ktoś za nią idzie. Oglądała

się kilka razy z uczuciem narastającego strachu, ale nikogo nie dostrzegła.

Dotarła wreszcie do rynku, po którym kręciło się zaledwie kilka osób. Przeszła wzdłuż południowej pierzei, obok pomnika Fredry, aby następnie skręcić — po przekątnej — w kierunku ulicy Świętego Mikołaja. Tam mieszkała. Mijając fontannę, zatrzymała się na moment, aby po raz kolejny upewnić się, czy rzeczywiście ktoś za nią idzie. Niestety i tym razem nikogo nie zauważyła, choć intuicja podpowiadała jej coś innego.

Kiedy skręciła w swoją ulicę, czuła już spore zmęczenie. Na dodatek było tu znacznie ciemniej niż na rynku. Narastający strach sprawiał, że oddychała z coraz większym trudem, zaczynało brakować jej tchu. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

Zatrzymała się, by złapać oddech. Odwróciła się i ku swojemu przerażeniu ujrzała wychodzącego zza rogu mężczyznę w długim ciemnym płaszczu. Zamarła w bezruchu. A jednak miałam rację, pomyślała. Dzieląca ich odległość nie pozwoliła dostrzec żadnych szczegółów. W świetle ulicy majaczyła jedynie jego czarna sylwetka.

Tajemniczy prześladowca zatrzymał się i zdawał się obserwować dalsze zachowanie swojej ofiary. Na całej długości ulicy nie było żywej duszy. Centrum miasta, cholera, a znikąd pomocy — ironizowała z przerażeniem.

Była zdana wyłącznie na siebie. Zebrała się w sobie i ze zdwojoną energią ruszyła w kierunku domu, od którego dzieliła ją już tylko jedna przecznica. Znowu spojrzała za siebie. Intruz nadal szedł za nią. Najwyraźniej także przyspieszył kroku. Jeszcze troszeczkę, kilkanaście metrów, dodawała sobie otuchy. Muszę wytrzymać.

Kiedy dopadła wreszcie drzwi upragnionej klatki schodowej... przebudziła się przerażona. Usiadła na łóżku, roztrzęsiona, ciężko dysząc.

Początkowo nie rozumiała, co się z nią dzieje. Gdzie się znajduje? Dopiero po chwili odzyskała pełną świadomość. Poczowała ulgę, że jest w domu, na swojej kanapie, że... to tylko sen. Jezu, co to było? — szeptała zatrwożona. Skąd taki sen? Co miałby oznaczać?

Justyna bardzo się przejęła. Długo jeszcze siedziała na kanapie w zupełnym bezruchu, analizując senne mary. Była przekonana, że to jest jakieś ostrzeżenie. Bywało już tak w przeszłości, że jej sny — mniej lub bardziej dramatyczne — zapowiadały jakieś zdarzenia. Próbowала je teraz zracjonalizować, wysnuć sensowne wnioski.

Poddała gruntownej analizie ostatnie dni, które były wyjątkowe. Obfitowały w wiele wydarzeń. W jej życiu pojawiło się sporo nowych zaskakujących sytuacji, niespodzianek, ludzi...

Postanowiła zadzwonić do przyjaciółki i opowiedzieć jej o swoim śnie. Miała nadzieję, że rozmowa z Agatą podesunie jej jakąś myśl.

— Powiedz mi Aguś, czy tobie nie przydarzyło się ostatnio coś niepokojącego, na co być może nie zwróciłaś uwagi — pytała z troską.  
— To mógł być drobiazg, epizod, jakaś niezręczność, coś, co mogłaś sobie natychmiast zracjonalizować.

— Martwisz mnie, kochanie, takimi pytaniami. Zastanawiam się... Ale chyba nie... Nic mi nie przychodzi do głowy.

— Przepraszam, jeśli cię zaniepokoiłam. Wolę zapytać. Jakże często nie zwracamy uwagi na drobiazgi, które bywają swego rodzaju ostrzeżeniem. Jeśli ci się coś przypomni, to zadzwoń. Pa... i bądź ostrożna.

Noc minęła spokojnie. Ponury sen już się nie powtórzył. Justyna wróciła jeszcze raz myślami do sennych przeżyć, tłumacząc sobie, że to skutek posylwestrowego przemęczenia. Do głowy jej nie przyszło, że mogły być ostrzeżeniem dla niej samej.

Resztkę czarnych myśli pochłonęła poranna gimnastyka, którą uprawiała z dużą konsekwencją. Należała do osób dbających o sylwetkę, a efekty tych starań były wprost imponujące. Jej smukłe, zgrabne ciało budziło podziw nie tylko wśród mężczyzn. Uprawiała również jogging, kiedy tylko pozwalał jej na to czas i pogoda. Zimą raczej tego nie robiła. Nie znajdowała w sobie aż tak dużej determinacji.

Dawniej biegała także sportowo. W czasach szkoły średniej, kiedy uczyła się w lubańskim liceum, uczestniczyła

w wielu zawodach lekkoatletycznych. Odnosiła nawet pewne sukcesy. Ale to stare czasy.

Niedzielny poranek upłynął jej na przeglądaniu zaległej prasy, głównie fachowej. Próbowła czytać, ale najwidoczniej nie miała do tego nastroju.

Postanowiła znaleźć miejsce na półce dla swojej nowej książki. Jej eklektyczna biblioteczka była już prawie pełna, niemniej dla takiego eksponatu musiało się coś znaleźć. Ostatecznie ulokowała ją pomiędzy nieco nowszymi wydaniem, w centralnej części witryny. Stojąc w pewnej odległości, patrzyła na swój zbiór z przepelniającą ją satysfakcją.

Pomyślała o antykwariacie i jego właścicielu. Na myśl, że wkrótce odwiedzi pana Karola, szczerze się uradowała.

W momencie gdy zamierzała domknąć drugie skrzydło kryształowych drzwiczek witryny, jej wzrok padł na bruliony pamiętników. Nie przeglądała ich od lat, niemal zapomniała o ich istnieniu. Teraz jednak poczuła nieodpartą ochotę, aby do nich zajrzeć. Być może podświadomym tego powodem był przełom roku, kiedy to zwykle się czynić różnego rodzaju podsumowania, podejmować jakieś zobowiązania. Nie wiadomo. Faktem jest, że owładnęło nią pragnienie przeniesienia się w czasie — do lat młodości.

Ileż w nich życiowych zdarzeń, sytuacji, które miały moimi uczuciami, ile rozterek, rozczarowań, śladów

łez... ale i radości — wspominała z nostalgią, wertując kartki swoich pamiętników. O, choćby takich jak te...

Zeszyty pisane były dziewczęcą dłonią i ozdabiane kolorowymi rysunkami kwiatów.

*12 maja*

*Dzisiaj, kiedy wracałam ze szkoły, spotkałam Marcina. Czekał na mnie na rogu Spółdzielczej. Zauważyłam go z daleka, będąc jeszcze na ulicy Bankowej. Na jego widok nogi zrobiły mi się jak z waty, a serce zaczęło bić mocniej. Tak długo się nie widzieliśmy. Naprędce wymyśliłam pretekst, aby pozbyć się Bożeny, żebyśmy mogli spotkać się sami. Bez przyzwoitki.*

*Był taki szarmancki... Wziął moją torbę z książkami i poszliśmy do baraku na Wąskiej, gdzie podają nasz ulubiony sok z marchwi. Siedzieliśmy przy stoliku, a on opowiadał o swoim pobycie we Wrocławiu, o badaniach lekarskich, jakie musiał przejść, o tym jak bardzo tęsknił za mną.*

*Mogłabym go słuchać godzinami — jak głupia — wpatrzona w jego duże brązowe oczy. W pewnym momencie wziął mnie za rękę i uśmiechając się słodko, zapytał o to, kiedy się znowu zobaczymy...*

Ach... do dzisiaj pamiętam ten cudowny dreszcz, westchnęła z rozrzewnieniem, unosząc wzrok znad pamiętnika. To był piękny czas.



Spotykali się coraz częściej. Doszło w końcu do tego, że codziennie. Byli młodzi, pełni wiary w siłę uczuć, które miały pokonać każdą przeszkodę. Ta licealna miłość była naprawdę piękna i zbliżała ich do siebie coraz bardziej.

*24 lipca*

*Dzisiejsze spotkanie pozostanie na długo w mojej pamięci. Rano pojechaliśmy rowerami nad jezioro Czocho. Na „dzikiej plaży” spędziliśmy cały dzień. Było cudownie. Nagadaliśmy się za wszystkie czasy. Wracając do domu, zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Marcin zerwał na łące bukiet moich ulubionych chabrów i klęcząc przede mną, poprosił o rękę. Był taki zabawny. Kiedy się podniósł, nasze twarze znalazły się blisko siebie, tak blisko, że poczułam jego gorący oddech na policzkach. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy... Inaczej niż dotychczas, głęboko i tkliwie. W końcu Marcin zdecydował się. Pocałował mnie. Po raz pierwszy odkąd jesteśmy razem! To było cudowne uczucie. Zakręciło mi się w głowie... Na ten moment czekałam od dawna.*

Odłożyła na chwilę zeszyt i znowu przeniosła się myślami do lat młodości. To był nasz pierwszy raz... pierwszy pocałunek. Piękny i niewinny.

Kolejne dni, miesiące upływały im na codziennych szkolnych obowiązkach i popołudniowych spotkaniach. Po pewnym czasie Marcin zaczął przychodzić do jej domu. Rodzice akceptowali go bez większych przeszkód. Zresztą on na wszystkich robił dobre wrażenie. Był taki dobrze ułożony, jak mawiała mama *Justyny*.

W pokoiku na piętrze doszło do jeszcze jednego, ważnego w ich życiu wydarzenia. Pewnego wieczoru, kiedy rodzice poszli do znajomych i na parę godzin zostali w domu sami, powiedziała swojemu ukochanemu TAK. Tę chwilę zachowam w pamięci na zawsze, rozmyślała z tkliwością. Pamiętam, że to był 15 listopada — z uwagą wertowała kartki. O, jest:

*15 listopada*

*Nie wiem, co o tym wszystkim napisać. Dzisiaj zrobiliśmy to, o czym marzyliśmy od dawna, co odkładaliśmy na lepszy moment. Czy to był właśnie ten moment? Sądzę, że tak. Zgodziłam się, bo chciałam ofiarować Marcinowi to, co miałam najcenniejszego.*

*Bałam się, ale on był taki czuły i delikatny. Teraz, gdy jestem już sama, pojawiają się wątpliwości natury moralnej.*

*Ale co tam. Nie żałuję tego. Zresztą moje koleżanki zrobiły to znacznie wcześniej ode mnie. PS*

*Myślałam, że to będzie wspanialsze doznanie...*

Zdecydowanym ruchem zamknęła pamiętnik i odłożyła na kolana. Uff... Taki powrót do przeszłości to dziwne uczucie. Gdybym miała podjąć podobną decyzję dzisiaj, pewnie zastanowiłabym się nad tym dużo poważniej.

Ale wówczas — śmiertelnie zakochana, nie widząca świata poza nim... Zresztą, następne miesiące utwierdziły ją w przekonaniu, że nic złego się nie stało. Byli ze sobą bardzo szczęśliwi i każdą wolną chwilę spędzali razem. Początki złego, choć wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, zaczęły się po maturze, kiedy Marcin złożył dokumenty na uczelni.

Sięgnęła po kolejny brulion. To był najprawdopodobniej wrzesień, a dokładnie... zaraz, zaraz... O, mam:

*17 września*

*Kiedy wreszcie zadzwonił Marcin, kamień spadł mi z serca. Wrócił z Poznania i natychmiast podzielił się ze mną radosną nowiną. Był tak podekscytowany, że początkowo nie mogłam go zrozumieć. W końcu wyrecytował dumnie, że został przyjęty na pierwszy rok swoich wymarzonych studiów...*

Odłożyła pamiętnik na ławę, wstała z fotela i krążąc po pokoju, wspominała: Pamiętam, że ja też ucieszyłam

się z tego faktu, nie przypuszczając — w swej dziewczęcej naiwności — że to może być początek końca. Wierzyłam naiwnie, że żadna rozłąka nie jest w stanie nas rozdzielić. Przecież tak bardzo się kochaliśmy.

Pierwsze dwa miesiące rozstania znosiła w miarę bezboleśnie. Z tęsknotą wypatrywała listonosza, który regularnie, raz w tygodniu, przynosił wieści od ukochanego.

Co to była za lektura! — oddawała się wspomnieniom. Czytałam je po kilka razy. Chwilę później siadałam przy stole i odpisywałam, informując najdroższego o każdej minucie mojego życia, o ogromnej tęsknocie.

Przerwała na chwilę swoje wspomnienia, spojrzała w okno, po czym wszystko wróciło, jakby zdarzyło się zaledwie wczoraj. Mijały kolejne tygodnie, a listy zaczęły przychodzić coraz rzadziej. W końcu otrzymałam ten ostatni, w którym Marcin, jak zawsze „dobrze skrojony”, przeproszał mnie za... rozstanie: *Poznałem kogoś* — wykaligrafował patetycznie — *kto zawładnął moim sercem.*

Nie pamiętam dokładnie tych wszystkich usprawiedliwień. Zrozpaczona porwałam list na strzępy i spaliłam, zalewając się przy tym łzami. Gorycz jego słów czuję do dzisiaj, mimo że od tego czasu upłynęło już tyle lat.

Po dłuższej chwili zamyślenia postanowiła przerwać te słodko-kwaśne wspomnienia. Wystarczy tych powrotów do przeszłości. Miały być radosne, a okazały się cierpkie. Jestem tu i teraz. Mamy nowy rok pełen nieprzewidywalnych zdarzeń.

To był długi i męczący poniedziałek. Po trzech dniach totalnego lenistwa trudno było przestawić się na tory zawodowej codzienności. Wszyscy żyli jeszcze wrażeniami sylwestrowego spotkania. Wspominano różne, mniej lub bardziej ważne zdarzenia, zachwycano kreacjami.

Koronę zdobyła w tym roku, całkiem zasłużenie, Kamila Tymińska — asystentka wiceprezesa. To rzeczywiście piękna dziewczyna, dbająca o swój wygląd. Bardzo trendy. Natomiast misterem nocy został Mateusz Brylski, inżynier z pracowni konstrukcyjnej. Chłopak mający wprowadzić w sobie coś z playboya, ale któremu nie można odmówić nietuzinkowej urody.

Plotkowano również o VIP-ach, ich słabościach, o partnerkach i „różowych” podbojach. Tak jak to zwykle bywa po tego rodzaju firmowych imprezach. Słowem

totalny luz. Gdyby ktoś chciał zmierzyć wydajność dzisiejszej pracy, to z pewnością nie byłby usatysfakcjonowany.

Justyna nie odebrała tego dnia ani jednego telefonu. W przeciwieństwie do Agaty. Jej nowo poznany przyjaciel nie pozwalał o sobie zapomnieć.

— Słuchaj, on dzwonił do mnie już trzy razy — zwierzała się pełna ekscytacji. — To chyba dobrze o nim świadczy. Jak sądzisz?

— Jeżeli po tym, co mi opowiadałaś, dzisiaj by nie zadzwonił, to rzeczywiście nie miałabym o nim najlepszego zdania — utwierdzała ją. w przekonaniu Justyna.

— No właśnie. Wyobraź sobie, że chce się ze mną spotkać. Wprost nalega. Nie wiem, co robić. Powiedz, ty byś się umówiła?

— Nie wiem. Nie znam go na tyle, ty właściwie też nie. Wydaje mi się jednak, że dałabym sobie kilka dni na ostudzenie emocji.

— Dzięki. Ty jesteś mądrą dziewczyną. Tak zrobię. — Po tych słowach uradowana pobiegła do swojej deski kreślarskiej.

Pod koniec pracy, tuż przed szesnastą, komputer zasygnalizował nadejście e-maila. Justyna szybkim kliknięciem otworzyła swoją skrzynkę internetową.

— A niech to... — wyrzuciła z siebie nieco oszołomiona. — Łukasz. Skąd wziął mój adres?

*Witam,  
mam nadzieję, że nie poczuje się Fani urażona moją śmiałością. Nie  
mogłem opanować ciekawości, choć walczyłem z nią przez cały dzień.  
Chciałbym zapytać o Pani samopoczucie. Znamy się bardzo krótko,  
niemniej sytuacja, w jakiej się rozstaliśmy, usprawiedliwia mnie w  
jakimś stopniu. Z wyrazami szacunku  
Łukasz Zarzycki*

Hm. Pan Łukasz Zarzycki... — Zastanawiała się, co ma o tym myśleć.  
Dobrze. Skoro jesteś taki ciekawy...

*Witam Pana!  
To miłe, że pyta Pan o moje samopoczucie. Czuję się znakomicie.  
Moje niedomagania ustąpiły już następnego dnia. Wypada mi przy tej  
okazji podziękować, raz jeszcze, za okazaną pomoc, a przy okazji  
przeprosić, że w jakiś sposób zburzyłam Panu tę ważną noc w roku.  
Pozdrawiam  
Justyna Wolak*

Po kliknięciu ikony „wyślij” Justyna oparła się wygodnie na krześle i  
przez chwilę patrzyła w ekran monitora. Na jej policzkach pojawiły się  
rumieńce. Zrobiłam to, wyszeptała. Wysłałam do niego list. A to ci  
heca.



Gdyby nie przyjaciółka, siedziałaby tak jeszcze przez jakiś czas.  
— Co tak rozmyślasz? — usłyszała za plecami głos Agaty. — Nie idziesz jeszcze do domu?  
— Nie, skąd... Idę — wydukała niczym spłoszona nastolatka.  
— Ej, stało się coś? Jesteś jakaś dziwna.  
— Żebyś wiedziała. Stało się. — Postanowiła nie robić z tego tajemnicy. — Napisałam e-maila do Łukasza Zarzyckiego. Wyobrażasz to sobie?  
— Jak to? Kiedy? — podniecała się Agata.  
— Teraz. Przed chwilą. Tylko nie myśl sobie Bóg wie czego — dodała natychmiast, chcąc uniknąć niezdrowych podejrzeń. — Odpisałam mu na jego zapytanie o moje samopoczucie.  
— Namierzył cię. Jak zdobył adres?  
— Tego nie wiem. O tym nie napisał. Jakoś sobie widać poradził.  
— I co mu odpisałaś? — dopytywała Agata. — Mam nadzieję, że go nie splawiłaś.  
— On zapytał, a ja odpowiedziałam, że u mnie wszystko okay. — Po tych słowach Justyna wyłączyła komputer, słysząc za plecami dwuznaczne: „No, no”.  
Następnego dnia rano czekała na nią kolejna poczta od Łukasza. Jak wynikało z datownika, została napisana wczoraj, zaraz po otrzymaniu odpowiedzi od Justyny.

Oczywiście, jak można się było spodziewać, kolejny e-mail jeszcze przed przeczytaniem wywołał w niej spore emocje.

*Witam raz jeszcze.*

*Mam nadzieję, że nie odbierze fani mojej aktywności jako przejawu nadmiernej śmiałości. Pragnę jedynie wyrazić swoje zadowolenie z faktu, iż znajduję Panią w dobrym zdrowiu.*

*Być może przemawia przeze mnie także ukryty żal, że nie udało nam się porozmawiać dłużej owej feralnej nocy. Ale jestem pełen zrozumienia.*

*Nie ukrywam, że miałem nadzieję wymienić poglądy na temat realizowanego obecnie projektu i być może namówić Panią na dodatkowe konsultacje.*

*Ale na to zawsze jest czas. Wszystko zależy od Pani — na co bardzo liczę.*

*Z ukłonami .*

*Łukasz Zarzycki*

Po przeczytaniu wiadomości Justyna poczuła ulgę. Od samego początku ich znajomości miała wrażenie, że jest przez niego osaczana, że jego postępowanie wynika z chęci zbliżenia się do niej, i to w taki szczególny sposób. Nie była z tego zadowolona, ponieważ nie szukała partnera. Rozstanie z mężem pozostawiło w jej duszy na tyle grubą rysę, że — mimo upływu czasu — nadal nie zamierzała się z nikim wiązać.

A okazało się, że nowo poznany mężczyzna ma wobec niej jedynie zawodowe oczekiwania. To ją uspokoiło.

W takim razie kto mi ofiarował ten prezent? Niemal natychmiast w jej głowie pojawiły się dawne wątpliwości. Znowu jestem na początku swojego śledztwa.

Justyna postanowiła szybko odpisać, aby móc wreszcie poświęcić się swoim obowiązkom. Przeprosiła Łukasza za to, że odpowiada dopiero dzisiaj, jednocześnie deklarując gotowość spotkania się. Zasugerowała, aby doszło do niego nie wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Zamierzała bowiem nadrobić zaległości w pracy.

Reszta dnia upłynęła bardzo pracowicie. Po wyjściu z firmy Justyna postanowiła odwiedzić swój ulubiony antykwariat. Zmobilizował ją do tego fakt, że sprawa zaskakującego prezentu znowu znalazła się w punkcie wyjścia. Żądza poznania tej tajemnicy zawładnęła nią bez reszty.

Justyna dotarła do antykwariatu w chwili, kiedy kościelny zegar dźwięcznymi i rytmicznymi uderzeniami w dzwon odmierzał godzinę siedemnastą. Wokół panował już wczesny mrok nieco rozświetlany przez uliczne latarnie, które pamiętają jeszcze czasy gazowych płomyków. Całą ulicę przykrywała gruba pokrywa śniegu. Wzdłuż chodników leżały wysokie hałdy szarej i zlodowaciałej brei.

Jej oczom ukazał się dobrze znany szyld z ledwo dostrzegalnym napisem „Antykwariat — Bratzki, Spółka Rodzinna”. Dwa jaśniejące szarym światłem półkoliste okienka — znajdujące się na poziomie chodnika — upewniły Justynę, że sklep jest czynny.

Do antykwariatu, znajdującego się w suterenie, prowadziły dość strome kamienne schody, oddzielone od

chodnika stalową balustradą. Po zejściu na dół należało pokonać grube dębowe drzwi z wielką, wykonaną z kutej stali, ozdobną klamką. Po ich uchyleniu odzywał się mosiężny dzwonek zawieszony nad framugą.

To był rytualny sygnał, po którym znad sterty książek ułożonych wzdłuż starej mahoniowej lady wychylała się najsympatyczniejsza w świecie postać. Był nią pan Karol, właściciel antykwariatu, przypominający baśniowego Koszałka Opałka.

Sądząc po wyglądzie, musiał mieć ze sto lat, choć jego wigor i sposób zachowania zupełnie temu przeczyły. Był niskim, niezwykle szczupłym, by nie powiedzieć wychudzonym staruszkiem. Na jego nosie tkwiły drucziane okulary, znad których, z charakterystycznym pochYLENIEM głowy do przodu, spoglądał na otaczający go świat. Pan Karol nosił szarą wełnianą marynarkę w czarne pasy, a nieodzownym elementem jego stroju były narękawniki. Brakowało mu jedynie gęsiego pióra za uchem, które spotęgowałyby wrażenie, że z chwilą wejścia do sklepu czas cofnął się o kilkaset lat.

W takim przekonaniu utwierdzało również całe wnętrze antykwariatu, jego wystrój, umeblowanie. Wspomniana lada, regały, witryny, krzesła, lampy, sofa, fotele, nie mówiąc już o książkach. Te panowały tu niepodzielnie. Były wszędzie: na meblach, regałach, a także na podłodze. W całym antykwariacie panował pozorny bałagan, w którym znakomicie orientował się jego właściciel.

W tym niemal nierzeczywistym świecie Justynę przywita! pełen radości głos:

— Aaa, kogóż to przyniosły do mnie dobre duszki? Czy mnie wzrok nie myli? Justynka!

— Witam, panie Karolu. Tak, to ja. Dawno się nie widzieliśmy. Postanowiłam w końcu odwiedzić pana, zwłaszcza że mamy nowy rok. Przychodzę więc także z życzeniami, no i malutkim prezentem. Pana ulubionym.

— Och, po co tyle fatygi? — Starszy pan natychmiast zainteresował się zawiniątkiem.

Był wielkim łasuchem i zapewne domyślił się, że Justyna przyniosła mu jego ulubione pączki z różanym nadzieniem.

— Panie Karolu, to nic takiego — przekomarzała się. — To tylko pączki. Mam nadzieję, że będą smakowały.

— Jeszcze pytasz, serduszko. Jeszcze pytasz... Uwielbiam je. — Czym prędzej złapał pakiecik, jakby w obawie, że Justyna zaraz się rozmyśli. — Nie wiem, czy ci mówiłem, że wypiekała mi je moja mama.

Uśmiechnęła się. Znała tę historię lepiej od własnego życiorysu. Staruszek opowiadał ją za każdym razem, kiedy przynosiła mu ulubione łakocie.

— Panie Karolu, to może ja zaparzę panu ziółek? — zapytała z troską.

— Ziółek, mówisz... Hm, czy ja wiem? A może by tak kawki? Jak myślisz? Możemy chyba sobie na to pozwolić?

— Oczywiście, że możemy. Pora nie jest jeszcze zbyt późna i z pewnością panu nie zaszkodzi.

— Ooo, tak, tak, moje dziecko. Poproszę więc o kawę. Robił wrażenie człowieka nieporadnego, niemniej

radził sobie całkiem nieźle. W sprawach zawodowych był bez zarzutu — sprawny i ze wszech miar kompetentny. Miał w tej dziedzinie ogromną wiedzę. Nieco gorzej czuł się w sprawach bytowych. Ale i tu jakoś w końcu dawał sobie radę.

— To zrób, dziecinko, co tam uważasz — dodał po chwili — a ja dokończę te swoje gryzmoły. Później sobie pogawędzimy.

— Dobrze, panie Karolu.

Justyna poszła na zaplecze do niewielkiego pomieszczenia, które było czymś pomiędzy kuchnią, spiżarnią a składzikiem rupieci. Wiele z nich znajdowało się tu zapewne od pokoleń, dziś przypominając muzealne eksponaty.

Kiedy krzątała się w kuchni, zaniepokoiły ją dochodzące ze sklepu odgłosy kaszlu. Staruszka nękały pojawiające się raz po raz ataki.

Po kilkunastu minutach przyniosła tacę z kawą zaparzoną w miśnieńskich filiżankach. Ustawiła je na niewielkim stoliku, przy którym zwykle siadywali, aby sobie porozmawiać. Wyłożyła na talerzyk obficie lukrowane pączki, zawiadamiając seniora żartobliwie, iż: „Podano do stołu”.

— Już duszko, już... — odpowiedział nie do końca jeszcze oderwany od świata swoich myśli. — Już idę, już.

— No, co tam u ciebie? — zapytał swoim lekko drżącym głosem, siadając w ulubionym fotelu. — Dawno niczego u mnie nie szukałaś.

— Cóż, tak się ostatnio układało moje życie zawodowe. Nie miałam zbyt wiele czasu dla siebie — odpowiedziała zgodnie z prawdą. — Mam nadzieję, że może teraz coś się zmieni.

— Dobrze, duszko, dobrze cię rozumiem — odpowiedział wyraźnie zadowolony, delektując się aromatem kawy, po czym dodał: — Nikt tak jej nie parzy jak ty, moje dziecko. Nikt...

— Co też pan mówi, panie Karolu — krygowała się Justyna.

— Wiem, co mówię, wiem, dziecinko — upierał się przy swoim, próbując opanować kolejny atak kaszlu.

— No, ale mów, co tam u ciebie. Jak twoja kolekcja? Powiększa się?

— No właśnie... Moja kolekcja powiększyła się ostatnio o coś, co mnie przywiodło do pana. — Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej zawiniętą w papier książkę.

— Aaa, więc to tak... — Zawiesił głos na widok znanego mu egzemplarza, nie kryjąc przy tym zaskoczenia, ale chyba i zadowolenia. — Dickens. Trafił do ciebie. — Oglądał z uwagą rzadki egzemplarz *Opowieści wigilijnej*.

— To dobrze, to bardzo dobrze. A miałem takie obawy.



— Panie Karolu, o czym pan mówi? — dopytywała, nie mogąc opanować zżerającej ją ciekawości.

— Bo wiesz, moje dziecko, ostatnio interesowało się nią dwóch tajemniczych osobników. Obaj należeli do grona tych, co to kupują tego rodzaju książki z zamiarem lokowania pieniędzy. Nie dlatego, że je kochają, że chcą je uchronić przed zniszczeniem czy zapomnieniem. Robią to dla mamony... tak... mają jej w nadmiarze. Dlatego miałem pewne wątpliwości. Teraz widzę, że moje obawy były nieuzasadnione. To mnie bardzo cieszy. Tak... Bardzo mnie cieszy.

— Panie Karolu... — Nie wiedziała, jak zacząć swoje śledztwo. — Czy mógłby mi pan powiedzieć, kto ją ostatecznie zakupił?

— Dlaczego pytasz, dziecinko? Ty tego nie wiesz? — ledwie dokończył nękany kolejnym atakiem suchego kaszlu.

— Jak to panu powiedzieć? Dostałam ją w prezencie gwiazdkowym, ale do dzisiaj nie wiem od kogo. Znalazłam ją w Wigilię na biurku, kiedy przyszłam wcześniej rano do pracy.

— A to ci tajemnica — wycedził w zamyśleniu. — Taki prezent. Żadnego z nich bym o taki gest nie podejrzewał, na dodatek anonimowy.

— No właśnie, i to mnie bardzo irytuje.

— Cóż, jak ci tu pomóc? — zastanawiał się szczerze. — Wiesz, że nie prowadzę ewidencji klientów. Nie

mam takiego obowiązku ani też prawa. Czasami myślę, że szkoda. Hm...

— To może powie mi pan przynajmniej, jak wyglądali?

— Tak, tak, oczywiście. Pamięć mam raczej dobrą, ale czy to ci, dziecinko, w czymś pomoże?

Pan Karol, na miarę swoich możliwości, opisał obydwu mężczyzn, ze szczególnym uwzględnieniem tego, który ostatecznie nabył książkę.

— Ten, który ją kupił, mimo pewnej elegancji, dobrych manier, nie do końca budził zaufanie. Było w nim coś takiego, jak by *to* powiedzieć... nie do końca szczerego — przywoływał z pamięci swoje odczucia.

Sprzedawca nie okazał się jednak na tyle precyzyjnym obserwatorem, by na podstawie jego opisu można było ustalić tajemniczego nabywcę. Obaj, jak wynikało z relacji „świadka”, przypominali Łukasza Zarzyckiego. Choć mogli to być zupełnie inni ludzie. Widząc, że dalsze indagowanie seniora nie ma sensu, Justyna postanowiła zamknąć temat.

— Panie Karolu, martwi mnie coś jeszcze. Pana kaszel. Był pan z tym u lekarza? Ma pan jakieś lekarstwa?

— Eee, tam, dziecinko, to tylko kaszel. Nic mi nie jest. Gdzieżbym tam zawracał takim głupstwem głowę medykowi. Zrobię sobie wieczorem herbatki z rumem, wymoczę nogi w solance i wszystko minie.

Justyna nie dała się zbyć tymi zapewnieniami. Ubrała się czym prędzej i nie zważając na sprzeciwy antykwariusza, pobieгла do apteki. Po pół godzinie wróciła z torebką pełną medykamentów. Udzieliła seniorowi wskazówek o sposobie ich przyjmowania, prosząc, aby tego nie lekceważył.

Zima trzymała mocno. Mróz w godzinach rannych sięgał nawet minus osiemnastu stopni. Od kilku dni Justyna dojeżdżała do pracy tramwajem, co zajmowało jej znacznie więcej czasu niż dotychczas. Powodem tego był jej samochód, a raczej jego usterka. Niezawodny dotąd garbus uległ aurze i nie dawał się uruchomić. Stał przed bramą jej kamienicy przysypany śniegiem po sam dach.

W pracy zaś pojawiły się nowe wyzwania. Invest-Projekt przyjął kolejne zlecenie na wykonanie kompleksowego projektu wielkiej inwestycji. Z tego powodu w firmie panowało znaczne ożywienie.

Agata od rana była niezwykle podniecona. Uległa w końcu namowom Artura i umówiła się na sobotni wieczór.

— Justynko, powiedz, w co się ubrać na takie spotkanie? — radziła się przyjaciółki, która uchodziła w firmie za osobę znającą się na rzeczy.

— Czy ja wiem? Z tego, co mówiłaś, wybieracie się do jakiegoś klubu z dyskoteką.

— Tak, chyba tak. Nie chciał mi tego do końca zdradzić. Mówił, że to ma być niespodzianka.

— Hm... Myślę, że powinnaś wyglądać elegancko, ale nie wyzywająco. Mogłabyś włożyć jakąś „małą czarną”.

— Dziękuję, jesteś kochana — ucałowała przyjaciółkę w policzek i pobiegła do swoich obowiązków.

Po pracy Justyna postanowiła odwiedzić pana Karola. Od ostatniej wizyty minęły wprawdzie trzy dni, ale chciała zobaczyć, jak się czuje.

Kiedy weszła do antykwariatu, staruszek siedział za kontuarem. Nie wyglądał najlepiej. Kaszel nie ustąpił, a na dodatek nękały go dreszcze świadczące o stanie podgorączkowym.

— Panie Karolu, brał pan lekarstwa, tak jak prosiłam? — zapytała z troską.

— Tak, dziecinko, zapewniam cię, że łykałem je, tak jak mówiłaś.

— Zaparzę panu herbaty z cytryną — zdecydowała i poszła na zaplecze. — Mam też słoiczek miodu.

— Ooo, dziękuję ci, serduszko. Herbata z miodem... pyszności. To mi dobrze zrobi.

— Tak naprawdę to powinien się pan położyć do łóżka — wołała z zaplecza. — Radziłabym zamknąć na kilka dni interes i wykurować się jak należy.

— Może i tak, pewnie masz rację — odpowiedział bez przekonania.

Kiedy siedzieli przy herbacie, Justyna próbowała przekonać staruszkę, aby na kilka dni zamknął sklep.

— Panie Karolu, takie przeziębienia bywają bardzo niebezpieczne, szczególnie — niech się pan nie obrazi — w starszym wieku. Nie wiem, czy pan słyszał, że ostatnio pojawił się niezwykle niebezpieczny wirus świńskiej grypy.

— Tak, tak. Czytałem o tym. Co za czasy — westchnął ciężko. — Taki postęp, a ludzkość staje się bezradna wobec mikroskopijnego wirusa.

— Najchętniej zawiozłabym pana do lekarza.

— Eee, nie trzeba. Nie jest ze mną tak źle. Ale sklep zamknę i rzeczywiście położę się do łóżka — zgodził się, aby uspokoić troskliwą opiekunkę.

— Bardzo się cieszę. Proszę mi wierzyć, że tak trzeba — dodała wyraźnie zadowolona. — Teraz wyskoczę na chwilę i kupię panu zapasy na najbliższe dni. — Nie czekając na aprobatę, ubrała się czym prędzej i wybiegła z antykwariatu.

Senior był w głębi duszy bardzo wdzięczny za troskę ze strony kobiety. Wzruszył się nawet, ale robił wszystko, aby Justyna tego nie dostrzegła. Dawno już nikt nie okazywał mu tyle serca. Jako człowiek samotny, niemający

na tym świecie nikogo bliskiego, nie przywykł do tego rodzaju przejawów serdeczności i bezinteresowności.

Od czasu kiedy zmarli jego rodzice, najpierw ojciec, a po kilku latach matka, żył samotnie. Nie ożenił się z powodów, o których nigdy nie wspominał.

Jego mieszkanie znajdowało się nad antykwariatem, dokąd prowadziły spiralne metalowe schody znajdujące się w bocznej części sklepu. Można było tam wejść także od strony ulicy, ale tamte drzwi nie były używane od lat.

Całe jego życie toczyło się wokół książek. Kochał je do tego stopnia, że starał się ocalić każdy egzemplarz. To z jego inicjatywy na chodniku przed sklepem stanęła przed laty zabytkowa skrzynka pocztowa, do której można było wrzucać niepotrzebne książki. Dzięki znajdującemu się pod nią przemysłnemu systemowi blaszanych rur trafiały one do pojemnika znajdującego się na dole — w antykwariacie. Pan Karol wyjmował z niego „podrzutki” raz w tygodniu, starannie je selekcjonował, a następnie katalogował. Miał swój wypracowany przez lata system, dzięki któremu wiedział dokładnie, co posiadał i gdzie w danym momencie znajdował się pożądaný egzemplarz. Bałagan w sklepie był tylko pozorny. On sam znakomicie się w tym wszystkim orientował.

Dzięki owej niezwykle pomysłowej skrzynce do antykwariatu trafiały także inne rzeczy, na przykład stare mapy, dokumenty urzędowe, ryciny, listy, a nawet fotografie. Ludzie, którzy z jakichś powodów chcieli się

pozbyć swoich pamiątek, ale nie mieli sumienia wyrzucić ich do śmietnika, liczyli na to, że antykwariusz znajdzie dla nich właściwe miejsce, a tym samym przedłuży ich żywot. I wcale się pod tym względem nie mylili.

Rozmyślenia staruszka przerwał powrót Justyny, która po zaopatrzeniu go w niezbędne do kilkudniowej egzystencji artykuły spożywcze pożegnała się, prosząc, aby dotrzymał danego jej słowa i zadbał o siebie.



Po powrocie do domu Justyna długo jeszcze myślała o sędziwym przyjacielu. Była o niego głęboko zatroskana. Ostatnie dni uświadomiły jej, że ten cudowny i mądry człowiek z dnia na dzień staje się coraz bardziej bezradny i potrzebujący pomocy. Była oczywiście na to gotowa. Szczególnie że darzyła go szczerą przyjaźnią. Czuła w sercu głęboki żal i współczucie. Postanowiła więc, że odwiedzi go zaraz po weekendzie.

Kwadrans po północy zerwała się ze snu przerażona i zlane potem. Znowu powtórzył się senny koszmar. Tym razem tajemniczy mężczyzna biegł za nią bezludną ulicą, która wydawała się nie mieć końca. Uciekała ostatkiem sił, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Na dodatek w pewnym momencie potknęła się i upadła. Kiedy leżąc na ziemi, odwróciła się, zobaczyła nad sobą ciemną

postać mężczyzny bez twarzy i... w tym dramatycznym momencie przebudziła się.

Co się ze mną dzieje? Co to za sny? — zastanawiała się poruszona do głębi. Czy to są jakieś znaki, ostrzeżenia? Jak je interpretować?

Długo nie mogła zasnąć. Biła się z najprzeróżniejszymi myślami, które jednak nie podpowiadały jej niczego sensownego.

W niedzielę po południu, kiedy oddawała się lekturze książki, zadzwoniła Agata.

— Witaj, jak spędzasz ostatnie godziny weekendu? — zapytała bez większego przekonania, że odpowiedź będzie interesująca. Z tonu głosu można było wnioskować, że wprost kipi, aby opowiedzieć o wczorajszej wyprawie na tańce.

— Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedziała prawdę. To raczej ty mi powiedz, jak się bawiłaś i co tam słyhać w świecie ludzi z towarzystwa — żartowała przyjaźnie.

— Mam nadzieję, że nie szydzisz. Bo było całkiem, całkiem. Może wyrwiesz się z domu i pogadamy gdzieś na mieście — kusiała nieco leniwą tego dnia Justynę.

— Czy ja wiem? Nie chce mi się wychodzić z domu. A może ty wpadniesz do mnie? — ożywiła się tą bardzo wygodną dla niej propozycją.

— Noo, dobrze, leniuchu. Kupię coś słodkiego i będę za godzinę. Okay?

— Jasne. Do zobaczenia.

Podkscytowana Agata wprost nie mogła się doczekać, kiedy przyjaciółka wróci do pokoju z kawą i ciastem.

Swoją relację zaczęła od momentu, kiedy spotkała się z Arturem Bralczykiem, a następnie poszli do lokalu znajdującego się nieopodal Rynku. To była słynna Lemoniada, ciesząca się renomą wśród ludzi z kasą jako klub muzyczny, spełniający oczekiwania nawet najbardziej wybrednych klientów.

— Justyna, mieszkasz tak blisko i nawet nie wiesz jaki tam wypas — ekscytowała się wrażeniami minionej nocy. — Najnowocześniejsza sala dyskotekowa, jaką w życiu widziałam! Ekskluzywny VIP-room, do którego zjeżdża się windą, dwie sale klubowe z klimatami świata, cztery bary, Shisha-room... A muzyka! Szok! Można się zapomnieć — wyrzuciła z siebie niemal jednym tchem.

— Aguś, zwolnij trochę. I co, zapomniałaś się?

— Żebyś wiedziała — zripostowała zaczepne pytanie Justyny, po czym jednak z pewną nutką refleksji dodała. — To oczywiście żart. Ale był taki moment, kiedy Artur mi się nie spodobał.

— O co chodzi? Mów — przerwała przedłużające się milczenie.

— Bawiliśmy się znakomicie od samego początku. Artur to imprezowy facet, z gestem i towarzyskim biglem. Przy nim nie można się nudzić. Ma niezwykły dar zjednywania sobie ludzi. Po kilku godzinach znał połowę

gości. Niby nic takiego, ale nie do końca mi się to podobało. — Zamilkła na chwilę, jakby rozważała, czy mówić dalej.

— Chyba rozumiem, o czym mówisz — solidaryzowała się z jej wątpliwościami Justyna.

— Gorsze wydarzyło się później, po północy. Nieco już zmęczeni muzyką, tańcem, drinkami poszliśmy do takiego, jakby to powiedzieć, baru. To niezwykle nastrojowe, wręcz prowokujące erotycznym klimatem miejsce. — Znowu ważyła słowa. — Tam Artur zaczął zachowywać się wobec mnie bardzo irytująco. Nie przebierał, nie tylko w słowach. Doszło w końcu do tego, że musiałam użyć siły, aby się uwolnić od jego nachalnych zalotów.

— Tego się po nim nie spodziewałam. Nie wyglądał na takiego, choć tak naprawdę trudno coś powiedzieć o kimś, kogo się tak mało zna. I jak sobie w końcu poradziłaś?

— Wyrwałam się i uciekłam do toalety. Tam starałam się ochłonać. Nie wiedziałam, co robić dalej. W końcu zdobyłam się na odwagę i wyszłam.

— I co, czekał na ciebie?

— Tak, siedział na tej samej kanapie. Kiedy mnie zobaczył, natychmiast podbiegł i — wyobraź sobie — zaczął mnie usilnie przeproszać za swoje zachowanie. Jakby oprzytomniał. Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć.

— Wcale ci się nie dziwię. Ja bym jednak pożegnała faceta i poszła do domu.

— Jakbyś tam była! Chciałam tak zrobić, ale on błagał, abyśmy usiedli na chwilę i porozmawiali. Znowu mnie przeproszał, tłumaczył swoje zachowanie tym, że bardzo mu się podobam, że zrobiłam na nim ogromne wrażenie od pierwszych chwil naszej znajomości. I takie tam... Część winy zwałił na działanie drinków i atmosferę wieczoru. Znowu stał się miły. Ostatecznie postanowiliśmy opuścić klub i zakończyć ten wieczór.

— I co, jak się rozstaliście?

— W sumie w zgodzie. W końcu nic — aż takiego — się nie wydarzyło. Zachował się wprawdzie jak napalony samiec, ale to w końcu tylko mężczyzna. — Próbowała obrócić w żart jego zachowanie.

— Czy ja wiem... — zastanawiała się Justyna. — Może masz rację. Ludzie różnie się zachowują pod wpływem alkoholu.

Poniedziałek przyniósł pewne zmiany w firmie. Około południa Justyna została poproszona do gabinetu wiceprezesa, bez podania powodów tej wizyty. Nikt nie lubi takich niespodziewanych wezwań, które zwykle nie wróżą niczego dobrego. W pośpiechu przeanalizowała aktualny zakres prowadzonych przez pracownię zadań pod kątem ewentualnych opóźnień, ale niczego takiego nie znalazła. Wszystkie prace postępują zgodnie z przyjętymi harmonogramami. To dodało jej pewności siebie. Uzbrojona w terminarz pojawiła się w sekretariacie. Chwilę później asystentka zaanonsowała jej przybycie szefowi.

Po wejściu do przestronnego gabinetu okazało się, że prezes nie jest sam. Natychmiast też poderwał się od stołu, stojącego w bocznej części biura, przy którym siedziała nieznajoma kobieta, i niezwykle uprzejmie przyjął Justynę.

— Witam panią kierownik bardzo serdecznie. Dawno nie mieliśmy okazji do rozmowy. — Z przyjaznym uśmiechem na twarzy uściśnięła jej dłoń, dodając z nutką zastanowienia. — Ostatnio widzieliśmy się chyba na spotkaniu sylwestrowym, ale jedynie przelotnie. Zresztą, o ile pamiętam, pani wyszła bardzo wcześnie.

— Rzeczywiście, tak było. Niestety, musiałam opuścić to wspaniałe spotkanie ze względów zdrowotnych. Bardzo tego żałowałam.

— No cóż, zdarza się. Tymczasem, jeśli pani pozwoli. .. — Tu wskazał dłonią w kierunku stołu i siedzącej przy nim kobiety. — Przedstawię pani naszą nową koleżankę.

Kobieta uniosła się z krzesła, wyszła zza stołu i niemal tanecznym krokiem podeszła do wiceprezesa. Była ładną, blisko trzydziestoletnią szatynką, o bystrym spojrzeniu i sympatycznym uśmiechu. O takich kobietach zwykle się mawiać superlaska.

— To jest pani magister Monika Wender, architekt, która będzie u nas pracować. — Dokonał krótkiej prezentacji. — Ściślej mówiąc, będzie pracowała w pani pracowni.

Obie kobiety uściśnęły sobie dłonie, taksując się wzajemnie przenikliwym wzrokiem. W jednej chwili Justyna dokonała niezliczonej ilości syntez związanych z nowo poznaną kobietą, jej przyszłą rolą, celowością zatrudnienia, koneksjami. Takie protegowane zwykle nie wróżą niczego dobrego, pomyślała z obawą.

— Miło mi panią poznać — odpowiedziała krótko i uprzejmie. ,

— Ja również się cieszę. To zaszczyt pracować pod pani kierownictwem. Wiele o pani słyszałam.

— Zatem prezentację mamy już za sobą, a więc proszę panie do stołu. Porozmawiamy jeszcze o czekających nas zadaniach, a później pokaże pani naszej koleżance pracownię.

Wieść o nowej współpracownicy rozniosła się po firmie z prędkością światła. Szeptano po kątach na jej temat, snując najprzeróżniejsze scenariusze. Zrobiono z niej nie tylko kochankę szefa, ale także osobę, która ma — mówiąc delikatnie — informować kierownictwo firmy o nastrojach wśród załogi.

Początkowo Justyna słuchała tego z dużą dozą obojętności, choć czuła pewien niesmak. Co innego pomyśleć, a co innego rozpowszechniać jakieś domysły. Brzydziły ją takie zachowania. Ale tak to już niestety jest, że ludzie uwielbiają plotki na czyjś temat. Tego typu zwyczaje zadomowiły się na dobre i w InvestProjekt. Pracuje tu wielu zupełnie obcych sobie ludzi, pochodzących z różnych środowisk. Plotka, pomówienie, intryga to podstawowe narzędzie w walce o awans, podwyżkę czy okazjonalną nagrodę. Dyskredytacja konkurenta to szansa na własną karierę.

Wszystko wskazywało na to, że pani Wender nie będzie miała łatwego startu. Nawet Agata próbowała zasiać w Justynie ziarno niepokoju.



— Ty się niczego nie obawiasz? — pytała konspiracyjnie. — Nie sądzisz, że oni zechcą ją tu odpowiednio ustawić?

— Nie, nie boję się, bo jeśli nawet, to jaki ja mam na to wpływ. Życie pokaże, kim jest naprawdę. Dajmy jej spokój. Przynajmniej my. Obie wiemy, jak trudno odnaleźć się w nowym środowisku. Ja też w swoim czasie odczułam tę nieznośną presję.

— Zdziwiasz mnie — przyznała Agata, choć ze szczyptą ironii. — Ile w tobie wiary w człowieka. Nawet wtedy, kiedy może ci zagrażać. Ja bym na twoim miejscu była bardziej czujna.

Po południu Justyna odwiedziła antykwariat. Ucieszyła się na widok zgaszonych w sklepie świec. Posłuchał mnie uparciuch, pomyślała z troską. Przyniesione ze sobą zakupy zamierzała wrzucić za pośrednictwem skrzynki stojącej przed sklepem. W jednej chwili uzmysłowiła sobie fakt, że antykwariat miał być zamknięty jedynie przez weekend. Tylko na tyle udało się namówić pana Karola. Tymczasem...

A może czuje się gorzej? — zaniepokoiła się. Może potrzebuje pomocy? Jest przecież zupełnie sam.

Aby to sprawdzić, musiała wejść do mieszkania. Był jednak problem. Nie wiedziała, jak się do niego dostać.

Przeszła na drugą stronę ulicy i spojrzała w okna na półpiętrze. W dwóch z nich widać było światło, co oznaczało, że senior jest w domu. Patrząc z tej perspektywy

na kamienicę, zauważyła, że po prawej stronie budynku znajduje się brama wejściowa. Prowadziły do niej cztery kamienne stopnie.

Podeszła do drzwi. Było ciemno, a więc po omacku próbowała odnaleźć przycisk dzwonka. Bezskutecznie. Najprawdopodobniej wcale go tu nie było. Natrafiła za to na coś, co przypominało mechanizm do nakręcania sprężyny starego zegara, tyle że było dużo masywniejsze. Kiedy przekręciła nim delikatnie w lewo, z wnętrza dobiegł archaiczny odgłos dzwonka. Ożywiła się, uradowana tym odkryciem. Powtórzyła tę czynność z większą energią i nasłuchiwała, jaka będzie reakcja. Po kilku próbach na klatce schodowej zapaliło się światło. To dobry znak, pomyślała z ulgą.

Po chwili dało się słyszeć odgłosy suwanych po posadzce kapci, a następnie zgrzyt zamków i przeszywające na wskroś skrzypienie otwieranych drzwi.

— Ooo, Justynka... — wyszeptał uradowany staruszek, ubrany w gruby szlafrok i czapczkę z zabawnym pomponem. — A więc odnalazłaś mnie, duszko. Wejdz proszę. Wejdz. Jest bardzo zimno.

— Witam, panie Karolu, ja tylko na chwilę — odpowiedziała, wślizgując się do środka. — Chciałam zapytać, jak się pan czuje i czy mogłabym się na coś przydać.

— To miłe, tak, tak... To bardzo miłe. Ale nie stójmy tu, proszę na górę. Ogromnie się cieszę, bardzo się

cieszę. Tylko po co tyle fadygi? Jesteś przecież tak zapracowaną osobą.

— Jeżeli naprawdę nie przeszkadzam, to wejdę, ale tylko na chwilę. Nie chcę robić kłopotu.

— Chodźmy czym prędzej, chodźmy, serduszko. — Ruszył przodem w kierunku dębowych schodów, prowadzących na półpiętro.

Klatka schodowa, mimo szarego światła, jakie rzucały piękne, ale mocno zakurzone lampy, przypominała wejście do tajemniczego dworku. Na ścianach wisiały stare obrazy, grafiki, lustra, militaria, mosiężne kinkiety. Wszystko przykrywała gruba warstwa kurzu, co wskazywało na to, że ta część kamienicy nie była używana od wielu lat. Na półpiętrze znajdował się niewielki hol oraz drzwi do poszczególnych pomieszczeń. Były tu również schody prowadzące na wyższe kondygnacje.

Weszli do salonu. Oczom Justyny ukazało się wnętrze, o jakim mogła tylko śnić. Miała wrażenie, że w tej jednej chwili przeniosła się w inny czas. Cały salon w najdrobniejszych szczegółach wypełniały antyki, od mebli poczynając, przez porcelanę, bibeloty, obrazy, po okazale lampy i dywany. Zatrzymała się jak sparaliżowana, nie mogąc zrobić kroku. Boże, gdzie ja jestem? — pomyślała, wstrzymując oddech. Czy to sen? Przy tym akurat tu panował taki ład i porządek, jakiego dawno nigdzie nie widziała.

Jej reakcja była ze wszech miar uzasadniona. Kto, jeśli nie ona, mógł zdawać sobie sprawę, z czym ma do

czynienia. Znała się na tym, jak mało kto. Nie tylko ukończyła uczelnię o profilu artystycznym, ale również fascynowała się antykami.

Pan Karol oczywiście dostrzegł jej zachwyty, niemniej wykorzystując przynależne wiekowi roztargnienie, postanowił nie zwracać uwagi na jej reakcję.

— Usiądź, serduszko, usiądź. Odpocznij sobie. Zaraz coś podam.

— Panie Karolu, nie trzeba. Proszę mi tylko powiedzieć, jak się pan czuje. Bo mam wrażenie, że znacznie lepiej.

— Ooo, tak... tak. Dużo lepiej, a to dlatego, że posłuchałem ciebie, moja duszko. Położyłem się na dwa dni. Tak jak prosiłaś. Ooo, tak. To było rozsądne.

— No to Cieszę się ogromnie.

— Mało tego. Wyobraź sobie, że dzisiaj także zrobiłem sobie wolny dzień. Ale jutro już wracam do pracy. Wystarczy tego leniuchowania, wystarczy, serduszko.

— Myśli pan? Dobrze byłoby wykurować się do końca, żeby nie było nawrotu choroby. — Próbowała nakłonić antykwariusza do jeszcze jednego dnia wolnego.

— Nie, nie. Dosyć tego, dosyć. — Z tonu głosu można było wywnioskować, że to nieodwracalne postanowienie.

— Przyniosłam panu trochę drobiazgów, świeże pieczywo, owoce i takie tam. Nie będzie pan musiał

jeszcze wychodzić na dwór. Zima nie odpuszcza. Nadal jest bardzo mroźnie.

— Dziękuję, dziecinko. Jestem ci za to bardzo wdzięczny i zaraz wszystko ureguluję.

— Panie Karolu, bardzo proszę. Nie trzeba. To są przecież drobiazgi. Robię to z serca i czuję wielką radość, że mogę pomóc.

Staruszek wstał od stołu, odwrócił się i udając, że czegoś szuka, starał się ukryć wzruszenie. Justyna dostrzegła jego zakłopotanie i postanowiła zmienić temat.

— Muszę w końcu powiedzieć, że jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co tu widzę. Pomijam piękno i wartość zgromadzonych sprzętów, ale ciekawi mnie, kto to wszystko sprząta.

— Wiem, wiem. Widziałem twoje oczy, dziecinko. Podoba ci się?

— Jeszcze pan pyta? To prawdziwe muzeum — dodała szczerze podekscytowana.

— To są nasze rodzinne pamiątki. Mieszkamy tu, jak wiesz, od pokoleń. A kto to wszystko sprząta? Cóż, ja sam, a któż by inny. Mam przecież dużo czasu.

— Słowa uznania, naprawdę!

— A co, myślałaś, dziecinko, że taki zramolały jegomość nie jest już w stanie? — żartował. — Nie jest to wprawdzie moja pasja, ale poświęcam się tym zajęciom bez większego przymusu. Żebyś sobie o mnie źle nie pomyślała, dziecinko, pokażę ci zaraz, co naprawdę jest moją pasją — oprócz książek, co oczywiste.

Skierował się ku mahoniowym drzwiom znajdującym pomiędzy dużym kafłowym piecem a serwantką. Kolejne pomieszczenie urządzone było w podobnym stylu jak poprzednie, z tą tylko różnicą, że dominowały w nim gabloty wypełnione monetami. Tu antykwariusz wyraźnie się ożywił. Widać było błysk w jego oczach, kiedy prezentował swoją kolekcję. Z dumą pokazywał najcenniejsze eksponaty, których zdobycie zajmowało mu często wiele lat. Zachowywał się niczym mały chłopiec wpuszczony do składu z zabawkami. Opowieściom zapewne nie byłoby końca, gdyby nie duży zegar stojący pomiędzy oknami, który wybił dwadzieścia dźwięcznych tonów.

— Ojej, ale się zasiedziałam — zareagowała Justyna. — Nie sądziłam, że zajmę panu tyle czasu.

— Nic się nie stało. Nic, nic. Tak rzadko mnie ktoś odwiedza. Poczekaj dziecinko, poczekaj. Chciałbym ci coś ofiarować, jeśli pozwolisz. Zaraz, zaraz, gdzie ja to położyłem. Ooo, mam. — Wyjął z szuflady komody sporej wielkości drewniany krzyż. — To dla ciebie, do twojej kolekcji — powiedział, podając jej drżącymi dłońmi stary krucyfiks.

— Ależ ja nie mogę tego przyjąć. Bo niby jak, dlaczego — szczerze się wzbraniała.

— Ze co, nie podoba ci się? — dopytywał z przekorną życzliwością.

— Nie, skąd. Jest cudowny.

— Zatem jest twój. Takich prezentów się nie odmawia, dziecinko. Wiesz o tym. Koniec. Kropka.

Po tych słowach nie pozostało już nic innego, jak tylko ucałować ofiarodawcę w policzek i podziękować za tak bezcenny prezent.

Rano, po przyjsciu do pracy i uruchomieniu komputera Justyna odebrała wiadomość od Łukasza Zarzyckiego. Proponował jej spotkanie. W pierwszej chwili, zanim jeszcze zdążyła przeczytać treść korespondencji, pojawiły się emocje. Czuła, że serce zaczęło bić szybciej.

*Witam serdecznie,  
pani Justyno, wracając do naszej wcześniejszej korespondencji, pozwalam sobie ponowić prośbę o spotkanie. Czynię to jedynie dlatego, że była pani uprzejma wyrazić na nie zgodę.*

*Tak się składa, że muszę być we Wrocławiu jeszcze w tym tygodniu, a więc proszę podać dogodny termin i ewentualne miejsce. Sądzę, że wygodniej będzie, jeśli umówimy się poza miejscem pracy. Proszę*



*przy tym nie zrozumieć mnie źle. Czynię tak jedynie w trosce o pani komfort.*

*Życzę miłego dnia i pozdrawiam*

*Łukasz Zarzycki*

Nie od razu odpisała na propozycję spotkania. Była ostrożna i przede wszystkim chciała uniknąć dwuznaczności, musiała więc przemyśleć dalsze postępowanie wobec Łukasza.

Sama myśl o nim wywoływała w niej sprzeczne uczucia. Z natury nie lubiła ludzi jego pokroju, zepsutych stanem posiadania, zadufanych w sobie. Choć prawdę mówiąc, nie była pewna, czy on tak do końca uosabia te negatywne cechy. Z tych krótkich spotkań i kilku e-maili wyłaniał się obraz człowieka kulturalnego i miłego. Szalę na jego korzyść przeważył cel spotkania, związany z interesami.

*Witam Pana,*

*dziękuję za życzenia. Mam nadzieję, że dzisiejszy dzień będzie rzeczywiście miły.*

*Jeśli chodzi o spotkanie, to proponowałabym środę. Co do miejsca, to wybór pozostawiam Panu, sugerując, aby to było gdzieś w pobliżu rynku i nie wcześniej niż po godzinie siedemnastej.*

*Pozdrawiam*

*Justyna Wolak*

Kilka godzin spędzonych przy desce kreślarskiej dało się Justynie nieźle we znaki. Bolały ją plecy, nogi i ramiona. Zrobiła sobie małą przerwę. Podeszła do okna, aby spojrzeć na miasto. Z wysokości dwunastego piętra widok był imponujący. Wszystko, budynki, ulice, parki tonęły pod grubą warstwą śniegu. Wymarzony czas na urlop, pomyślała. Kiedy to ja ostatnio jeździłam na nartach? — zastanawiała się z nostalgią. Chyba jeszcze na studiach.

Pojechali wtedy całą paczką do Szklarskiej Poręby. Spędzili tam ponad tydzień. I choć nigdy nie należała do wytrawnych narciarzy, na stoku czuła się raczej pewnie. Zanim osiągnęła podstawowy stopień sprawności, zaliczyła niejedną zaspę. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie niezliczonej ilości upadków i wypinających się nart, które gdzieś same uciekały. Na szczęście jeździła po niewielkich pagórkach, oślich łączkach — jak je nazywali wprawieni narciarze. No i po kilku dniach radziła już sobie całkiem nieźle.

Przeciągnęła się niczym leniwy kot z uniesionymi ponad głowę ramionami, po czym wróciła do deski kreślarskiej.

Na godzinę przed końcem pracy przyszła kolejna wiadomość od Łukasza. zaproponował, aby spotkali się następnego dnia w Lemoniadamie.

Czy oni wszyscy powariowali z tą Lemoniadą! — wypaliła z niepohamowaną emocją. Jakby we Wrocławiu nie było innych miejsc.

W pierwszej chwili przyjęła propozycję. Pocieszała się myślą, że przy okazji pozna lokal, o którym z taką fascynacją opowiadała Agata. Po przemyśleniu zaproponowała jednak inne miejsce, aby przyjaciółka nie pomyślała, że idzie jej śladem.

W czasie gdy porządkowała swoje biurko z zamiarem pójścia do domu, podeszła do niej Monika Wender. Była podekscytowana, bardzo czymś przejęta. Na pierwszy rzut oka widać było, że coś ją trapi. Miała to wypisane na twarzy. Nie była tą samą osobą, którą niedawno poznała w gabinecie wiceprezesa.

— Przepraszam, czy znalazłabyś dla mnie kilka minut? — zapytała nieśmiało. — Chciałabym porozmawiać.

— Właściwie to wybierałam się już do domu — Justyna próbowała się wykręcić. — Ale jeśli to pilne...

— Nie zajmę ci dużo czasu. Obiecuję.

— No, dobrze. Usiądź — wskazała na krzesło stojące obok.

Milczała przez chwilę. Najwyraźniej nie wiedziała, jak rozpocząć rozmowę.

— Mam problem — zaczęła, przełamując paralizujące ją onieśmienie. — Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale czuję się tutaj bardzo źle. Mówię o firmie. Mimo że pracuję bardzo krótko, odnoszę wrażenie, że nie jestem akceptowana.

— O czym ty mówisz? Nie jesteś przypadkiem przewrażliwiona?

— Nie. Zapewniam cię, że nie. Ludzie traktują mnie z wyraźnym dystansem. Może ty mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Czy popełniłam jakiś błąd, może nietakt?

— Niczego takiego nie zauważyłam — próbowała uspokoić Monikę.

Justyna nie była do końca szczerą i czuła się z tym źle. Wiedziała, że kobietę traktowano inaczej, niż zwykle traktuje się osoby nowe czy nawet protegowane. W jej przypadku działało bardzo wredne posądzenie o bliskie stosunki z szefem. Powiedzenie jej tego prosto w oczy nie wchodziło w grę. Musiała to zrobić w jakiś inny, bardziej subtelny sposób. Chciała jej pomóc z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że Monika ujęła ją swoją otwartością, ale i bezradnością. Po drugie dobrze pamiętała swoje pierwsze dni w firmie. Czuła również ciężący na niej obowiązek jako bezpośredniej przełożonej.

— Słuchaj, tak to już jest, że nowych traktuje się z pewnym dystansem. Trzeba czasu, aby poznać się ze wszystkimi bliżej, a następnie zaprzyjaźnić. — Justyna próbowała uspokoić Monikę. — Tu pracują ludzie z różnych środowisk mający jakieś ambicje. Bywa, że nadmierne.

— To oczywiście rozumiem — wtrąciła. — Tylko wydaje mi się, że tu chodzi o coś więcej.

— Masz jakieś podejrzenia?

— Szczerze mówiąc, nie.

— Nie gniewaj się, ale zapytam cię o osobistą sprawę. — Justyna postanowiła zbliżyć się do tematu, który stanowi główne podłoże nieprzyjaznych stosunków w pracy. — Powiedz szczerze, jak do nas trafiłaś?

— Nie gniewam się. Nie mam nic do ukrycia — odpowiedziała z przekonującą szczerością. — Pracę załatwił mi wiceprezes, czego się zapewne domyślasz. To jest serdeczny przyjaciel mojego taty jeszcze z czasów wspólnej walki z systemem totalitarnym. Pracowali razem jako wykładowcy na tej samej uczelni. Przez wiele lat działali w podziemnych strukturach, a później, w czasach Solidarności, byli aktywnymi członkami tego ruchu. Łączą ich wspólne przeżycia, represje ze strony ówczesnych władz i podobne sprawy.

— Rozumiem. Nic bardziej osobistego? — Czują, że wchodzi w bardzo delikatne sfery życia Moniki.

— Nie, skąd! — W tonie głosu dało się wyczuć nutkę urazy. — Pan Krasicki jest przyjacielem rodziny. Często u nas bywa. Nie robię z tego żadnej tajemnicy, ale zaczynam chyba coś rozumieć — dodała po chwili zastanowienia. — Myślisz, że to może być powodem moich kłopotów?

— Nie wiem, próbuję poznać okoliczności.

— Jeśli oni sądzą, że łączą mnie z nim jakieś osobiste stosunki, to nic dziwnego, że tak mnie traktują. Ale jak można... — urwała w pół zdania, odwracając głowę w stronę okna.

— Monika, spokojnie. To wcale nie musi być to. Ja tylko próbuję... — starała się złagodzić napięcie, jakie zaczęło dominować w ich rozmowie.

— Tak, wiem. Rozumiem. Powiedz mi, proszę, jak mam się teraz zachować. Jeżeli wszyscy posądzają mnie o... romans — wymówiła to słowo z wyraźnym niesmakiem — czy ja mam to teraz dementować? Jeśli nawet... Jak to zrobić? Chodzić od biurka do biurka?

— Nie jestem na tym polu ekspertką, ale wydaje mi się, że niczego nie powinnaś dementować. W takich sytuacjach czas jest najlepszym sprzymierzeńcem. Prawdę udowodnisz swoim postępowaniem. Wprawdzie zajmie ci to trochę czasu, ale to jedyny skuteczny sposób. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Cholera, że też zgodziłam się na podjęcie tej pracy. Wydaje mi się, że lepszym sposobem na rozwiązanie problemu będzie moje odejście.

— Zrobisz, jak zechcesz. W ten sposób jednak niczego nie wyjaśnisz, a raczej utwierdzisz wszystkich w przekonaniu, że coś w tym wszystkim było.

— Sama nie wiem. Podoba mi się tu, jeśli chodzi o pracę, ale ta atmosfera mnie wykańcza.

— Uspokój się. Daj sobie trochę czasu, a ja również spróbuję coś w tej sprawie zrobić.

— Dobrze — spojrzała na Justynę ze łzami w oczach. — Jesteś kochana. Od początku wyczułam w tobie szlachetność i nie myliłam się. Dziękuję i przepraszam, że zajęłam ci więcej czasu niż sądziłam.

Justyna długo nie mogła zasnąć. Nurtowały ją sprawy minionego dnia. Analizowała sytuację, w jakiej znalazła się jej nowa pracownica. Szukała sposobu na rozwiązanie tego problemu. Choć pierwszego dnia, kiedy poznała Monikę w gabinecie wiceprezesa, sama była do niej uprzedzona, teraz jednak bardzo chciała jej pomóc.

Zastanawiała się również nad spotkaniem z Łukaszem Zarzyckim, do którego miało dojść następnego dnia. Towarzyszyły temu sprzeczne emocje. Nadal nurtowała ją myśl, że pod oficjalnym charakterem tego spotkania kryje się coś więcej. Przypomniała sobie również słowa pana Karola, który dostrzegł w nim jakąś sprzeczność, nieszczerłość.

Kiedy w końcu usnęła, znowu pojawił się ten nieprzyjemny sen, w którym tajemniczy mężczyzna bez twarzy chodzi za nią nocną porą po wyludnionych ulicach.

Poranek przyniósł zmianę pogody. Mróz wyraźnie zelżał, a bezchmurne niebo zapowiadało piękny słoneczny dzień. Mimo krótkiego snu Justyna była w dobrym nastroju. Wychodząc na ulicę, z nutką żalu spojrzała na unieruchomionego garbuska, przysypanego pokrywą śniegu. Postanowiła, że zadzwoni dzisiaj do serwisu samochodowego i poprosi o pomoc.

Po porannej naradzie Justyna poprosiła do siebie Agatę. Chciała porozmawiać o Monice i jej problemach.

— Aguś, mam do ciebie bardzo delikatną sprawę — zaczęła ostrożnie. — Chodzi o tę nową... Wiesz, o kim mówię.

— Domyślam się. I co, miałam rację? Już masz z nią problemy? — Agata prawie zacierała ręce.

— Przestań. Nie podniecaj się, tylko posłuchaj. — Zaczynała tracić cierpliwość. — Dziewczyna jest niewinna i trzeba jej pomóc. Rozumiesz.

— Nie bardzo. Mów jaśniej. — Teraz zżerała ją ciekawość.

— Wszystkie pomówienia, te wasze nędzne ploty są całkowicie bezpodstawne. Krzywdzicie dziewczynę. Właśnie to staram ci się powiedzieć.

— Jak to? Skąd wiesz? — Najwyraźniej czuła się zawiedziona.

— A tak to. Monika nie jest żadną kochanką Krasickiego — zniżyła głos do szeptu. — Chciałabym, abyś przyjęła to raz na zawsze do wiadomości.



— Jesteś tego pewna? — nie dowierzała. — Przecież to on ci ją przedstawił, co — jak na tutejsze zwyczaje — nie jest zachowaniem standardowym.

— No dobrze. Ona jest jego protegowaną, ale za tym nie kryje się nic poza tym, że była to jedynie przysługa wobec jej ojca. Rozumiesz? To bardzo zżyci ze sobą przyjaciele.

— Aaa, ale jakby na to nie patrzeć, to jest protekcja — nie dawała za wygraną Agata.

— No i co z tego? Mało tu takich protegowanych? Co druga osoba trafiła do firmy z czyjegoś namaszczenia. Takie czasy, moja droga. Jeśli chodzi o Monikę, to przy bliższym poznaniu jest całkiem do rzeczy.

— A ty skąd o tym wiesz? Zaprzyjaźniłyście się? A to spryciula!

— Aga, proszę...

— No dobrze, wierzę ci. Czego w związku z tym oczekujesz ode mnie?

— Pomóżmy jej. Jest naprawdę w porządku. Czego oczekuję? Tylko tego, abyś mimochodem szepnęła tu i ówdzie coś dobrego na jej temat. Masz tu autorytet. Ludzie liczą się z twoją opinią. Ja tego zrobić nie mogę. Nie uwierzą. Pomyślą, że staram się coś przykryć.

— Rozumiem. Ty rzeczywiście nie możesz tego zrobić. No dobrze, spróbuję, nie licząc jednak na cud. Ale, ale... Teraz ja muszę ci coś powiedzieć. Wyobraź sobie, że dzwonił do mnie Artur. Po raz kolejny bardzo przeproszał

za swoje zachowanie w Lemoniadzie. Nalegał, abym dała mu szansę na zrehabilitowanie się.

— Co ma na myśli?

— Tego tak do końca nie powiedział, ale wydaje mi się, że chciałby mnie gdzieś zaprosić.

— A propos zaproszenia. Wiesz, gdzie dzisiaj miałam się spotkać z Łukaszem Zarzyckim?

— Nie mam pojęcia. Gdzie?

— I tu cię zaskoczę. W Lemoniadzie. Tak, tak, w twojej Lemoniadzie.

— No proszę. Idziesz moim tropem — żartowała Agata.

— Nie słuchasz mnie. Miałam się tam spotkać, ale ostatecznie umówiliśmy się gdzie indziej.

Kiedy Justyna weszła do holu, natychmiast zjawił się przy niej Łukasz Zarzycki. Przywitał się i wręczył bukietek pachnących frezji. Był bardzo ożywiony, szarmancki, a uśmiech wprost rozpromieniał jego twarz.

— Jakie to miłe, że znowu możemy się spotkać — mówił, patrząc jej głęboko w oczy. — Wygląda pani wprost oszałamiająco.

— Dziękuję, przede wszystkim za piękne kwiaty i za miłe słowa — nie traciła pewności siebie.

— Mam nadzieję, że wybór miejsca spotkania odpowiada pani. Staralem się znaleźć coś, co byłoby przede wszystkim stosowne, jak i niezbyt odległe od pani miejsca zamieszkania. Mam nadzieję, że mi się to udało.

— Tak, jak najbardziej — potwierdzając jego słowa, rozejrzała się wokół siebie. — Wprawdzie nigdy tu nie byłam, ale słyszałam o tym miejscu wiele dobrego.

— Cieszę się i zapraszam do środka — gestem ręki wskazał kierunek.

Usiedli przy stoliku w niewielkiej restauracji, w której znajdowało się zaledwie kilka osób. W tle snuła się nastrojowa muzyka. Natychmiast pojawił się przy nich kelner i dyskretnym spojrzeniem sondował, czy to jest właściwy czas na rozpoczęcie kulinarnego ceremoniału.

Łukasz zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Pierwszym elementem był aperitif, po czym na stole pojawiały się kolejno wysublimowane dania, które już na pierwszy rzut oka zaświadczały o swojej wykwinotności. I takie faktycznie były.

Justyna, onieśmielona wytwornością przyjęcia, zapytała kurtuazyjnie, czym sobie na taką gościnę zasłużyła.

— Pani Justyno, to naprawdę nic nadzwyczajnego. Taka kobieta, dama zasługuje na specjalne traktowanie. Powiem szczerze... — na chwilę zawiesił głos, jakby szukał stosownych słów — w dzisiejszych czasach nie ma już takich kobiet. Pani jest niczym brylant w kasetce z paciorkami. Jest pani kobietą piękną, niezwykle wrażliwą, artystycznie uzdolnioną, kompetentną w swoim zawodzie... Mógłbym tak długo.

— Panie Łukaszu, bardzo proszę... — przerwała krępującą wyliczankę. — Jest pan nazbyt uprzejmy. Zapewniam pana.

— To, co mówię, nie jest kurtuazją. Wiem o pani sporo. Czytałem w prasie o pani dokonaniach. Między innym dlatego tu jesteśmy.

— I nadal nie zmienia pan wątku. Wysłuchiwanie na swój temat tylu niezasłużonych peanów nie jest łatwe — uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Rozumiem, rozumiem. Jest pani osobą skromną, ale szczerze to doceniam. Zanim przejdziemy do mniej przyjemnej części wieczoru, proponuję mały toast — uniósł kieliszek z białym winem. — Za pomyślność naszych dalszych rozmów.

Po spełnieniu toastu Łukasz wyłuszczył swoje oczekiwania wobec Justyny. Zapropował jej aranżację wewnątrz w prywatnym obiekcie, który ma powstać na terenie budowanego obecnie kompleksu sportowo-rekreacyjnego.

— Nie ukrywam, że inspiracją do złożenia tej propozycji jest to, co widziałem u mecenasa Boryckiego. Pani jest autorką aranżacji wewnątrz w jego posiadłości.

— Mecenasa Borycki... — szukała w pamięci szczegółów związanych z tamtym projektem. — Taak, pamiętam. To było dosyć dawno. Stary, zdewastowany dworek. Odtwarzaliśmy jego wystrój niemal od podstaw. Nie zachowała się praktycznie żadna sztukateria. Gołe ściany z resztkami zmurszałych tynków. Wspominam ten czas jak wspaniałą — powiedziałabym — przygodę. Bardzo lubię takie wyzwania.

— No właśnie. To mnie bardzo cieszy. Z tego wszystkiego, co tam widziałem, przebijała niezwykle uduchowiona osobowość projektantki. Wtedy jeszcze nic o pani nie wiedziałem.

— Dziękuję, to miłe. Tak to już jest, że efekt w dużej mierze zależy od tego, ile się weń włoży serca. Nie ukrywam, że bardzo lubię koncepcje związane ze starymi budowlami, zabytkami. Na tym polu czuję się jak ryba w wodzie.

— Wiem i to, znam pani zainteresowania i pokornie proszę o wybaczenie, że przy różnych okazjach wypytywałem o panią. Przy czym zawsze starałem się to robić tak, aby w niczym pani nie uchybić.

— Cieszę się z tego zapewnienia, bo już zaczynałam się bać — żartowała.

Wieczór upływał w bardzo sympatycznej atmosferze. Łukasz okazał się człowiekiem bardzo kontaktowym, miłym i — co najważniejsze — nie był uwodzicielski, czego Justyna bardzo się obawiała. Teraz łąpała się na tym, że chwilami patrzyła na niego z coraz większą dozą sympatii. Widziała w nim dojrzałego, pełnego pozytywnej energii mężczyznę. Zaczęła również dostrzegać walory jego urody.

Łukasz mówił dużo, ponieważ tego wymagał cel spotkania. Zapoznał Justynę ze szczegółami swoich oczekiwań. W jej ręce zamierzał złożyć koncepcję urzędnika

swojej willi, i to w najdrobniejszych szczegółach. Przy tym miało to być zlecenie prywatne, wykonywane poza firmą.

Opowiedział jej o swoich zainteresowaniach, między innymi żeglarskich. Kolekcjonował stare łodzie i wszystko, co jest z nimi związane. Zamierzał to wyeksponować na terenie budowanej obecnie przystani.

Przez cały wieczór Justyna szukała stosownej chwili, aby podjąć swoje śledztwo dotyczące wigilijnego prezentu. Kilka razy wydawało jej się, że nadszedł dogodny moment, tymczasem Łukasz — jakby to wyczuwał — zmieniał radykalnie temat.

Kiedy w końcu rozmowa potoczyła się w kierunku urządzenia biblioteki, zapytała o jego ulubione książki. Wówczas nieoczekiwanie przyznał, że lubi stare wydania. Cenił je jednak bardziej praktycznie niż emocjonalnie. Justyna obserwowała go bardzo uważnie. Szukała najdrobniejszych oznak zakłopotania, jakie zwykle towarzyszy komuś, kto stara się coś ukryć. Wydawało jej się nawet, że coś takiego dostrzegła w jego oczach, które momentami robiły wrażenie rozbieganych.

— Zastanawiam się, czy pan wie, że ja również kolekcjonuję starodruki — postanowiła podjąć temat bardziej zdecydowanie. — Kocham książki, które posiadają imponującą metrykę.

— Tak, wiem — urwał nagle, starając się ukryć tę ledwo dostrzegalną szczyptę zakłopotania. — Słyszałem...

— Czy ma pan może w swojej kolekcji stare wydanie *Opowieści wigilijnej*? — zapytała wprost i patrząc mu prosto w oczy, oczekiwała odpowiedzi.

— *Opowieść wigilijna...* — powtórzył wolno, jakby potrzebował czasu na znalezienie bezpiecznej odpowiedzi. — Wydaje mi się, że obecnie nie.

— To znaczy, że je pan miał? — czuła, że triumfuje.

— Tak, chyba tak, a dlaczego pani pyta?

— Szukam kogoś, kto w Wigilię — chciała ugryźć się w język, wycofać rozpoczęte zdanie, ale było już za późno — zrobił mi niezwykle prezent. Kiedy przyszłam wcześniej rano do pracy, na biurku znalazłam przepiękne wydanie wspomnianej *Opowieści wigilijnej*.

— To cudownie, gratuluję. Mam nadzieję, że przyjęła to pani jak najprawdziwszy dar z nieba.

— To rzeczywiście wspaniały prezent. Mam z tym jednak pewien kłopot. W dary niebios już nie wierzę, natomiast bardzo chciałabym podziękować prawdziwemu ofiarodawcy. I dlatego korzystając z okazji — postanowiła pójść za głosem swojej intuicji — dzisiaj bardzo panu za ten dar dziękuję.

— Jak to? Dlaczego? Skąd pani wie? — uległ w końcu i dłużej już nie zaprzeczał.

— My, kobiety, mamy ten szósty zmysł, przed którym nic się nie ukryje — przekornie stwierdziła.

— Zatem, jeśli już się wszystko wydało, a miało być wieczną tajemnicą, proszę o przyjęcie tego prezentu bez najmniejszego skrepowania.

— Noo, nie wiem, panie Łukasz. Takich prezentów nie robi się nieznanym. Chyba mnie pan rozumie. Coś tak cennego musi budzić jeśli nie podejrzenia, to co najmniej niepokój.

— Tak, rozumiem. Niemniej proszę o przyjęcie tego prezentu jako dowodu uznania dla pani talentów — wił się jak wąż w terrarium. — Poza tym najważniejszym miejscem dla tego typu eksponatu jest pani kolekcja.

— Dziękuję. Książka jest rzeczywiście cudowna, jednak cieszyć się w pełni z jej posiadania będę mogła wówczas, kiedy uznamy, że stanie się ona przedmiotem końcowego rozliczenia naszej współpracy. — Była nieugięta. — Przy czym szczerze panu dziękuję za niezwykle trafiony prezent.

— Cieszę się, że sprawiłem pani radość. Choć muszę się poskarżyć, że unicestwiła pani moje intencje, jeśli chodzi o anonimowość i bezinteresowność. Byłem wielce rad, że to rzadkie wydanie znajdzie się w pani rękach za moją przyczyną.

— I tak się stało.

— Ale przyzna pani, że to już nie to samo — dodał nieco zawiedziony. — Myślę, że uda nam się znaleźć jakiś kompromis. Kiedyś jeszcze zapytam, jak pani na to wpadła... niczym Sherlock Holmes.

Po wyjściu z lokalu Łukasz zaproponował, że odwiezie ją swoim *samochodem*, który stał w jednej z bocznych ulic. Justyna jednak wolała się przejść, zwłaszcza



że nie miała do domu daleko. Pokusą był wyjątkowo piękny wieczór. Mróz sięgał zaledwie kilku stopni poniżej zera, padał drobny śnieg, co gwarantowało, że spacer w takich warunkach może być bardzo przyjemny.

Poszli więc razem przez rynek ozdobiony świątecznymi akcentami. Pora nie była zbyt późna, kręciło się tu jeszcze wielu przechodniów.

Przed bramą wejściową do klatki schodowej Łukasz, żegnając się, przekazał jej dokumentację techniczną budynku. To na jej podstawie miała powstać koncepcja zagospodarowania i urządzenia wewnątrz jego posiadłości.

- Opowiadaj, jak było — dopytywała trawiona ciekawością Agata.
- Co, jak? Normalnie. Spotkaliśmy się, pogadaliśmy i wszystko — droczyła się Justyna.
- Nie wygłupiaj się. Jaki on jest?
- Fajny. Miły, towarzyski i z gestem. Można by powiedzieć, że to nie było zwykłe spotkanie biznesowe, ale co najmniej okolicznościowe przyjęcie. Ugościł mnie niczym księżniczkę. — Justyna ujawniła emocje, o których jeszcze przed chwilą sama nie miała pojęcia.
- Jesteś nim zafascynowana, nie mylę się?
- No coś ty. Mówię tylko, że spotkanie było na poziomie, ale rozmawialiśmy o interesach. Nie myśl sobie. Żadnych takich osobistych wycieczek.
- Nie myślę, spoko. Chcę tylko wiedzieć troszeczkę więcej niż mi mówisz — tłumaczyła swoje prowokacyjne uwagi.

Justyna opowiedziała koleżance o przebiegu całego wieczoru, o menu, prowadzonych rozmowach i o przyjętych na siebie zobowiązaniach. Z dumą pochwaliła się, że rozwiązała w końcu zagadkę związaną z wigilijnym prezentem.

Agata słuchała tych zwierzeń z wypiekami na twarzy, wyobrażając sobie zapewne dużo więcej niż to, co wynikało z relacji Justyny. Oczyma wyobraźni kreśliła obraz zauroczonej sobą pary. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mogło być inaczej, szczególnie po tym, jak usłyszała, że Łukasz odprowadził Justynę pod bramę jej kamienicy. Całą relację skwitowała wymownym westchnieniem i błogim spojrzeniem na szczęśliwą przyjaciółkę.

Po południu Justyna pojechała sprawnym już garbuskiem do antykwariatu. Chciała się upewnić, czy pan Karol nie potrzebuje pomocy. Staruszek szczerze ucieszył się na jej widok. Był już w znacznie lepszej formie niż poprzednio.

— Nic mi już nie jest — zapewniał dumnie o swoim stanie zdrowia.  
— Czuję się niczym młodzieniaszek.

— Ale kaszelek to pana jeszcze nie opuścił — nie dawała się zwieść zapewnieniom. — Ma pan jeszcze syrop? Bo jeśli nie, to chętnie skoczę do apteki.

— Eee, nie trzeba. Wieczorem zrobię sobie syrop z cebuli, taki, jaki robiła mi moja mama. To najskuteczniejszy sposób na kaszel — zapewniał zatroskaną Justynę. — Ale mów, mów, dziecinko, co tam u ciebie.

— Nic szczególnego. No może to, że podjęłam się nowego wyzwania. Przyjęłam zlecenie na urządzenie willi pewnej zamożnej osoby. Będę to robiła prywatnie, poza godzinami pracy.

— To dobrze, to dobrze. Zarobisz sobie parę groszy — cieszył się staruszek. — A podołasz temu? Znajdziesz na to czas, dziecinko?

— Myślę, że tak. Zresztą będę musiała. Już się na to zdecydowałam.

— Ech, wy młodzi, wy młodzi. Ciągle zabiegani. Nie macie nawet czasu na swoje życie, które ucieka, serduszek, oj, ucieka.

Justyna opowiedziała też antykwariuszowi o rozwiązaniu zagadki wigilijnej, co go bardzo ucieszyło. Po uważnym wysłuchaniu całej historii poprosił, aby była roztropna. Ktoś, kto robi tak kosztowne i rzekomo bezinteresowne prezenty, musi budzić niepokój.

Posiedzieli przy kawie ponad godzinę, rozmawiając o książkach, które w ostatnim czasie trafiły do antykwariatu.

Na tej podstawie można było prowadzić interesujące obserwacje o zmieniających się gustach wśród czytelników. Ludzie coraz częściej pozbywają się literatury pięknej, znanych i cenionych autorów. Klasyka przestaje interesować kogokolwiek. Gdyby nie przymusowe lektury szkolne, nikt dzisiaj nie przeczytałby *Ludzi bezdomnych*, *Janka Muzykanta* czy nawet *Wesela* Wyspiańskiego.

Ludzie nagminnie oddają również kryminały z serii Klub Srebrnego Klucza czy Z Jamnikiem, które zalewały rynek czytelniczy w drugiej połowie XX wieku. Teraz trafiają one za pośrednictwem stojącej na trotuarze skrzynki do piwnicy. W tym przypadku w dosłownym tego słowa znaczeniu.

— Od pewnego czasu znajduję też jakieś dziwne listy — mówił z wyraźnym przejęciem. — Píše je ktoś szczególny, wrażliwy... — nagły atak kaszlu przerwał w pół zdania jego słowa. — Kiedyś, dziecinko, kiedyś ci o nich opowiem.

Reakcją na ten męczący atak kaszlu była decyzja pójścia do apteki. Justyna ubrała się czym prędzej i nie bacząc na słowa pana Karola, pobiegła po lekarstwa. Przy okazji kupiła również cytrusy i uwielbiane przez seniora pączki.

Wieczorem zadzwoniła Agata. Chciała porozmawiać o nurtujących ją wątpliwościach. Nie wiedziała, jak ma traktować Artura, który wydzwaniał do niej przez cały dzień. Nalegał, aby umówili się na sobotni wieczór. Był przy tym bardzo miły. Robił wszystko, aby zatrzeć wrażenie swojego wcześniejszego niestosownego zachowania.

Justyna starała się niczego nie doradzać. Tylko Agata powinna zdecydować, czy jej nowy przyjaciel jest na tyle odpowiedzialny, by mogła kontynuować tę znajomość.

Zanim poszła do łóżka, Justyna przejrzała jeszcze otrzymaną od Łukasza dokumentację. Zawsze starała się

najpierw szczegółowo poznać obiekt, wręcz zaprzyjaźnić się z jego wnętrzami, a dopiero później podejmować działania projektowe. Najbardziej odpowiadały jej prace prowadzone na budowlach, które już istniały. W tym przypadku całość była jeszcze na wstępnym etapie budowy. Ze względu na niesprzyjające warunki pogodowe inwestycja zatrzymała się na piwnicach.

Postanowiła, że jutro z samego rana uzgodni swoje zamierzenia projektowe z wiceprezesem. Gdyby tego nie uczyniła, mogłaby zostać posądzona o działanie wbrew interesom firmy.

Nie ma chyba osoby, która nie lubiłaby piątku. To z pewnością najpiękniejszy dzień tygodnia. Perspektywa weekendu nastraja wszystkich bardzo pozytywnie. I taka właśnie miła atmosfera dominowała dzisiaj w InvestProjekcie. Ludzie odnosili się do siebie z wyczuwalną sympatią. Nawet przygnębiona dotąd Monika Wender zaczęła z nadzieją podnosić głowę.

— Justyna, coś ty takiego zrobiła? Jesteś cudotwór-czynią — ekscytowała się.

— Ale o co ci chodzi, bo nie rozumiem.

— Oni wszyscy są dla mnie jacyś inni. Zmienili się — zniżyła głos w obawie, że ktoś ją usłyszy. — Odnoszą się do mnie bardziej przyjaźnie. Jak ty to zrobiłaś?

— Niczego nie robiłam. Mówiłam ci, że to samo się zmieni. Trzeba tylko czasu, aby prawda mogła zatriumfować.

— Mów sobie, co chcesz, a ja i tak wiem swoje. Jesteś kochana, dziękuję. — Odeszła niemal w podskokach, jakby wygrała los na loterii.

Justyna odprowadziła ją wzrokiem, czując wewnętrzną satysfakcję i radość, jakby to ona sama była na jej miejscu. — Wiedziałam, że tylko Agata może tego dokonać — uśmiechnęła się do siebie. — Muszę ją uściskać.

Sobota, podobnie jak niedzielne przedpołudnie, upłynęły Justynie na totalnym relaksie. Parę razy zajrzała do dokumentacji budynku Łukasza Zarzyckiego, przejrzała kilka czasopism, obejrzała jakiś mało absorbujący program telewizyjny. Słowem pełny błogostan. Po obiedzie zamierzała pójść na spacer, aby się nieco dotlenić.

W połowie posiłku odezwał się telefon, który zburzył cały dotychczasowy spokój.

Dzwoniła Agata. Była zrozpaczona, załamana. Szlochała tak intensywnie, że Justyna nie mogła niczego zrozumieć.

— Aga, co się dzieje? Uspokój się i mów wyraźnie — prosiła równie przerażona jak jej rozmówczyni.

— Justyna, przyjedź, proszę, bo nie wiem, co sobie zrobię — nalegała rozpaczliwie.



— Ale co się stało? Jesteś w domu? Sama? — dopytywała.

— Przyjedź, błagam!

— Dobrze, kochanie, już jadę, ale uspokój się. Będę najdalej za pół godziny.

Ubrała się w pośpiechu, zamknęła drzwi mieszkania, wskoczyła do auta i ruszyła na pomoc przyjaciółce. Ani na chwilę nie opuszczały jej myśli o Agacie. Analizowała słowa, jakie przed chwilą usłyszała w słuchawce. Nie mogła zrozumieć, co się stało. Rozważała różne scenariusze. Włamanie, nieszczęśliwy wypadek w łazience, wybuch gazu w kuchni... Nagle jakiś niefrasobliwy kierowca wyjechał ryzykownie z bocznej ulicy, nieomal ocierając się o prawy bok jej samochodu. Ty idioto, jak jeździsz! — krzyknęła w jego kierunku. Jeszcze tego brakuje, żebym utknęła w jakimś karambolu.

Pędziła swoim garbusem ulicami, zmieniając brawurowo pasy jezdni. Na szczęście natężenie ruchu nie było zbyt duże i dojazd do mieszkania przyjaciółki zajął jej znacznie mniej czasu niż w dzień powszedni.

Szybkie parkowanie, bieg po schodach na drugie piętro, przycisk dzwonka... Ciężko dysząc, czekała, wydawało jej się, że wieki, aż w końcu usłyszała zgrzyt otwieranego zamka.

W przedpokoju stała Agata, choć w niczym nie przypominała tej uroczej, pełnej radości życia blondynki. Widok był przerażający. Wyglądała jak ktoś, kogo przed

chwilą wyłowiono z wody. Miała mokre, zwisające wzdłuż głowy kosmyki włosów, podkrążone oczy i sine, drżące wargi. Ubrana w szlafrok nerwowo pocierała rękoma swoje ciało. Na widok Justyny rozpląkała się i rzuciła w jej ramiona, jakby tam szukała bezpiecznego schronienia.

— No dobrze, już dobrze. Jestem przy tobie — starała się uspokoić przyjaciółkę. — Nie płacz, tylko spokojnie opowiedz mi, co się stało.

Trzeba było czasu, aby Agata opanowała emocje. Stały tak przez jakiś czas, po czym weszły do pokoju.

— Jeśli mam ci jakoś pomóc, musisz mi powiedzieć, co się stało — próbowała nakłonić ją do zwierzeń. — Czy ktoś cię skrzywdził?

Na to pytanie Agata zareagowała kolejną falą płaczu, kryjąc twarz w dłoniach. Justyna cierpliwie ponowiła prośbę.

— Agus, tak nie można. Musisz się opanować. Porozmawiajmy, bo mi serce pęknie. Bardzo chcę ci pomóc.

— Dobrze, wiem. Masz rację — próbowała opanować płacz. — Po co mi to było? Po co? To cham skończony!

— Kto taki, o kim mówisz?

— Artur — wyrzuciła z nienawiścią.

— Artur Bralczyk? Czy to o niego chodzi?

— Tak — odpowiedziała, zanosząc się płaczem.

— Może przyniosę ręcznik, osuszysz włosy, a ja w tym czasie zaparzę kawy? — Chciała jej dać trochę czasu na uspokojenie emocji.

Z każdą chwilą Agata wracała do jako takiej równowagi. Siedziała na fotelu z nogami podwiniętymi pod siebie. Na głowie miała turban z ręcznika. Justyna nie naciskała, czekając cierpliwie na stosowny moment. Wiedziała, że za chwilę dowie się wszystkiego, że Agata musi do tego dojrzeć.

— Nic nie zapowiadało tego, co się wydarzyło — drżącym głosem zaczęła swoją opowieść. — Artur przyjechał po mnie samochodem o dwudziestej i zabrał do jakiegoś klubu na obrzeżach miasta. Nigdy tam nie byłam. Lokal jak lokal, w sumie niezły. Bawiliśmy się świetnie. Poznaliśmy wielu fajnych ludzi. Artur był bardzo miły, powiedziałabym nawet, że troskliwy. Czułam się bardzo dobrze w jego towarzystwie. Trochę wypiliśmy, wiesz, jak to jest... Północ przywitaliśmy w niezłych humorach, ale nie na tyle, abym straciła rozsądek. — Słowo po słowie, kontynuowała swoje zwierzenie. — Nad tym, jak się to wszystkiego potoczyło później, zastanawiam się od paru godzin. Wydaje mi się, że pamiętam moment, kiedy poczułam się najpierw bardzo zmęczona, a później... dziwnie senna. Jestem niemal pewna, że ktoś musiał mi czegoś dosypać. Może do napoju. Nie wiem jak. — Znowu przerwała na chwilę, jakby próbowała poukładać

rozsypane puzzle wspomnień. — Pełną świadomość odzyskałam dopiero o poranku. Obudziłam się... —rozpłakała się ponownie. — Obudziłam się w łóżku... naga obok tego... W jego mieszkaniu, jak się później okazało. — Kolejna fala płaczu przerwała jej zwierzenia. — Z każdą chwilą, kiedy wracała mi świadomość, zaczynałam rozumieć, co się stało. On mnie zgwałcił! Rozumiesz? Brutalnie zgwałcił. Jak jakąś najgorszą! Byłam cała zakrwawiona! — Skryła twarz w dłoniach, dławiąc szloch.

— Kochanie, może na ten moment wystarczy? — zaproponowała z troską Justyna, głęboko poruszona wyznaniem przyjaciółki. — Odpocznij, później o tym porozmawiamy.

— Nie, skoro zaczęłam, opowiem ci wszystko do końca. Kiedy się obudziłam, czułam się strasznie obolała i brudna! Czułam mdłości. Miałam świadomość, że obok mnie leży prawdziwe zwierzę. Każda próba poruszenia się sprawiała mi ból. Byłam przerażona i bezradna. Miałam najgorsze myśli. Kiedy się w końcu obudził, spojrzał na mnie i — jakby nigdy nic — zapytał: „Witaj, kochanie. Nie śpisz? Jak się czujesz?”. Możesz to sobie wyobrazić? A na dodatek powiedział: „Ale byłeś w nocy gorąca. Poszaleliśmy sobie troszeczkę”. I próbował mnie pocałować.

— A to cham skończony! — Justyna nie była w stanie opanować rozsadzających ją emocji. — To mu nie ujdzie na sucho! Bydlak jeden!

— Chwilę później uchyliły się drzwi pokoju, w którym spaliśmy. Zobaczyłam nieznanego mężczyznę. Przywitał nas czymś w rodzaju: „Cześć, co u was? Wypaliście się?”, po czym puścił dyskretnie oko w kierunku Artura. Uśmiechnął się zagadkowo i wyszedł. Kiedy zapytałam, kto to był, usłyszałam, że to kolega, który odwiózł nas z imprezy do domu, a że było późno, został na noc.

— Co ty o tym myślisz? Masz jakieś podejrzenia?

— I to jest najgorsze! Mam poważne obawy, że oni... obaj.

— Przestań, nawet tak nie myśl! To niemożliwe! — zerwała się z miejsca. — Boże, dokąd ten świat zmierza? Co się z tymi ludźmi dzieje?

Po tych słowach Agata znowu pobiegła do łazienki. Słysząc było, że wymiotuje, a po chwili weszła pod prysznic.

Justyna była oszołomiona. Miała mętlik w głowie. Złość, współczucie i bezradność wypełniały ją do głębi. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Wprawdzie słyszała o przypadkach wykorzystywania dziewcząt za pomocą tak zwanych tabletek gwałtu, nie dopuszczała jednak myśli, że to mogło spotkać jej przyjaciółkę. Kobietę w końcu dojrzała, a nie jakiegoś tam podlotka. Bulwersował ją również fakt, że do takiego kroku posunął się mężczyzna, który obraca się w kręgach towarzyskich.

Agata długo nie wychodziła z łazienki. Przez cały czas stała pod prysznicem, obsesyjnie szorując ciało. Robiła to kolejny już raz i zapewne nie ostatni.

Justyna postanowiła przerwać to naturalne w tej sytuacji zachowanie. Stojąc przed drzwiami, prosiła, aby przestała. W końcu weszła do środka i niemal siłą wyciągnęła ją z kabiny. Przeraził ją widok ciała noszącego ślady przemocy. Otuliła ją czule szlafrokiem, owinęła głowę w ręcznik i zaprowadziła do łóżka. Usiadła na krawędzi i okryła przyjaciółkę szczelnie kołdrą. Milczały. Chwilę później Agata usnęła.

Po godzinie przebudziła się zatrwożona. Zapewne miała zły sen. Z trudem usiadła na łóżku i z przerażeniem rozglądała się po pokoju. Nie do końca rozumiała, co się dzieje. Dopiero widok siedzącej obok Justyny uspokoił ją na tyle, że po chwili ponownie opadła na poduszkę. Leżała w bezruchu wpatrzona w sufit. Nie podejmowała rozmowy. Zapewne biła się z myślami.

— Aga, jak się czujesz? — zapytała po chwili przyjaciółkę. — Może zaparzę ci ziółek? Melisa będzie dobra, działa uspokajająco. Wydaje mi się, że ją masz.

— Dobrze — odpowiedziała po chwili ledwo słyszalnym głosem.

Kiedy Justyna wróciła z naparem, Aga nadal leżała na wznak wpatrzona w sufit. W jej oczach nie było krzty życia. Wiedziała, że musi wyrwać ją z tego stanu, sprowokować do rozmowy, aby mogła wyrzucić z siebie całe zło.

— Usiądź, Aguś, i wypij ziółka — prosiła. — A może chcesz się ubrać?

— Nie, po co? Nigdzie się nie wybieram, do cholery — poniosły ją emocje, a po namyśle dodała: — Przepraszam. Może masz rację.

— Okay. Wobec tego zaniosę filiżanki do stołowego, a ty się ubierz.

Od dobrych kilku minut siedziały naprzeciwko siebie w milczeniu. W końcu Justyna podjęła rozmowę. Zapytała ostrożnie, czy nie zamierza pójść do lekarza. Uważała, że powinna się przebadać z kilku względów, przede wszystkim zdrowotnych. Nie wiedziała też, jakie Agata zamierza podjąć kroki i czy przypadkiem nie będzie jej potrzebna obdukcja.

— Cały czas o tym myślę — przyznała bezradnie. — Szczerze mówiąc, nie wiem, co zrobić. Mam świadomość, że wizyta u lekarza wiąże się z konsekwencjami natury prawnej. Każdy lekarz natychmiast zawiadomi policję. A ja nie wiem, czy chcę takiego rozgłosu.

— Jak to? Zamierzasz mu... im darować?

— A ty byś poszła? Przecież zaraz dowie się o tym cały świat! — Znowu wezbrały w niej emocje. — Nie mówiąc już o firmie. Dopiero będą ploty!

— To znaczy, że chcesz odpuścić? Pozwolisz, aby triumfowali... i robili to innym? Tacy ludzie powinni siedzieć w więzieniu!

— Zgadzam się z tobą, ale zrozum mnie. Nie wiem, czy zniosłabym serię kolejnych upokorzeń ze strony znajomych. W oczy nikt mi tego nie powie. Zapewne będą mi współczuć, litować się, a za plecami gadać: poszła z własnej woli, balowała... Znajdą się tacy, którzy powiedzą: „Sama tego chciała, a teraz udaje cnotę!”.

— Aguś, ale ci bandyci właśnie liczą na taki sposób myślenia, na to, że będziesz chciała to ukryć. Nie możesz im na to pozwolić! Powinni za to odpowiedzieć, i to surowo. Ja sama udusiłabym ich własnymi rękami.

— Zgadzam się z tobą, ale zrozum moje obawy.

Tak naprawdę w głębi duszy Justyna rozumiała przyjaciółkę. Szczerze jej współczuła. Ale pałała chęcią zemsty. Fakty są jednak takie, że Agata umówiła się z facetem z własnej woli, i to nie pierwszy raz. Bawili się w miejscu publicznym, wśród ludzi, sporo wypili, a później wylądowali w jego chacie. Tak kończy się wiele tego typu spotkań. A to, że było ich dwóch, raczej trudno będzie udowodnić. Być może są na to jakieś medyczne sposoby, ale czy rzeczywiście? Słyszała również, że żadne badania nie są w stanie wykryć w organizmie śladów po tabletkce gwałtu.

— Posłuchaj, przepraszam, że dotykam aż tak delikatnej sfery. Nie chciałabyś się przynajmniej przebadać pod kątem... ewentualnej...

— Myślisz o ciąży? Tego się akurat nie obawiam. Od pewnego czasu biorę tabletki — dodała z wyraźną ulgą.



Powoli Agata wracała do jako takiej równowagi. Nie histeryzowała, nie wybuchała spazmatycznym płaczem, natomiast była bardzo przygnębiona i całkowicie bezradna. Razem z oddaną jej bezgranicznie przyjaciółką rozważały scenariusze dalszego postępowania.

Justyna widząc stan, w jakim znajduje się Agata, zaproponowała, że zostanie u niej na noc. To ją wyraźnie ucieszyło. W przeszłości zdarzało się to niejednemu raz, choć w całkowicie odmiennych okolicznościach. Bywało, że popołudniowe spotkanie przyjaciółek przedłużało się do późnych godzin i wówczas decydowały się na wspólny nocleg.

Noc upłynęła w miarę spokojnie. Tylko dwa razy Agata zrywała się ze snu, wymachując rękoma, jakby broniła się przed napastnikami. Leżąc obok niej przyjaciółka uspokajała ją na tyle skutecznie, że po kilku minutach znowu zapadała w głęboki sen.

Justyna wstała wcześniej. Przed pójściem do pracy zamierzała pojechać do siebie, aby się przebrać. Natomiast Agata, tak jak uzgodniły, miała pozostać w domu, przynajmniej jeden, a może dwa dni. Wszystko będzie zależało od jej samopoczucia.

Zdarzenia minionego weekendu rzutowały na cały przebieg dnia. Justyna nie mogła myśleć o niczym innym jak tylko o Agacie i tragedii, jaka ją spotkała. Wielokrotnie analizowała całą sytuację. Nie była w stanie pogodzić się z tym, co przydarzyło się przyjaciółce. Co ona może teraz czuć i jak się powinna zachować? Kilka razy dzwoniła, aby zapytać o jej samopoczucie. Łatwo można było wywnioskować, że pod względem psychicznym nie jest z nią najlepiej.

Około południa zgłosiła szefowi, że musi wyjść wcześniej, i pojechała do Agaty. Chciała być przy niej, wspierać ją w tych trudnych chwilach. Po drodze kupiła pizzę.

Jadąc, przypomniała sobie o snach, tych ponurych marach, które dręczyły ją przez kilka ostatnich nocy. Teraz była niemal pewna, że to były znaki, ostrzeżenia, które zapowiadały to nieszczęście. Poczula do siebie

złość, że nie potrafiła ich właściwie odczytać. Może gdybym je dokładniej przeanalizowała, odkryłabym jakieś symptomy, rozważała w myślach.

Agata otworzyła drzwi już po pierwszym dzwonku. Jakby czekała na nią w przedpokoju. Była blada i przygnębiona. Ucieszyła się na widok przyjaciółki, ale po chwili jej twarz na powrót posmutniała.

— Dobrze, że przyjechałaś. Bardzo mi ciebie brakowało. — Przywitały się serdecznie.

— Przywiozłam ci pizzę, zapewne od rana nic nie jadłaś.

— Na nic nie mam ochoty — stwierdziła beznamiętnie, po czym dodała: — Ale dziękuję, że pomyślałaś. Może później.

— Żadne później, tylko teraz, póki ciepła — zdecydowała i poszła do kuchni po talerz.

Agata dała się namówić na kilka kęsów, choć przełykała je bez apetytu. Żuła w ustach ciasto, jakby ktoś poczęstował ją porcją kauczuku.

— Jak się czujesz? — zapytała Justyna.

— Zależy, o co pytasz. Ogólnie dobrze — dodała po chwili.

— Co postanowiłaś? Zamierzasz pójść do lekarza? Milczała, szukając w myślach właściwej odpowiedzi.

— Czy ja wiem? Czuję się lepiej. Postanowiłam nigdzie z tym nie chodzić. Wybacz, jeśli to nie jest po twojej myśli — dodała z zażenowaniem.

— Nawet tak nie myśl. Nie oceniam cię. W pełni szanuję twoją decyzję i będę cię wspierać we wszystkim. Być może nie uwierzysz, ale dobrze to rozumiem.

— Cieszę się... Bardzo mi na tym zależy — podeszła do Justyny i przytuliła się do niej niczym bezradna dziewczynka. Łzy napłynęły jej do oczu.

Tym razem Justyna wróciła na noc do siebie. Tak ustaliły. Agata zamierzała powoli stawić czoła swoim problemom. Uzgodniły, że następny dzień również spędzi w domu, co pozwoli jej się pozbierać. Nie miały najmniejszych wątpliwości, choć otwarcie o tym nie rozmawiały, że to dramatyczne wydarzenie pozostanie na długo w psychice Agaty. Tymczasem życie będzie płynęło swoim rytmem i prędzej czy później musi się ona włączyć w ten nurt.

Tragedia przyjaciółki sprawiła, że przez kilka dni niedyspozycje zdrowotne pana Karola zeszyły na dalszy plan. Mimo tego Justyna cały czas pamiętała o swoim przyjacielu i zamierzała odwiedzić go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Agata wróciła do pracy i włączając się w wir codzienności, próbowała zapomnieć o swoich przeżyciach. Okazała się silniejsza niż sama mogła przypuszczać. Radziła sobie nieźle. Potrafiła ukryć skutki traumy, jakiej doświadczyła. Nikt w firmie nie dostrzegł w jej zachowaniu niczego szczególnego. Z wyjątkiem Justyny, która z troską obserwowała jej zachowanie. Dostrzegała chwile słabości,

kiedy przyjaciółka zamierała w bezruchu zapatrzona w bliżej nieokreśloną przestrzeń. To były bardzo krótkie stany, czasem minutowe, które mógł wychwycić jedynie ktoś wtajemniczony.

Trudno jednak było ukryć emocje po zdarzeniu, jakie miało miejsce po jej powrocie do pracy. Do totalnie zaskoczonej i wstrząśniętej Agaty zadzwonił Artur, w beztroski sposób pytając, co u niej słychać.

— Możesz to sobie wyobrazić? — pytała, dygocąc ze złości. — On mnie pyta, co u mnie słychać i... kiedy się zobaczymy!

— A to cham! Co za drań! — Justyna także nie mogła opanować złości. — I co mu powiedziałaś?

— Jak to co?! Żeby się odczepił raz na zawsze!

— A on?

— Nie dawał się zbyć, cwaniak. Próbował usprawiedliwić moje zachowanie złym nastrojem. Wyobrażasz sobie?

— Wiesz co, wydaje mi się, że on ma niezłego pietra. Chce wysondować, czy ty nie zamierzasz czegoś robić.

— Ja też tak pomyślałam. On się wyraźnie boi.

— To dobrze, niech się boi. Może przynajmniej to będzie dla niego jakąś karą.

Po tym telefonie Agata nie mogła sobie znaleźć miejsca. Starła się, jak mogła, aby ukryć emocje, niemniej Justyna dostrzegała jej wewnętrzną walkę. Współczuła

przyjaciółce i postanowiła coś z tym zrobić. Była pewna, że sama sobie z tym nie poradzi, że potrzebna jej specjalistyczna pomoc. Po wykonaniu kilku telefonów poprosiła ją do siebie.

— Posłuchaj mnie, Aguś. Wiem, przez co przechodzisz. Widzę to lepiej niż ci się zdaje, choć starasz się jak możesz. Musisz skorzystać z pomocy psychologa. Przejdź terapię.

Agata słuchała słów przyjaciółki w głębokim skupieniu. Nie przerywała jej, nie protestowała, nie szukała wykrętów. Przełamywała się. Być może w tym momencie budził się w niej instynkt samozachowawczy, który dopuszczał myśl o skorzystaniu z pomocy kogoś, kto potrafi zrozumieć jej stan. Zgadzała się z tym, co mówiła Justyna, a może nawet była jej wdzięczna za te słowa. Poczuła, że nie jest sama z problemem, że jest ktoś, kto chce dla niej dobrze.

— Aguś, umówiłam cię na dzisiaj z psychologiem — kontynuowała Justyna. — Tu masz adres jego gabinetu. To znakomity specjalista i z pewnością ci pomoże.

Justyna milczała przez dłuższą chwilę, analizowała słowa przyjaciółki. Porządkowała myśli.

— Chyba masz rację — przyznała w końcu ledwie słyszalnym głosem. — Są momenty, kiedy udaje mi się zapanować nad myślami, ale chwilę później wszystko wraca ze zdwojoną siłą. Masz rację. Dziękuję ci. Pójdę tam.

Po pracy Justyna pojechała do antykwariatu. Postanowiła sprawdzić, jak się czuje pan Karol, czy przypadkiem nie jest mu potrzebna pomoc.

Senior siedział jak zwykle za kontuarem. Na dźwięk dzwonka uniósł głowę i spojrzał ponad szkiełkami swoich okularów w kierunku drzwi. Ucieszył się na widok nieoczekiwanego gościa.

— Jakże miło! Justynka zawitała w moje progi. Wejdz dziecinko, wejdz.

— Ja również się cieszę i z góry przepraszam, że nie pokazywałam się przez kilka dni. Miałam wyjątkowo trudny tydzień — usprawiedliwiała się, nie ujawniając faktycznych powodów swojej nieobecności.

— Tak, tak. Rozumiem. Ach, wy młodzi... — nie dokończył jednak swoje stałej formuły o zabieganiu, pogoni za karierą i upływie cennego czasu.

— Jak się pan czuje? — zapytała kurtuazyjnie, widząc, że seniorowi wrócił dawny wigor.

— Złego diabli nie biorą, dziecinko — swoją odpowiedź okraszył filuternym uśmiechem. — Ale duża w tym twoja zasługa. Bezsprzecznie twoja, dziecinko.

Justyna nie mogła pohamować radości. Uśmiechnęła się promiennie, patrząc w pełne życia oczy antykwariusza. Pozbywszy się resztek wyrzutów sumienia wobec seniora, czym prędzej zdjęła wierzchnie okrycie i starym zwyczajem udała się na zaplecze, aby zaparzyć kawę. Chwilę później siedzieli przy stoliku i przyjaźnie gawędzili.

Pan Karol zawsze chętnie słuchał opowieści dotyczących jej życia, pracy zawodowej. Wypytywał z zainteresowaniem, czym się aktualnie zajmuje, co projektuje. Ona

z kolei bardzo często wykorzystywała te spotkania, aby poradzić się w sprawach dotyczących architektury i sztuki. Antykwariusz posiadał bardzo szeroką wiedzę w tych dziedzinach, opartą na wieloletnich badaniach. Z przyjemnością podsuwał jej rzadkie wydania książek fachowych i katalogów, z których Justyna czerpała inspiracje.

Zawsze gdy tu przychodziła, miała wrażenie, że czas spędzany w antykwariacie płynie inaczej. Zdecydowanie wolniej i ma jakiś magiczny posmak. Już samo schodzenie po kamiennych schodkach prowadzących do tej niezwyklej sutereny stwarzało poczucie przekraczania granicy czasu. Towarzyszyły temu niezwykle uczucia, porównywalne z przyjemnym dreszczykiem uniesienia.

Justyna mogła tu spędzać długie godziny. Uwielbiała penetrować regały pełne niezliczonej ilości tomów, w których zawarta jest cała mądrość tego świata. Zawsze towarzyszyło jej wrażenie, że dotyka prawd u samych podstaw ich powstawania.

Zanim się spostrzegła, pora zrobiła się dosyć późna. Grzeczność nakazywała pożegnać sympatycznego gospodarza i wracać do domu. Do pustego mieszkania.

Nigdy dotąd nie myślała o tym w ten sposób. To w pewnym sensie zaskoczyło ją samą. Co sprawiło, że nagle poczuła swoją samotność? Być może ta cudowna atmosfera, rozmowa z antykwariuszem, człowiekiem pełnym ciepła i serdeczności, mądrym i życzliwym, odsłoniła rąbek nieuświadomionej dotąd prawdy. Tak



niespodziewanie poczuła tęsknotę za kimś bliskim, z kim mogłaby dzielić swoje troski, radości i marzenia.

Być może mają na to jakiś wpływ ostatnie wydarzenia związane z Agatą. Jej przyjaciółka stała się ofiarą niegodziwca tylko dlatego, że jest osobą samotną, że miała nadzieję na ułożenie sobie życia.

Antykwariusz w mig wychwycił tę subtelną zmianę nastroju. Dostrzegł na jej twarzy smutek. Taktownie zapytał, co ją trapi. Ofiarował się z pomocą.

Nie był jednak w stanie uczynić niczego. To był ten rodzaj dolegliwości duchowych, na które recepty pisze samo życie. Senior nie dał się zbyć prostym unikom i zapewnieniom, że nic się nie dzieje. Znakomicie wyczuwał, że pod tym ledwie dostrzegalnym smutkiem w jej oczach kryją się jakieś troski.

Justyna postanowiła nie ujawniać swoich dylematów. Uznała, że sama musi poradzić sobie z symptomami pojawiającej się nostalgii.

Złe samopoczucie nie opuszczało Justyny od tygodnia. Nie miała na nic ochoty. Myśl, że najbliższy weekend będzie musiała spędzić w domu, pracując nad projektem Łukasza, odbierała jej resztki optymizmu.

Nic jej nie wychodziło. Przy śniadaniu rozlała kawę na śnieżnobiałą serwetę, do tego jeszcze rozsypała na dywan cukier. Jakby tego było mało, zmywając naczynia, stłukła talerzyk.

— Tego już za wiele! — krzyknęła wściekła z bezradności, rzucając resztkę porcelanowej skorupy do zlewozmywaka. — Zachowuję się dzisiaj jak oferma.

Wytarła ręce i poszła do pokoju. Włączyła płytę z ulubionym Stingiem, usiadła w fotelu i pozwoliła unieść się muzyce. *Fragile* okazał się prawdziwym

lekarstwem na jej rozdrażnioną duszę. Później *They Dance Alone* i *The Lazarus Heart* dopełniły reszty. W tym relaksacyjnym nastroju przyszedł jej do głowy pomysł, aby wybrać się na zakupy do galerii handlowej. Dawno niczego sobie nie kupiła, a to zawsze poprawiało jej samopoczucie. Pomyślała również o Agacie. Uznała, że być może i jej dobrze zrobi taki shopping. Szczególnie że wizyty u psychologa zaczynały przynosić pierwsze efekty. Przyjaciółka z dnia na dzień stawała się bardziej otwarta, coraz rzadziej popadała w stany apatii, zamyślenia, a częściej włączała się do rozmów towarzyskich.

— Witaj, skarbie. Co robisz? — nie czekając na odpowiedź, zapytała:  
— Może wybrałybyśmy się dzisiaj na zakupy?

— Co ci przyszło do głowy? Skąd taki pomysł?

— Zaraz pomysł. Tak pytam. Masz coś lepszego do roboty? — Nie dawała za wygraną. — Pochodzimy po galerii, może trafimy coś ciekawego? Słyszałam, że zaczęły się wyprzedaże.

— Sama nie wiem. Może masz rację? — najwyraźniej przyjaciółka łamała się.

— No widzisz. Zrób się na bóstwo i spotkajmy się w Renomie o dwunastej.

— Chyba mnie przekonałaś, a więc do zobaczenia. Przez ponad cztery godziny buszowały po stoiskach z ciuchami, butami, kosmetykami. Spenetrowały galerię

od piwnicy po dach. W końcu zmęczone, obwieszane torbami pełnymi zakupów padły bez sił na fotelach kawiarenki. Śmiały się przy tym jak bez troskie nastolatki. Nie mogły opanować radości nawet wówczas, kiedy do stolika podeszła kelnerka. Młodziutka piękność, w miniaturowym fartuszk, czekała, przewracając wymownie oczami. W końcu udało im się złożyć zamówienie. Poprosiły o dwie wielkie porcje szarlotek z bitą śmietaną, po czym znowu wypaliły salwą śmiechu.

— Pamiętasz tę papuśną szatynkę? — kolejny wybuch śmiechu uniemożliwił Justynie dokończenie zdania. — Nieszczęsna próbowała wbić się w żakiet o dwa numery za mały.

— Przestań. Nie rozumiesz, że ona chciała go kupić za wszelką cenę — wtórowała jej Agata. — Być może miała nadzieję, że się później rozciągnie. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tą w czerwonej kurtce. Wyszła z przebieralni w samych rajstopach. Zapomniała włożyć spódnice.

Śmiały się do rozpuku, zwracając na siebie uwagę pozostałych gości. W końcu zreflektowały się i nieco spoważniały, koncentrując się na swoich zakupach.

Justyna była podwójnie szczęśliwa. Po pierwsze dlatego, że sama gdzieś w galerii zgubiła swój zły nastrój, po drugie dlatego, że na Agatę aż przyjemnie było popatrzeć. Jej przyjaciółka była radosna. Po raz pierwszy

od tamtych dramatycznych wydarzeń na jej twarzy zagościł uśmiech. Wszystko wskazywało na to, że wraca do równowagi. To był dobry pomysł z tymi zakupami, pomyślała, patrząc na pogodną twarz Agaty.

Cały następny tydzień upłynął Justynie na wytężonej pracy. Każdego dnia po powrocie do domu i krótkim odpoczynku zabierała się za projekt Łukasza Zarzyckiego. Była pod tym względem bardzo konsekwentna, co przynosiło widoczne efekty.

Agata radziła sobie ze swoimi problemami coraz lepiej. Z dnia na dzień stawała się tą samą pogodną dziewczyną, jaką Justyna знаła od wielu lat. Mimo że Artur zadzwonił do niej w połowie tygodnia, nie miało to już większego wpływu na jej samopoczucie. W sposób jednoznaczny i zdecydowany dała mu odpawę, na jaką zasługiwał.

Podobnie było z kłopotami Moniki Wender. Została w końcu zaakceptowana przez środowisko i chyba nikt już nie patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem.

Pod koniec tygodnia Justyna odebrała pocztę elektroniczną od Łukasza. Pytał, jak postępują prace nad jego

zleceniem, i zasugerował, jak zawsze taktownie, kolejne spotkanie. Zgodziła się, ponieważ w kilku kwestiach potrzebna jej była konsultacja. Umówili się więc na przyszły tydzień, w tym samym lokalu, co poprzednio.

Tego dnia wyszła z pracy nieco wcześniej, aby dać sobie czas na przygotowanie się do spotkania. Chciała dobrze wyglądać. Po raz pierwszy od czasu ich znajomości zależało jej na zrobieniu dobrego wrażenia. Włożyła szafirową tunikę z ozdobnymi plisami w dekolcie i długimi rękawami poszerzonymi poniżej łokcia. Do tego ubrała czarne wąskie spodnie, które podkreślały jej smukłą sylwetkę, i buty na wysokim obcasie. Całość uzupełniały długie korale zwisające poniżej piersi i gustowna bransoletka. Wyglądała imponująco i pociągająco.

Tym razem Łukasz czekał na nią przed lokalem. Dostrzegła go znacznie wcześniej niż on ją. Spacerował po chodniku tam i z powrotem, trzymając w dłoni bukiet kwiatów, jak przystało na prawdziwego dżentelmena. Po przywitaniu i krótkiej wymianie grzeczności weszli do środka i zajęli stolik przy witrażowym oknie. Chwilę później pojawił się kelner z kartami i zaoferował swoje usługi. Z tego wynikało, że tym razem Łukasz niczego wcześniej nie aranżował.

— Bardzo przyjemnie będzie mi znów testować wykwinność tutejszej kuchni w pani towarzystwie. Spróbujemy czegoś? — zaproponował, wskazując gestem głowy na przyniesione przez kelnera karty.

— Zgadza się z panem i chętnie coś zamówię. Nie będę ukrywała, że zaczyna mi doskwierać głód — uśmiechnęła się z udawaną nutką zawstydzenia.

Po obiedzie zwieńczonym lodowym deserem na stole pozostało już tylko wino, a biznesowi partnerzy przystąpili do rozmów związanych z projektem. Justyna konsultowała poszczególne detale wystroju wnętrz, które miały zasadniczy wpływ na ostateczny efekt. Znakomicie się przy tym rozumieli, wymieniając sugestiami. Z atmosfery rozmowy wynikało, że nie było to typowe spotkanie o charakterze zleceniodawca — zleceniobiorca, a... inspirujące spotkanie przyjaciół. Łukasz był wyraźnie zadowolony z kierunku prowadzonych przez Justynę prac. Co pewien czas wyrzucał z siebie spontanicznie słowa uznania i zachwytu: „świetnie”, „znakomicie”, „tego bym się nie spodziewał”, „wiedziałem, że pani to zrobi najlepiej”.

Tego wieczoru Łukasz był czarujący nie tylko jako biznesmen. Dawał temu wyraz zniewalającymi spojrzeniami, urzekającymi uśmiechami i słowami, które subtelnie podkreślały przymioty uczestniczki spotkania.

Justyna odbierała te zawoalowane sygnały sympatii z zadowoleniem. Łukasz robił na niej coraz lepsze wrażenia i czuła się w jego towarzystwie znakomicie. Być może miały na to jakiś wpływ lampki wypitego wina, ale i tak z przyjemnością pozwalała się unosić falom uroczej konwersacji.



Atmosfera spotkania stawała się coraz bardziej towarzyska, a momentami nawet przyjacielska. Doszło w końcu do tego, że ośmielony dobrym nastrojem Łukasz zaproponował, aby przeszli na ty. Justyna nawet się nad tym nie zastanawiała. W jednej chwili uniosła kieliszek i powiedziała:

— Zgoda, odtąd jestem dla ciebie... po prostu Justyna.

— Tak się cieszę. Będzie mi ogromnie miło. — Po tych słowach wstał i zaproponował: — Może będę nieco staroświecki, ale chciałbym, aby odbyło się to zgodnie ze zwyczajem. — Po czym podszedł, splótł ramiona z partnerką i w ten tradycyjny sposób spełnili toast. Wypowiadając imiona, patrzyli sobie głęboko w oczy.

— Jeżeli już jesteś takim tradycjonalistą, to zapewne zechcesz mnie jeszcze pocałować? — dodała kokieteryjnie.

— Przez cały wieczór nie marzyłem o niczym innym — odpowiedział szczerze rozbawiony, a po chwili musnął ustami jej policzek.

Po powrocie do domu Justyna długo nie mogła ochłonąć. Wrażenia po tym spotkaniu były tak silne, że nie była w stanie myśleć o niczym innym. Teraz, z pewną już refleksją, analizowała przebieg całego wieczoru. Miała wątpliwości, czy zachowała się właściwie, czy nie była zbyt frywolna. Zastanawiała się, co Łukasz może sobie o niej myśleć. Tak łatwo przeszła z nim na ty, a ten

pocałunek... Sama go sprowokowała. Boże, co ja zrobiłam? Co mnie podkusiło? Biła się z myślami. Chwilę później widziała, niczym na jawie, te jego czarne, pełne czułości oczy. Przypominała sobie słowa, których dawno nie słyszała. Nikt nigdy nie wymawiał w ten sposób jej imienia... z tym charakterystycznym amerykańskim akcentem.

Miała istny mętlik w głowie. Znowu targały nią sprzeczne uczucia od wątpliwości po błogie zadowolenie. Te pozytywne były w znacznej przewadze. Bała się nazwać to, co zaczynało kiełkować w jej głowie.

Pamiętała, że podobne uczucia przeżywała jeszcze w latach młodości, kiedy mieszkała w Lubaniu. Będąc w pierwszej klasie liceum, poznała starszego o trzy lata kolegę. Miał na imię Marcin.

Była późna wiosna. Koniec maja, może początek czerwca. Na Kamiennej Górze odbywały się doroczne biegi przełajowe na terenie będącym niegdyś poligonem wojskowym. Brały w nich udział reprezentacje wszystkich okolicznych szkół. Organizował je bardzo fajny nauczyciel, prawdziwy pasjonat sportu. Miał na imię Wiesław. Nazwiska już nie pamiętała.

Po zwycięstwie Justyny w swojej grupie, zaraz po przekroczeniu linii mety, podszedł do niej sympatyczny chłopak i pogratulował sukcesu. To był Marcin, który później także wygrał bieg w swojej kategorii. Justyna do dzisiaj pamięta, jak gorąco dopingowała nowo poznanego kolegę.

Trasa biegowa stanowiła zamkniętą pętlę i uczestnicy musieli pokonać kilka okrążeń. W ten sposób Marcin pojawiał się w miejscu, w którym stała, co kilkanaście minut, przez cały czas prowadząc. Była z niego bardzo dumna. Po biegu usiedli na trawie, obok siebie, i posilając się drożdżówkami, rozmawiali o sporcie, szkole i wakacyjnych planach. To wówczas, zaraz po poznaniu Marcina, poczuła w sercu owo dziwne uczucie, którego doświadczała teraz. Tamta znajomość przerodziła się później w gorącą miłość, której finał był dla Justyny bardzo bolesny. A jak będzie z tą znajomością? — zastanawiała się z zafascynowaniem.

Kiedy Justyna pojawiła się w pracy, niemal natychmiast przybiegła do niej Agata. Była bardzo ciekawa, jak udał się wczorajszy wieczór. Justyna niczego nie zamierzała ukrywać. Zrelacjonowała przebieg całego spotkania, łącznie z tym, że sama sprowokowała Łukasza do pocałunku przy bruderszafce.

— Nie wierzę. Ty jego? To do ciebie niepodobne!

— Mówię ci jak na spowiedzi.

— A to ci heca. A co on na to? — dociekała.

— Cóż on... Rzucił się na mnie niczym zgłodniały wilk — obróciła w żart swój wczorajszy wyczyn towarzyski.

Dzień minął bez znaczących wydarzeń, podobnie jak pozostałe dni tygodnia.

Zima nadal szczyrzyła mroźne kły. Przybywało śniegu, co władzom miasta spędzało sen z powiek. Służby

miejskie nie radziły sobie z jego usuwaniem, jak zwykle zresztą. Media miały o czym pisać. Epatowały opinię publiczną dramatycznymi statystkami o rosnącej liczbie zamarzniętych. Ofiarami byli najczęściej bezdomni, ale zdarzały się również zgony osób starszych, życiowo bezradnych. Opieka społeczna zbierała istne cięgi.

Justyna wykorzystywała ten nieprzyjazny pogodowo czas na intensywne prace przy projekcie Łukasza. W taką pogodę nie chciało się jej wychodzić z domu, dzięki czemu efekty były imponujące. Wszystko wskazywało na to, że za dwa tygodnie całość będzie gotowa do odbioru.

W sobotę jednak pojechała do antykwariatu. Miała wyrzuty sumienia, że tak dawno nie była u pana Karola. Usprawiedliwiała się myślą, że przy ostatniej wizycie senior czuł się bardzo dobrze.

Zwykle gdy wchodziła do sklepu, już od wejścia witał ją przyjazny głos antykwariusza. Tym razem nie usłyszała żadnego przywitania. Staruszka nie było również za kontuarem.

— Panie Karolu, to ja — zwołała. — Jest pan tam?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Zawołała ponownie, ale i tym razem nie było odzewu. Postanowiła zajrzeć na zaplecze, mając nadzieję, że staruszek przygotowuje sobie posiłek i być może nie słyszy jej wołania. Kiedy zajrzała do kuchni, jej oczom ukazał się dramatyczny

widok! Pan Karol leżał bezwładnie na podłodze. Przerazona tym zaskakującym widokiem zaczęła wołać:

— Panie Karolu, co się stało? Co panu jest? Staruszek nie reagował na jej słowa. Leżał na wznak,

był bardzo blady. Miał szeroko otwarte oczy, wpatrzone w sufit. Pochyliła się nad nim, aby sprawdzić, czy żyje. Na szczęście oddychał, ale bardzo słabo.

Natychmiast wyjęła z torebki telefon i wezwała pogotowie. Kilkanaście minut później lekarz badał nieprzytomnego staruszka. Zaordynował zastrzyki, a następnie podjął decyzję, że zabiera go do szpitala.

— Czy pani jest członkiem rodziny? — zapytał rutynowo.

— Nie. Jestem... jestem klientką... znajomą... — jąkała się roztrzęsiona do granic możliwości.

— Czy może pani zawiadomić rodzinę? Nie mamy za wiele czasu. Sama pani rozumie — gestem głowy wskazał na sanitariuszy wynoszących staruszka na noszach.

— Boże, co robić? On nie ma nikogo. Dobrze, ja się wszystkim zajmę, pozamykam. Gdzie go zabieracie?

— Na Traugutta — lekarz odpowiedział w pośpiechu i wybiegł.

Po chwili całą ulicę wypełnił przejmujący sygnał alarmowy odjeżdżającej karetki. Rozpłakała się. Nie mogła się opanować. Biegała bezmyślnie po antykwariacie tam i powrotem. Przypomniała sobie, że musi go zamknąć.

Nerwowo szukała kluczy. W końcu znalazła je na zapleczu. Drżącymi z przejęcia rękami starała się zamknąć drzwi wejściowe. W końcu uporała się i czym prędzej pobiegła do samochodu.

Na izbie przyjęć dowiedziała się, że pan Karol został przewieziony na oddział intensywnej terapii. Żadnych innych informacji o stanie jego zdrowia nie uzyskała.

Na oddziale nikt nie chciał z nią rozmawiać. Pielęgniarki, które krzątały się po korytarzu, nie były zorientowane. Radziły poczekać na lekarzy, którzy w tej chwili zajmują się ciężko chorym pacjentem.

Usiadła na jednym ze stojących wzdłuż korytarza krzeseł. Czas wydłużał się w nieskończoność. Czekala z nadzieją, że szpitalna pomoc będzie skuteczna, że jej sędziwy przyjaciel wyjdzie z tego. Przez cały czas obserwowała tę część oddziału, w której znajdują się stanowiska do intensywnej terapii. Za przeszkloną ścianą panowało duże poruszenie. Biegali lekarze i pielęgniarki. Z ich twarzy można było odczytać napięcie. W oczach Justyny wyglądali niczym bohaterowie jakiegoś filmu, którzy na przekór prawom natury starają się dać swoim podopiecznym drugą szansę. Patrzyła na nich z podziwem. Pomyślała nawet, że chciałaby być na ich miejscu, że to piękne — móc ratować komuś życie. Nigdy dotąd nie miała do czynienia ze śmiercią człowieka — tak namacalnie. Nawet wówczas, kiedy odchodzili jej rodzice, nagle i niespodziewanie. Była wtedy daleko. Teraz jest inaczej.

To ona znalazła staruszkę leżącą na podłodze. Był taki bezradny. Wydawało jej się, że jest jakby mniejszy. Po policzkach popłynęły jej dwie strugi łez. Niewidzącymi oczyma wpatrywała się w drzwi OIOM-u. Czekwała na lekarza, z którym mogłaby porozmawiać, zapytać o stan zdrowia swojego przyjaciela. Tego wspaniałego i mądrego człowieka, który jest teraz zdany na zrządzenie losu. Postanowiła pomodlić się, zwrócić się do samego Boga z żarliwą prośbą o łaskę, dla kogoś, kogo pokochała w tak dziwny sposób.

W końcu drzwi obserwowane przez Justynę uchyliły się i pojawił się wysoki, około czterdziestoletni mężczyzna, lekko szpakowaty. Na jego piersiach dostrzegła stetoskop. Natychmiast zerwała się i pobięła w jego kierunku.

— Panie doktorze, proszę mi wybaczyć, ale nie mogę się doczekać wieści o stanie zdrowia Karola Bratzkiego. — Ze zdenerwowania nie mogła opanować drżenia głosu.

— Cóż, pani dziadek przeszedł poważny zawał serca. Z diagnozy wynika, że nie pierwszy. Nie będę ukrywał, że sytuacja jest poważna.

— Panie doktorze, przeżyje? — pytała błagalnie.

— Na tym etapie nie możemy tego stwierdzić. Na razie udało nam się przywrócić świadomość pacjenta, w miarę ustabilizować parametry życiowe. To jest,



proszę mi wybaczyć, staruszek. Ma już swoje lata. Zapewniam panią, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

— Kiedy będę mogła się z nim zobaczyć?

— Myślę, że nie wcześniej niż po południu. Mimo że odzyskał świadomość, nie do końca rozumie, co się wydarzyło.

— Tak, oczywiście. Bardzo panu dziękuję — rozpłakała się.

Około szesnastej Justyna, pełna lęku, weszła ponownie na oddział. Idąc w kierunku OIOM-u, zwolniła krok, jakby chciała odsunąć od siebie moment konfrontacji z rzeczywistością. Zatrzymując się na chwilę przed drzwiami, przeżegnała się, po czym nacisnęła klamkę i weszła. Natychmiast zjawiła się pielęgniarka.

— Ja do pana Karola Bratzkiego — wydusiła z siebie ledwie słyszalnym głosem. — Chciałam...

— Dobrze, lekarz nas uprzedził o pani wizycie — odpowiedziała bardzo uprzejmie. — Ale nie może ona trwać za długo. Pacjent jest ciągle bardzo słaby.

— Tak, rozumiem. Ja tylko na chwilę.

Wśród niezliczonej ilości przewodów, wężyków, stojaków, popiskujących monitorów na wyższym niż normalnie łóżku spoczywała drobniutka postać antykwa-riusza. Miał zamknięte oczy, zapadnięte policzki i sine usta. W jego wychudzonych nadgarstkach tkwiły grube wenflony, do których podłączone były kroplówki. Justyna

miała przez chwilę wrażenie, że to nie jest pan Karol. Wyglądał inaczej. Był drobniejszy i taki bezradny. W pewnej chwili nawet odwróciła się do pielęgniarki z pytaniem w oczach, czy to jest rzeczywiście on. Siostra zrozumiała jej wątpliwości i skinieniem głowy upewniła, że tak. W jej spojrzeniu dostrzegła także rodzaj współczucia i otuchy.

Stała przez chwilę obok łóżka w zupełnym bezruchu. Robiła wszystko, aby nie płakać. Mimo starań oczy wypełniły się jej łzami. W chwili gdy dotknęła jego dłoni, antykwariusz uniósł powieki. Spojrzał na nią. Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Miała wrażenie, że jej nie poznaje. Ale poznał, wiedział, że to ona. Potrzebował jednak czasu, aby zebrać siły i wyszeptać jej imię. W tym momencie Justyna nie wytrzymała. Rozplakała się, choć tak bardzo starała się tego nie zrobić. Trzymała jego zimną dłoń i łkając, przeproszała za swoje zachowanie.

— Nie trzeba... serduszko... Nie... trzeba... — wyszeptał staruszek zaniepokojony jej reakcją.

— Panie Karolu... — nie dokończyła tego, co zamierzała powiedzieć, zanosząc się płaczem.

Całą sytuację bacznie obserwowała dyżurna pielęgniarka. Widząc, co się dzieje, podeszła do Justyny i grzecznie poprosiła, aby zakończyła wizytę. Wyjaśniła, że takie emocje mogą pacjentowi zaszkodzić. Obiecała, że jeżeli uda jej się opanować reakcję, to może przyjść jeszcze raz, ale dopiero po godzinie dwudziestej.

Druga wizyta Justyny nie była już tak emocjonalna jak poprzednia. Przygotowywała się do niej. Panowała nad swoimi uczuciami. Kiedy weszła do sali, staruszek, podobnie jak wcześniej, miał zamknięte oczy. Ale nie spał. Otworzył je natychmiast, kiedy usłyszał jakiś ruch przy łóżku. Spojrzał na Justynę swoim ciepłym wzrokiem i uśmiechnął się delikatnie, kącikami ust.

— Witam, panie Karolu — wyszeptała głosem pełnym czułości. — Znowu przyszedłam, ale obiecuję być grzeczna. Nie musi pan nic mówić, jeśli to pana męczy. Ja tylko na chwilę. Zaraz sobie pójdę — usprawiedliwiała się.

— Justynka... tak się... cieszę — mówił z przerwami słabym głosem. —Widzisz... narobiłem ci... tyle kłopotów. Panie mówiły... że to ty... przyszedłaś mi... z pomocą.

— Panie Karolu, to nic takiego. Ważne teraz, aby szybko wrócił pan do zdrowia.

— Tak, taak... Jesteś dobrym... dzieckiem... Nie myliłem się... Moje ty... serduszko.

— Wygląda pan coraz lepiej. To powód do radości. A teraz proszę odpoczywać. Wpadnę jutro i być może przyniosę panu pączki.

— Pączki... powiadasz... Moje ulubione... Dziękuję... serduszko. — Widać było, że jest coraz bardziej zmęczony. Powieki same opadały mu na oczy. A być może udawał, chcąc w ten sposób ukryć swoje wzruszenie, tak jak to już nieraz czynił.

Wychodząc z OIOM-u, Justyna dała upust swoim emocjom. Zamykając za sobą drzwi, rozplakała się. Nie

była w stanie iść dalej. Usiadła na chwilę w korytarzu, aby wyrzucić z siebie cały nagromadzony smutek.

Po powrocie do domu nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wszystkie myśli krążyły wokół jednego. Czy pan Karol wyjdzie z tego? Dopiero teraz Justyna uzmysłowiła sobie, kim tak naprawdę jest dla niej antykwariusz. Jakie zajmuje miejsce w jej życiu.

Poznali się przed laty zupełnie przypadkowo, przy okazji jakichś zakupów. Od pierwszego momentu poczuła do niego szczególną sympatię. Później spotykali się w miarę systematycznie, pogłębiając znajomość, głównie na płaszczyźnie swoich pasji. Po kilku latach ich kontakty nabrały głębszego charakteru, można by je nazwać przyjacielskimi. Dzieląca ich różnica wieku nie była żadną przeszkodą. Wręcz przeciwnie. Okazało się, że ludzie, których dzieli niemal epoka, znakomicie odnajdują wspólny język. Zarówno na płaszczyźnie zawodowej, jak i tej egzystencjalnej, czysto ludzkiej. To, co teraz czuła, uzmysłowiło jej dużo poważniejsze więzi, o których dotąd nie miała pojęcia. Okazało się, że problemy jej sędziwego przyjaciela dotyczyły ją znacznie głębiej niż mogła przypuszczać.

Noc minęła bardzo niespokojnie. Męczyły ją sny rozgrywające się wokół szpitala. Raz była w nich pielęgniarką, innym razem lekarzem, a jeszcze *innym salową*. Bohaterami jej koszmarów byli ludzie starsi, cierpiący, potrzebujący pomocy.

Przebudziła się z najgorszym nastawieniem do rzeczywistości, jakie sobie można wyobrazić. Chciała jak najprędzej pojechać do szpitala. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, że stało się tam coś złego. Zawsze kierowała się zasadą pozytywnych myśli. Teraz trzymała się tego ze szczególną siłą. Musiała jednak poczekać na stosowną porę, aby przypadkiem — swoją nadmierną troską o przyjaciela — nie zniechęcić personelu.

Na oddziale pojawiła się około dziesiątej. Życzliwy personel pozwolił jej wejść do sali. Pan Karol nie spał. Leżał na wznak wpatrzony w sufit. Był nadal bardzo blady. Na widok Justyny wyraźnie się ożywił.

— Justynko... Cieszę się, że przyszedłaś.

— Witam, panie Karolu. Dobrze pan spał tej nocy?

— zapytała z troską.

— Raczej tak... Wydaje mi się, że... przespałem całą noc.

— To dobrze, sen jest najlepszym lekarstwem. Przyniosłam panu obiecane pączki, ale pielęgniarki są nieubłagalne. Nie pozwoliły mi ich panu dać.

— Ooo... one wiedzą lepiej... co mi wolno... Ale dziękuję. Poczęstuj nimi... siostry... serduszko. Tak będzie najlepiej.

— Dobrze, tak zrobię. A jak się pan dzisiaj czuje?

— Czy ja wiem, dziecinko? Któż to może wiedzieć...

— zamyślił się, jakby dopiero teraz analizował faktyczny stan swojego samopoczucia.

— Mnie się wydaje, że jest lepiej. Ładniej pan dzisiaj wygląda.

— Gdzie mi tam do ładności... dziecinko. Gdzie... Poranne odwiedziny nie trwały zbyt długo. Justyna pożegnała się i obiecała wpaść po południu.

Gdy wróciła do domu, zadzwoniła do Agaty, aby podzielić się z nią swoimi troskami. Przyjaciółka dotąd nic nie wiedziała o chorobie antykwariusza. Wprawdzie nie znała go osobiście, ale dobrze wiedziała, o kogo chodzi. Na wieść o nagłym nieomaganiu seniora szczerze się przejęła. Zadeklarowała gotowość pomocy.

Po południu pan Karol czuł się jeszcze lepiej niż rano. Pozwolili sobie nawet na nieco dłuższą rozmowę. Była więc okazja, aby zapytać, co Justyna ma zrobić z kluczami od sklepu. Senior poprosił, aby przekazała je zaprzyjaźnionemu adwokatowi, mecenasowymi Boryckiemu, którego kancelaria znajdowała się po drugiej stronie ulicy.

Po tych odwiedzinach Justyna wracała do domu spokojniejsza. Choć lekarz, z którym rozmawiała po wyjściu z OIOM-u, raczej studził jej optymizm. W tego rodzaju przypadkach zdarzają się niespodziewane nawroty dobrego samopoczucia, ale to o niczym nie świadczy — uprzedzał.

Podczas wieczornej wizyty w szpitalu okazało się, że lekarz miał rację. Pan Karol czuł się znacznie gorzej niż w południe. Był bardzo słaby i nic nie mówił. Patrzył na Justyną swoimi szklistymi oczami, jakby chciał jej coś

powiedzieć. Trzymała go za wychudzoną zimną dłoń w nadziei, że może przynajmniej uściskiem da jej jakiś znak. Po kilkunastu minutach pochyliła się nad ciężko dyszącym przyjacielem i ucałowała go w zimne czoło. Życzyła spokojnej nocy, na co on tylko mrugnął ciężkimi powiekami.

W poniedziałek Justyna wzięła w pracy wolne. Nie była w stanie robić niczego. Przed południem wstąpiła do kancelarii adwokackiej, aby zgodnie z wolą pana Karola przekazać klucze do antykwariatu. Przyjął ją osobiście mecenas Borycki, mężczyzna w podeszłym wieku, nieco otyły, ubrany w ciemny garnitur oraz nieodzowną muszkę. Przyglądał jej się z uwagą, ale i z wyczuwalną sympatią. Wiedział o chorobie antykwariusza i skorzystał z okazji, aby zapytać o stan jego zdrowia. Wizyta nie trwała długo. Po wyjściu Justyna pojechała prosto do szpitala.

Gdy dotarła na OIOM, dostrzegła dziwne spojrzenia personelu. Nie miała jednak czasu, aby analizować ich zachowanie, choć było ono nietypowe. Udała się w kierunku łóżka, na którym od dwóch dni leżał jej przyjaciel. Już z pewnej odległości dostrzegła, że coś jest nie tak, że kołdra jest zbyt płaska, nadmiernie wygładzona, zaścielona jak przed apelem. Zniknęły gdzieś stojaki do kroplówek, monitory nie mrugały seledynowym światłem, nie sygnalizowały rytmu serca. Na łóżku nie było tego sympatycznego, kochanego człowieka, który jeszcze wczoraj

ofiarował pielęgniarce paczki. Przez głowę Justyny przeleciały setki myśli, które usprawiedliwiały ten stan rzeczy. Ze zabrano go na specjalistyczne badania, na blok operacyjny, przeniesiono do innej sali, że konieczna była jakaś poważniejsza konsultacja... Wszystko, tylko nie to. To się nie mogło przydarzyć człowiekowi tak cudownemu, jak pan Karol. Człowiekowi, który nie miał wrogów, któremu obca była zawiść, niegodziwość, który nie miał na tym świecie nikogo bliskiego, nawet przyjaciół miał niewielu.

Te chaotyczne myśli rozsadzały głowę Justyny. Odwróciła się, aby popatrzeć w stronę pielęgniarek z dramatycznym pytaniem w oczach. Ich pełne współczucia spojrzenia były tak wymowne, że nie musiały mówić niczego.

Bezwolnie usiadła na brzegu łóżka i... rozplakała się. Nikt jej w tym nie przeszkadzał. Pielęgniarki znały takie zachowania, zdarzały się na tym oddziale dosyć często. Zbyt często. Mimo pewnej rutyny nie uodporniły się na takie sytuacje. Za każdym razem przeżywały je tak samo boleśnie.



Justyna wzięła na siebie cały obowiązek związany z organizacją pogrzebu. Pomimo że nie miała w tym zakresie żadnego doświadczenia, zajęła się wszystkim z prawdziwą energią. Aby temu podołać, wzięła kilka dni urlopu. Przy tej okazji dowiedziała się, że jej szef znał profesora Bratzkiego, który — jak się okazało

— w latach młodości był niezwykle aktywnym obywatelem miasta.

— Jak to profesora? — zapytała zdezorientowana.

— Pan się nie myli co do osoby?

— Zapewniam panią, że nie, jeśli mówimy o tym sympatycznym antykwariuszu.

— Tak, właśnie o nim. Ale nie wiedziałam, że posiadał tytuł naukowy.

— To stary przedwojenny profesor, który w latach swojej młodości był znanym i cenionym bibliofilem.

Odbywał liczne spotkania z młodzieżą akademicką. Uczestniczył w wielu sympozjach naukowych poświęconych literaturze i sztuce. Ma na swoim koncie znaczącą liczbę publikacji, drukowanych w wydawnictwach fachowych. Później, z tego, co mi wiadomo, wycofał się z życia publicznego i zajął się wyłącznie tym, co naprawdę kochał.

To wszystko bardzo mile ją zaskoczyło, szczególnie że pan Karol sam nigdy o tym nie mówił. Był niezwykle skromnym człowiekiem. Za każdym razem, kiedy pytała go o przeszłość, odpowiadał lakonicznie: „Eee, to stare dzieje, kto je tam dzisiaj pamięta”.

W pogrzebowych obowiązkach pomagała jej Agata, która podjęła się spraw związanych z publikacją nekrologów w kilku tytułach prasowych.

Przy okazji załatwiania kwatery na cmentarzu Justyna dowiedziała się, że senior pozostawił w tym względzie dyspozycję. Wynikało z niej, że w przypadku zgonu pragnie być pochowany w rodzinnym grobowcu, obok swoich przodków.

Zajęta załatwianiem spraw pogrzebowych miała mniej czasu na myślenie o śmierci swojego przyjaciela. To w jakiś *sposób* pomagało jej przejść przez ten trudny okres. Przynajmniej w ciągu dnia. Dużo gorsze były wieczory, kiedy zamykała się w czterech ścianach swojego mieszkania. Wtedy wracały wszystkie wspomnienia.

Na pogrzeb przybyło bardzo dużo osób. Justyna była tym mile zaskoczona. Znała tylko nieliczną część tych, którzy przyszli, aby uczestniczyć w ostatniej drodze Karola Bratzkiego. Byli wśród nich także przedstawiciele władz miasta, którzy w mowie pożegnalnej przypomnieli najważniejsze epizody z jego życia. Wynikało z niej, że senior był w przeszłości uhonorowany wieloma prestiżowymi wyróżnieniami, w tym także przez samego ministra kultury. Poczowała dumę. Po raz kolejny postać pana Karola zyskiwała w jej oczach. Tyle dokonań, a taka skromność, pomyślała z żalem i szacunkiem. Przez cały czas towarzyszyła jej Agata, która także zwróciła na to uwagę. W pewnym momencie nawet uszczypnęła ją znacząco w ramię.

Po pogrzebie podeszła do niej Monika Wender w towarzystwie starszego mężczyzny. Złożyła kondolencje i przedstawiła nieznanego, którym okazał się jej ojciec.

— To był wspaniały człowiek — powiedział, podając jej dłoń. — Takich ludzi już dzisiaj nie ma. Miałem przyjemność poznać profesora Bratzkiego w latach sześćdziesiątych. Cóż to był za człowiek! Mam nieodparte wrażenie, że pożegnaliśmy dzisiaj jednego z ostatnich przedstawicieli mijającej epoki.

— Dziękuję. To miłe, co pan mówi. To był rzeczywiście wspaniały człowiek.

Kilka dni po pogrzebie Łukasz Zarzycki poprosił Ju-tynę o spotkanie. Zgodziła się, ale bez entuzjazmu, jakiego można było oczekiwać po ostatnim wieczorze.

Wydarzenia minionych dni sprawiły, że tamte emocje nieco przybladły, ale czy zupełnie? Okazało się, że nie do końca. Wprawdzie było to w głównej mierze spotkanie biznesowe, obfitowało jednak w wiele oznak wzajemnej sympatii.

Łukasz nic nie wiedział o przeżyciach Justyny związanych ze śmiercią zaprzyjaźnionego antykwariusza, za co szczerze ją przeproszał. Gdyby było inaczej, z pewnością przełożyłby to spotkanie na późniejszy termin. Jego zachowanie zrobiło na niej bardzo dobre wrażenie. Po raz kolejny potwierdził, że jest prawdziwym mistrzem taktu.

Połowa lutego zdawała się potwierdzać prawdziwość ludowego przysłowia: „Idzie luty, podkuj buty”. Mróz trzymał niczym kleszcze kowala. Śnieg, który spadł w grudniu, nadal — jak okiem sięgnąć — zalegał miejską przestrzeń. Justynie brakowało już ruchu na świeżym powietrzu. Z utęsknieniem wypatrywała wiosny, aby móc pobiegać wzdłuż Odry.

Mimo upływu czasu ciągle nie potrafiła pozbierać się po śmierci antykwariusza. Towarzyszyło jej nieodparte wrażenie, że wraz z jego śmiercią odeszła także część jej samej, że utraciła tamten niezwykły świat, który dzielili razem. Brakowało jej tego boleśnie.

— Justyno, znowu gdzieś odfrunęłaś? — zaskoczyła ją Agata.  
Takie stany zdarzały się jej bardzo często. Bywały chwile, kiedy bezwiednie odlatywała w sobie tylko znaną rzeczywistość.  
— Tak nie można. Otrząśnij się i bądź znowu sobą .— prosiła przyjaciółka.  
— O co ci chodzi? Przecież jestem — odpowiedziała.  
— Tak się tylko zapatrzyłam, a ty zaraz...  
— Słuchaj, może wybrałybyśmy się do teatru. Właśnie grają *Króla Leara*. Zawsze chciałam to zobaczyć.  
— Daj spokój. Wiesz przecież, że mam tyle pracy.  
— Wiedziałam, że tak powiesz. W każdym razie zastanów się nad tym.  
Chwilę później przyszła Monika z podobną ofertą. Tyle że nie proponowała teatru, a operetkę — *Don Kichota*.  
— No nie wierzę. Teraz ta. Zmówiłyście się, czy co?!  
— nie wytrzymała i postanowiła otwarcie zaprotestować.  
— Ale o czym ty mówisz?  
— Jedna proponuje mi teatr, druga operetkę... Co jest grane? Uważacie, że potrzebuję przyspieszonej edukacji z zakresu kultury?  
— Jakiej edukacji? Nic nie rozumiem. — Monika rozłożyła ręce w geście bezradności.  
— Zapytaj Agaty, bo to zapewne jej pomysł — odpowiedziała zniecierpliwiona.

Wkrótce się zreflektowała. Miała nawet wyrzuty sumienia, że tak *obcesowo* potraktowała swoje przyjaciółki. One zapewne kierowały się szlachetnymi intencjami, chciały mnie gdzieś zabrać, a ja... myślała z wyrzutem. Gdyby się tak nad tym zastanowić, ich pomysły wcale nie są takie złe. *Dawno* nigdzie nie byłam, a razem, w trójkę może być całkiem miło.

Zawiadomiła przyjaciółki, ku ich wyraźnej ucieście, że skorzysta z propozycji, ale to ona zaprasza je do teatru. Zdecydowały, że wybiorą się tam w najbliższą sobotę, a więc za dwa dni. Najmłodsza z nich, czyli Monika, miała się zająć rezerwacją biletów.

*Król Lear* okazał się na tyle interesujący, że czas upłynął im nad wyraz szybko. Stojąc w kolejce po garderobę, czuły pewien niedosyt. Najwyraźniej nie miały jeszcze ochoty wracać do domu.

— Dziewczyny, może pójdziemy gdzieś posiedzieć? — pierwsza ośmieliła się zaproponować to Monika. — Tu niedaleko jest świetny bar. Pogadamy jeszcze, zjemy coś, a podają tam znakomite sałatki. Mówię wam, palce lizać.

Agata i Justyna spojrzały na siebie porozumiewawczo i niemal w tej samej chwili wyraziły aprobatę dla tego pomysłu.

Lokal był rzeczywiście bardzo przyjemny. Udało im się zdobyć stolik, co o tej porze nie jest łatwe. Przejrzały kartę i zamówiły zachwalane przez Monikę sałatki,

a do tego po lampce wina. Atmosfera była tak przyjemna, że powtórzyły trunki jeszcze dwa razy. Rozmawiały o wszystkim, tylko nie o tym, co je tak naprawdę gryzie. Problemy osobiste pozostawiły na boku, jakby ich w ogóle nie było. Być może dlatego były w tak znakomitych nastrojach. Wyglądały przy tym świetnie. Trzy urocze kobiety, gustownie ubrane, skoncentrowane wyłącznie na sobie, budziły zainteresowanie klientów baru. Wielu mężczyzn popatrywało ukradkiem w ich kierunku łapczywym wzrokiem. Powłóczyście spojrzenia nie trafiały jednak na podatny grunt. Nie były nawet przez nie ignorowane. One ich po prostu nie zauważały. Nie po to tu przyszły.

Po tym spotkaniu stosunki między Justyną, Agatą i Moniką zacieśniły się jeszcze bardziej. Połączyła je silna nić przyjaźni. Przypominały trzech muszkieterów w spódnicach, którym przyświecała szlachetna dewiza: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

W czwartek minęły trzy tygodnie od pogrzebu Karola Bratzkiego. Tego dnia Justyna otrzymała list z kancelarii adwokackiej mecenasa Boryckiego z zaproszeniem na spotkanie w dogodnym dla niej terminie. Ogromnie zaskoczyła ją ta korespondencja. Zastanawiała się, jaki może być powód tej prośby. Przeanalizowała wszystkie okoliczności związane z przekazaniem kluczy od antykwariatu. Przypuszczała, że być może tego dotyczy zaproszenie. Żadne inne sprawy nie łączą ją z tą kancelarią.

Następnego dnia odwiedziła mecenasa Boryckiego, który wyszedł z sali narad, aby się przywitać, i poprosił, żeby Justyna poczekała kilka minut w jego gabinecie. Potrzebował chwili na dokończenie rozmów z klientami. Sekretarka podała kawę i kolorowe czasopisma.



Po dziesięciu minutach zjawił się notariusz, zajął miejsce za ogromnym dębowym biurkiem i raz jeszcze przeprosił za chwilową nieobecność. W ślad za nim do gabinetu weszła jego sekretarka, kobieta w słusznym wieku, niskiego wzrostu i z bujną fryzurą, upiętą w kok. Uwagę Justyny przykuła jej wyjątkowo blada cera i podkreślone czarną kreską brwi. Być może zauważył to mecenas Borycki, gdyż natychmiast pośpieszył z wyjaśnieniem:

— W naszym spotkaniu uczestniczyć będzie pani Gertruda Wolenberg — krótkim spojrzeniem wskazał na kobietę. — Chciałbym, aby to, co zamierzam pani dzisiaj przekazać, odbyło się w obecności osoby trzeciej.

Justyna poczuła zimny dreszcz na myśl, co ją może czekać po tych słowach. Wprawdzie nie miała niczego na sumieniu, ale rozmowy z prawnikami zawsze wywoływały w niej respekt.

— Czy domyśla się pani celu tej wizyty?

— Nie, skąd. Nie mam zielonego pojęcia. — O kluczach postanowiła nie wspominać, choćby dlatego, że za chwilę i tak dowie się wszystkiego.

— Tak przypuszczałem. Otóż zamierzam odczytać pani ostatnią wolę zmarłego Karola Bratzkiego, świeć panie nad jego duszą. Innymi słowy, jego testament — słowa te wypowiedział wolno, z wyraźnym naciskiem, Pochylając się przy tym nad biurkiem w jej kierunku. Odczekał chwilę, jakby spodziewał się jakiejś reakcji

ze strony Justyny. Tymczasem ona, oszołomiona tym, co usłyszała, milczała. — Czy pani zrozumiała to, co powiedziałem? — dopytywał z wyraźną nutką życzliwości.

— Taak, myślę, że tak. Choć... może nie do końca.

— Dobrze. Powiem wobec tego w ten sposób. Jest pani spadkobierczynią tego, co pozostawił po sobie świętej pamięci Karol Bratzki. Testament, o którym wspomniałem, zawiera bardzo ściśle dyspozycje w tej sprawie.

Justyna nie mogła uwierzyć. Czuła pewnego rodzaju zażenowanie, że jej sędziwy przyjaciel pomyślał o niej, że postanowił obdarować ją czymś po swojej śmierci. W tym momencie nawet nie przypuszczała, co tak naprawdę oznaczają te słowa. Patrzyła rozognionym wzrokiem raz na adwokata, raz na sekretarkę. Oni oboje doskonale rozumieli jej reakcję i z życzliwością obserwowali jej zachowanie. Miała nawet wrażenie, że szczerze się z tego cieszą.

— Czy to możliwe? — Tylko na tyle było ją w tym momencie stać.

— Idąc na skróty, a do szczegółów wrócimy za chwilę, powiem tak... Pani Justyno Wolak, odziedziczyła pani pokaźny majątek! Cały majątek pana Karola Bratzkiego! — Po tych słowach uśmiechnął się pełnymi ustami, podobnie jak to uczyniła jego sekretarka.

Dopiero teraz Justyna zrozumiała, o jaki dar chodzi. Rozpłakała się, i to nie tylko dlatego, że dowiedziała się

o spadku. Wzruszyło ją raczej to, że ten zacny człowiek pomyślał o niej, zupełnie obcej mu osobie.

— Proszę mi wybaczyć to zachowanie — wycierała chusteczką oczy. — Ale nie mogę uwierzyć w to, co słyszę, zwłaszcza że w żaden sposób sobie na to nie zasłużyłam.

— Spokojnie, pani Justyno, doskonale rozumiemy pani emocje. Proszę darować mi bezpośredniość, z jaką się do pani zwracam, ale wiemy o pani więcej niż się pani wydaje. Jest pani osobą niezwykle szlachetną. Zapewniam, że to, co pani zrobiła dla Karola, zasługuje na najwyższe uznanie. Wiem o tym doskonale i to od niego samego. Byliśmy starymi przyjaciółmi. Pani bezinteresowne oddanie temu niepoprawnemu pustelnikowi zostało właściwie nagrodzone. — Mówił szczerze z wyraźną iskrą w oku. — A teraz, jeśli pani pozwoli, przedstawię wolę zmarłego do końca.

Odczytywanie zapisów testamentu zajęło notariuszowi ponad pół godziny. Dokument zawierał szczegółowy spis tego, co jej pozostawił Karol Bratzki. Od kamienicy poczynając, przez wszelkie dobra w niej zgromadzone, papiery wartościowe, po imponujący stan konta. To wszystko zgodnie z wolą zmarłego należało teraz do Justyny.

Na zakończenie tej długiej wyliczanki adwokat wręczył jej coś jeszcze. Kopertę zaadresowaną na nazwisko Justyny Wolak. To był list napisany do niej.

— Wolą Karola Bratzkiego było, aby otworzyła pani tę kopertę w stosownej dla siebie chwili.

— Bardzo dziękuję. — Ujęła ją drżącą dłonią niczym relikwiarz i przez chwilę wpatrywała się w zręcznie wykaligrafowane litery. Oczyma wyobraźni widziała sędziwego antykwariusza, w drucianych okularach na nosie, pochylonego nad swoim biurkiem i piszącego ten list. Po raz kolejny poczuła wzruszenie.

— No i na koniec jeszcze to, co przyniosła mi pani kilkanaście dni temu... Klucze.

Po wyjściu od notariusza zatrzymała się na chodniku, aby z tej perspektywy spojrzeć na drugą stronę ulicy, gdzie stała kamienica, którą przed chwilą odziedziczyła. Nigdy dotąd nie przyglądała się jej w ten sposób. Teraz zaś doceniła w pełni jej urok. Z uznaniem patrzyła na przepiękny neorenesansowy budynek z bogato zdobionym frontonem, z szerokimi fryzami pod oknami pięter zdobionymi ornamentami roślinnymi. W środkowej części elewacji wyeksponowany był pionowy wykusz tworzący balkony w poziomie pierwszego i drugiego piętra, zwieńczony hełmem z iglicą. Podobne wykończenie miały dwie facjaty znajdujące się na dachu. Pomiędzy nimi górowała ściana części użytkowej strychu zdobiona półkolistymi rozetami oraz iglicami. W poziomie podwyższonego parteru jawiły się ozdobne portale z motywami roślinno-zwierzęcymi. Niżej, w suterenie,

znajdował się dobrze jej znany antykwariat. Znała również część parteru, a w zasadzie hol i dwa salony, w których była goszczona przez gospodarza.

Patrząc na kamienicę, czuła ogromne emocje. Ciągle nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, że to nie jest sen.

Kochany pan Karol, wyszeptała wzruszona. Czuła w torebce ciężar otrzymanych przed chwilą kluczy, ale nie miała odwagi ich użyć. Jeszcze nie.

Po chwili wsiadła do samochodu i pojechała na cmentarz, aby tam podziękować swojemu przyjacielowi za ten zaskakujący dar.

Następnego dnia Justyna, z wypiekami na twarzy, opowiedziała o wszystkim swoim przyjaciółkom. Słuchały z otwartymi ustami, jakby to był jakiś film z iście baśniową fabułą. Co pewien czas reagowały przejawami zachwytu, prosząc, aby dalej snuła swoją opowieść.

— To szok! — Nie wytrzymała w pewnym momencie Agata. — Nieprawdopodobna historia! Co teraz zamierzasz robić?

— Nie wiem. Szczerze wam mówię, że nie wiem. To wszystko spadło na mnie tak nieoczekiwanie, że do tej pory nie mogę w to uwierzyć.

— Ale jak to? Wcześniej nie wiedziałaś, nie domyślałaś się, że antykwariusz zamierza uczynić taki zapis? — dopytywała z niedowierzaniem Monika.

— Nawet mi przez myśl nie przeszło. Słowo honoru. Nigdy, przenigdy nie pomyślałam w ten sposób. To była najnormalniejsza w świecie przyjaźń.

— A to ci heca. Nasza Justyna panią na włościach ^ próbowała żartować Agata.

Wieść o tej niezwykłej historii obiegła korporację lotem błyskawicy. Ci, którzy znali Justynę bliżej, przychodzili z osobistymi gratulacjami. Inni tylko z daleka pozdrawiali ją przyjaznym gestem, wysyłając w ten sposób sygnał, że cieszą się razem z nią.

Radość Justyny była oczywiście ogromna. Czuła wobec pana Karola bezgraniczną wdzięczność. Niemniej od wczorajszego popołudnia towarzyszyły jej również inne emocje. Była osobą odpowiedzialną. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jakie są konsekwencje otrzymanego spadku. Od kilkunastu godzin jest właścicielką mienia ogromnej wartości, którym trzeba będzie zarządzać. Najnormalniej w świecie bała się, czy temu podoła.

W sobotę pojechała do antykwariatu. Przygotowywała się do tego psychicznie przez cały wieczór. Bała się tej pierwszej wizyty w miejscu, gdzie zawsze czekał na nią jej przyjaciel. W chwili gdy wkładała klucz do zamka, poczuła przenikliwe dreszcze. Nie był to przejaw strachu. Raczej coś w rodzaju obawy przed konfrontacją z nową rzeczywistością.

Uchyliła skrzypiące drzwi, nad głową zadźwięczał znany dzwonek, poczuła ten sam charakterystyczny zapach starej księżnicy. Wszystko jak dawniej, tylko za

kontuarem nie było filigranowego człowieka, który znad okularów spoglądał zwykle na wchodzących. Zatrzymała się na chwilę, aby oswoić terażniejszość. Diametralnie inną od poprzedniej.

Witam, panie Karolu — wyszeptała bezwiednie. Jestem... i nie wiem, co mam dalej robić — dodała po chwili.

Cisza wprost krzyczała. Mrok wnętrza potęgował nastrój smutku. Czowała się zagubiona i bezradna. Ruszyła w kierunku biurka, za którym siadywał antykwa-riusz, kiedy pracował nad swoimi dokumentami. Po drodze dotykała z czułością regałów, książek, mebli... Rozglądała się, jakby miała nadzieję, że za chwilę senior wynurzy się zza sterty woluminów i przywita ją swoim ciepłym głosem.

Zdjęła płaszcz i z namaszczeniem usiadła za biurkiem, na którym panował wzorcowy porządek. Przed nią leżały grube księgi, rejestry, teczki pełne tajemniczych arkuszy. Rozparta wygodnie w fotelu dała się ponieść wspomnieniom. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej podłużną oliwkową kopertę z wykaligrafowanym nazwiskiem adresata: *Justyna Wolak*. Przez chwilę trzymała list w dłoniach, po czym wzięła niewielki nożyk z kościaną rękojeścią i delikatnymi ruchami otworzyła kopertę. Zanim wyjęła z niej kartkę, wzięła głęboki oddech.



*Droga Justynko,*

*do napisania tego listu skłoniły mnie wydarzenia ostatnich dni. Mimo Twoich starań, Serduszko, moje zdrowie zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż starałem się to przed Tobą ukryć. Nie miałem prawa obarczać Cię swoimi problemami, kiedy Ty i tak robiłaś dla mnie znacznie więcej, niż mogłem oczekiwać...*

Musiła na moment przerwać czytanie. Nie widziała liter. Rozpływały się na skutek łez, które wypełniły jej oczy, a po chwili spłynęły po policzkach.

*...Jakież miałem szczęście w tych ostatnich latach mojego życia, że los skierował Ciebie, Serduszko, pod mój adres. Twoje pojawienie się było największym darem, jakiego mogłem oczekiwać. Wniosłaś do mojego szarego i monotonnego życia promyk radości, który rozjaśniał moją samotność. Każda Twoja wizyta była dla mnie niczym święto Bożego Narodzenia. Rozumiałem, że masz swoje życie, setki spraw i obowiązków, mimo to czekałem każdego dnia.*

*Za to wszystko chcę Ci serdecznie podziękować, wyrazić najgłębszą wdzięczność. Swoją obecnością, Serduszko, ożywiałaś moją starość.*

*Na jutro umówiłem się z mecenasem Boryckim. Mój wieloletni przyjaciel odwiedzi mnie w celu*

*spisania ostatniej woli. To na wypadek, gdybym nagle poczuł się gorzej.*

*Już dawno zdecydowałem, aby wszystko, co posiadam, stało się po mojej śmierci Twoje. Przyjmij ten dar bez oporów. Jesteś wszak jedyną i najważniejszą osobą, która powinna przejąć nasze rodzinne dobra. Mam pewność, że potrafisz uczynić z tego prawdziwą wartość, że dzięki temu będziesz mogła zrealizować swoje marzenia. Jesteś osobą mądrą i szlachetną. Pod wieloma względami przypominasz mnie samego z lat młodości.*

*Zegnaj Justynko i zachowaj mnie w pamięci.*

*Niech Ci Bóg błogosławi*

*Karol Bratzki*

*PS*

*Wybacz mi te ostatnie słowa... Bądź ostrożna, dziecinko, w odniesieniu do owego darczyńcy, który obdarował Cię tak hojnie wigilijnym prezentem. Z pomocą mecenasa Boryckiego udało mi się ustalić, że ów jegomość bardzo interesował się antykwariatem. Próbował dociec, jak wartościowe są moje zbiory, jaki jest stan prawny całej nieruchomości i kto będzie to wszystko dziedziczył. Krążył wokół mnie niczym sęp, a ja tego nie dostrzegałem. Zanim kupił prezent dla Ciebie, moja duszko, odwiedzał mnie kilka razy. Wówczas niczego nie podejrzewałem. Dowiedział się też o moim dla Ciebie zapisie. Zatem bądź czujna, dziecinko, i nie daj się zwieść temu fircykowi.*

Ledwie zdołała *doczytać* do końca. Łzy płynęły jej po policzkach, niczym krople deszczu po szybie. Głęboki smutek wypełniał jej duszę, żal dławiał gardło, a serce pękało z tęsknoty.

Te piękne słowa zostały jednak przykryte goryczą tych zawartych w post scriptum. Justyna wprost nie mogła w nie uwierzyć. Dla pewności przeczytała je dwa razy i była zdruzgotana wyznaniem pana Karola, który nawet po śmierci otaczają swoją opiekę. A to drań — pomyślała z oburzeniem o Łukaszu. Ja też niczego nie podejrzewałam.

Wróciła jednak myślami do swojego dobroczyńcy, ukochanego antykwariusza. Panie Karolu, był pan wspaniałym człowiekiem, wyszeptała. Bardzo za wszystko dziękuję. I znowu poczuła pod powiekami łzy.

Po tych słowach usłyszała dziwne odgłosy, jakiś hałas, dochodzący gdzieś z zaplecza. Wzdrygnęła się odruchowo. Poczula się nieswojo. Wstała jednak po chwili, aby sprawdzić, co się tam mogło wydarzyć. Niczego jednak nie zauważyła.

Czy to pan, panie Karolu? — zapytała szeptem. Chce mi pan powiedzieć coś jeszcze?

Chwilę później miała wrażenie, że już wszystko rozumie. Nastawiła wodę, aby starym zwyczajem zrobić kawę. Zaparzyła dwie filiżanki i ustawiła je na stoliku, gdzie zwykle siadywali. Zajęła fotel, ten, co zawsze, a drugi...

Cały następny tydzień upłynął Justynie na monotonnej pracy zawodowej, której towarzyszyły rozmyślenia na temat listu pana Karola. Popołudniami zaś ślęczała nad projektem znieawidzonego Łukasza, mając nadzieję na jak najszybsze jego ukończenie. Towarzyszyło jej również uczucie rozdwojenia. Miała teraz dwa domy i w żadnym z nich nie czuła się tak do końca u siebie. Jakaś część jej duszy zaczynała tęsknić za ezoteryczną kamienicą, która wabiła tajemniczą mocą.

W połowie tygodnia była już niemal zdecydowana na przeprowadzkę. Postanowiła jednak najpierw dokończyć stare zobowiązania.

Łukasz kontaktował się z Justyną telefonicznie kilka razy, dopytywał o szczegóły związane z projektem. Próbował też umówić się na spotkanie. Był przy tym jak zawsze bardzo miły i taktowny. Mimo tego nie wzbudzał

już w niej takiego zainteresowania, jakie jeszcze niedawno towarzyszyło ich kontaktom. Justyna pragnęła jak najszybciej zakończyć współpracę z człowiekiem, który najwyraźniej miał nieczyste intencje. Nawet nie chciała zastanawiać się nad tym, w którym momencie ich znajomość stała się elementem jego niecznych planów. Być może od samego początku. Wzdrygnęła się na myśl, że jej klient w tak uroczy i perfidny sposób oplatał ją nićmi swojej niewidzialnej sieci. Czuła gorycz osoby wykorzystywanej.

Przyjaciółki także domagały się jej towarzystwa.

— Kiedy wreszcie pokażesz nam te swoje skarby? — podpytywała Agata. — Nie mogę się doczekać. Tyle krąży o tym mitów, że aż dech zapiera.

— Wybacz, Aguś, i daj mi jeszcze parę dni — prosiła ze skruchą. — Przyznam ci się, że sama jeszcze wszystkiego nie widziałam. Chciałabym najpierw dokończyć projekt, aby mieć spokojną głowę. Mnie samą zżera ciekawość.

— No widzisz, a co dopiero nas.

— Nie uwierzysz, ale ja, tak naprawdę, znam tylko antykwariat i zaledwie część parteru. A co jest wyżej, tego sama nie wiem. Zapewne nic takiego, choć korci mnie, aby tam wreszcie zajrzeć.

W końcu udało się zakończyć prace nad projektem. Justyna chciała jak najszybciej przekazać go Łukaszowi i dlatego poprosiła o spotkanie.

Blisko dwie godziny zapoznawała zleceniodawcę ze szczegółami swojej koncepcji, uzasadniała wybory, przybliżała szczegóły. To było typowo biznesowe spotkanie. Tak je sobie zaplanowała Justyna. Postanowiła nie dać po sobie poznać, że zna jego skrywane plany. Łukasz próbował kilka razy wprowadzić do rozmowy elementy bardziej osobiste. Niestety, wypadały one dosyć sztucznie.

Na finał pozostała najmniej przyjemna część spotkania, mianowicie sprawy finansowe. Takie rozmowy zawsze deprymowały Justynę, jako kobieta czuła na tym polu zażenowanie. Niestety, musiała przez to jakoś przebrnąć. Dodatkowym elementem stresującym był świąteczny prezent, który — jak kiedyś uzgodnili — miał być przedmiotem finalnego rozliczenia. Na szczęście i tu udało się znaleźć kompromis, uwzględniający twarde stanowisko Łukasza, że to był prezent. Niech tak będzie, pomyślała w końcu. Potraktuję to jak karę za twoją nieuczciwość.

Pod koniec spotkania można było dostrzec w zachowaniu Łukasza wyraźne oznaki rozczarowania. Przy czym nie dotyczyły one projektu, którym był szczerze zachwycony, ani tym bardziej kwestii finansowych. Był zawiedziony ich wzajemnymi relacjami. Zapewne spodziewał się czegoś więcej, kolejnego etapu zbliżenia się do obiektu swoich „fascynacji”. Tymczasem doświadczył

goryczy obojętności, a nawet przejawów niechęci, choć Justyna starała się tego nie okazywać. Brnęła jednak wyraźnie ku zakończeniu, nie tylko tego męczącego spotkania, ale i znajomości. Na pytanie nieustępliwego Łukasza, czy będzie mógł liczyć na kolejne spotkanie, odpowiedziała grzecznie, ale zdecydowanie, że „będzie to teraz raczej trudne, bowiem zaczyna zmieniać i porządkować swoje dotychczasowe życie”.

Zaraz po spotkaniu pojechała do antykwariatu, aby tam, w tej niezwyklej atmosferze, uspokoić myśli i uporządkować chaos, jaki panował w jej głowie.

Do kamienicy weszła, tak jak poprzednio, przez antykwariat. Zamknęła za sobą drzwi na klucz, aby mieć pewność, że nikt jej nie będzie przeszkadzał.

Kiedy wchodziła po metalowych schodach prowadzących z sutereny na parter, czuła ogromne podniecenie. Ucieszyła się na widok holu, który pamiętała z czasu swojej pierwszej wizyty. Rozpoznała drzwi salonów, w których gościł ją wówczas pan Karol. Innych pomieszczeń znajdujących się na tym poziomie nie widziała, postanowiła jednak, że teraz zajrzy na wyższe kondygnacje.

Na pierwsze piętro prowadziły dębowe schody ograniczone z jednej strony okazałą rzeźbioną balustradą. Wzdłuż klatki schodowej, podobnie jak w holu pierwszego piętra, znajdowały się ciemne boazerie. Powyżej

nich wisiały obrazy, których tematem były sceny z polowania, ludzie przy pracach polowych, drwale w lesie i pejzaże. Znajdowały się tu również elementy drobnego umeblowania: stoliki, krzesła, kufer, wieszak ścienny z wielkim lustrem i wiele gustownych drobiazgów.

Justyna stanęła zadziwiona i wzrokiem dotykała każdego elementu wyposażenia, mając wrażenie, że znajduje się w jakimś muzeum, "wszystko było bardzo piękne, stylowe, choć mocno zakurzone.

Postanowiła zajrzeć na wyższą kondygnację, a dopiero później zwiedzać pomieszczenia. Hol drugiego piętra był pod względem wystroju podobny do pierwszego. Choć przy uważniejszym oglądzie Justyna dostrzegła, że umeblowanie jest tu znacznie starsze od poprzedniego. Zapewne pochodziło z wcześniejszego okresu. Pod jednym względem obie kondygnacje nie różniły się od siebie — wszędzie było tak samo dużo kurzu. Mimo to Justyna była tym wszystkim urzeczona.

Znajdowały się tu kolejne schody, nieco skromniejsze, prowadzące zapewne na poddasze i strych, ale zwiedzenie tej części kamienicy odłożyła na inny czas.

Zeszła więc ponownie na pierwsze piętro i skierowała się do losowo wybranych drzwi. Początkowo nie chciały ustąpić, jednak pod naporem ciała udało się je uchylić. Mimo panującego półmroku jej oczom ukazał się imponujący salon z okazałym marmurowym



kominkiem pośrodku, nad którym wisiało kryształowe lustro w złoconych ramach. Całe wnętrze urządzone było w stylu ludwikowskim. Znajdowały się tu inkrustowane meble, o zgrabnych giętych nóżkach, na których stały różnej wielkości i kształtów wazon, misy i dzbany, zegary, figurki, puzderka, srebrne naczynia, lampy... Witryny były pełne porcelany. Już na pierwszy rzut oka Justyna rozpoznała wyroby miśnieńskie: wazy, talerze, dzbanki, mieczniki, cukierniczki, filiżanki, ozdobione charakterystycznym wzorem cebulowym. Pośrodku znajdował się owalny stół, wokół którego stało sześć krzeseł tapicerowanych przykrytych białym płótnem. Podobnie jak znajdująca się obok sofa i dwa rozłożyste fotele.

Boże, jak tu pięknie! Nie mogła powstrzymać emocji. Gdzie ja trafiłam, co to za wspaniały dom? — pytała bezwiednie.

Wyglądało tak, jakby czas zatrzymał się tu w poprzednim stuleciu. Justyna miała wrażenie, że za chwilę wejdzie do salonu dama o białych licach, w długiej krynolinie, z wachlarzem w ręku i odeśle ją tam, gdzie jej miejsce — do pokoju dla służby.

W drugim, nieco mniejszym pomieszczeniu znajdowała się sypialnia. W prawej części stało duże łóżko z baldachimem, pokryte atłasową narzutą ozdobioną falbanami. Zalegający na niej kurz wręcz uniemożliwiał ustalenie, w jakim jest kolorze. Obok stał krawiecki

manekin, na którym wisiał gorset. Można było pomyśleć, że jego właścicielka wyszła przed chwilą z pościeli i udała się na poranną toaletę.

Umeblowanie tego wnętrza to dla Justyny kolejny wstrząs. Wszystko, co się w nim znajdowało, było w najlepszym guście epoki, z której pochodziło.

Podekscytowana postanowiła jak najszybciej zajrzeć na drugie piętro. Pokonując po dwa schody naraz, wbiegła na górę. Zatrzymała się na chwilę niezdecydowana, do którego z pomieszczeń zajrzeć najpierw. Wybrała drzwi znajdujące się pośrodku. One również nie chciały ustąpić. Determinacja, z jaką uderzała w nie ramieniem, przyniosła spodziewany efekt. Kiedy niemal wpadła do środka, jej oczom ukazał się typowo męski gabinet. W centralnej części znajdowało się wielkie biurko z dużym skórzanym fotelem. Po prawej stronie blatu stał globus, a po lewej lampa naftowa. Naprzeciwko okna znajdował się niski dębowy stół, otoczony czterema skórzanymi fotelami. Na ścianie frontowej stały przeszklone regały, sięgające sufitu, wypełnione książkami. Ich grzbiety zaświadczały o wartości zgromadzonego tu księgozbioru, bez względu na to, o czym traktowały poszczególne egzemplarze.

Takich zaskakujących widoków Justyna miała tego popołudnia bez liku. Wprawdzie nie obejrzała wszystkiego, ale to, co zobaczyła, wystarczyło, aby poczuć prawdziwy

zawrót głowy. Nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie była w stanie przewidzieć tego, co zgromadzili w tym domu dawni lokatorzy.

Kiedy oszołomiona wrażeniami i fizycznie zmęczona zeszła do antykwariatu, nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Zastanawiała się, jak mogło dojść do tego, że w tej tajemniczej kamienicy zachowało się tyle wartościowych przedmiotów. W jej głowie zaczynał kształtować się pewien obraz. Wyobrażała sobie, że każde z pięter zajmowane było przez lokatorów z innej epoki. Najwyższa kondygnacja mogła należeć do pradziadków pana Karola, niższa być może do dziadków, a parter do rodziców i niego samego. Wiele na to wskazywało, zarówno umeblowanie, jak i cały drobiazgowy wystrój, nie mówiąc już o wiszących w szafach garderobach nasiąkniętych naftaliną.

Jak to możliwe, aby w centrum dużego, nowoczesnego miasta przetrwało takie miejsce? W tej przepięknej kamienicy zachował się świat, w stanie niemal nienaruszonym, o którym można już tylko poczytać w książkach. To zasługa kilku pokoleń rodu Bratzkich, którzy odchodząc z tego świata, pozostawiali po sobie tyle bezcennych dóbr.

Justyna miała wrażenie, że oni wszyscy ciągle tu są, że towarzyszyli jej podczas zwiedzania domu. Chwilami niemal czuła ich obecność. Starła się jednak o tym nie myśleć. Co pewien czas przeszywał ją delikatny chłódny

dreszcz, zwłaszcza gdy zza pleców dochodziły jakieś dziwne szmery. Nie dawała się ponieść wyobraźni, za każdym razem racjonalizując swoje doznania. Tłumaczyła to stanem emocjonalnego podniecenia, będącego skutkiem widoku tylu niezwykłych rzeczy. Zresztą, gdyby nawet tak było, miała pewność, że jej wspaniały przyjaciel, pan Karol, czuwał nad nią przez cały czas.

Niedzielny poranek przyniósł zmianę pogody. Po kilkunastu mroźnych dniach przyszło w końcu ocieplenie. Przez okna wpadały do sypialni radosne promienie marcowego słońca, które poprawiły Justynie nastrój. Miała za sobą ciężką noc. Śniła natrętnie, że krąży po piętrach i komnatach swojej nowej kamienicy, szukając wyjścia. Kiedy wydawało się, że już je w końcu odnalazła, po otwarciu drzwi ukazywał się kolejny salon albo schody. I tak przez niemal całą noc.

Tłumaczyła to sobie nadmiarem emocji, jakich doświadczyła podczas zwiedzania kamienicy. Musi zapewne upłynąć trochę czasu, zanim oswoi się z tym wszystkim.

Wylegając się w pościeli, wróciła myślami do wczorajszego popołudnia. Delektowała się wspomnieniami o tych wszystkich wspaniałych przedmiotach, jakie się tam znajdują, i poczuła potrzebę podzielenia się tym z przyjaciółkami.

Po południu *zadzwoiła więc do Agaty i Moniki z propozycją spotkania*. Obie, jak się można było tego spodziewać, przyjęły ją z entuzjazmem. Justyna pojechała po nie swoim garbusem, a po drodze kupiła butelkę czerwonego wina.

Po wyjściu z samochodu przeszły na drugą stronę ulicy, aby z pewnej odległości przyrzeć się fasadzie budynku. Przyjaciółki były urzeczone jego architekturą, na czym znały się jak mało kto. Po wymienieniu fachowych opinii na ten temat Justyna poprowadziła je do środka. Kiedy ujrzały wewnątrz antykwariatu, nie potrafiły ukryć zachwytu. Ich entuzjazm budziła nie tylko liczba zgromadzonych tu woluminów, ale także samo wnętrze, jego wystrój, umeblowanie.

— Noo, Justyna, teraz już rozumiem, dlaczego pędziłaś tu przy każdej nadarzającej się sposobności — przyznała Agata. — Tu jest wprost cudownie, i ten *nastrój*.

— Sama widzisz. To wszystko urzekło mnie, podobnie jak ciebie teraz, już w czasie pierwszej wizyty. A kiedy do tego jeszcze poznałam pana Karola... Siadywał zwykle tam, za kontuarem. To był cudowny staruszek.

Na chwilę zapanowała wymowna cisza. Była niczym spontaniczny gest pamięci o człowieku, który zrobił dla Justyny tak wiele.

— Ile tu tego jest? — Monika przerwała przedłużające się milczenie, pytając o księgozbiór.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia — przyznała bezradnie Justyna. — To mógł wiedzieć tylko pan Karol. Być może dowiem się tego kiedyś z katalogów, które prowadził z iście zegarmistrzowską precyzją.

— Które z nich są najcenniejsze? — dopytywała Agata.

— Najcenniejsze egzemplarze znajdują się w tamtych szafach pancernych. Miałam kilka razy przyjemność je przeglądać. To najprawdziwsze białe kruki. Są tam unikaty na skalę europejską. No, ale dosyć o książkach. Ruszamy na górę.

Parter był najlepiej utrzymaną częścią kamienicy. Tu do ostatnich dni swojego życia mieszkał antykwariusz, który — jak na pedanta przystało — potrafił dbać o czystość. Przyjaciółki były urzeczone tym, co zobaczyły. Chodziły po pokojach, przyglądając się każdemu niemal detalowi z największą uwagą. Niektóre przedmioty brały do ręki i obejrzawszy je z bliska, zafascynowane wymieniały uwagi. Justyna w tym czasie wyjęła z kredensu kieliszki i napełniła je winem.

— No, dziewczyny, zanim pójdziemy na górę, wypijmy po lampce. Za pamięć o profesorze.

— Bardzo chętnie, choć i bez tego kręci mi się w głowie na widok tych antyków — żartowała Agata.

— Chętnie się napiję, chociażby dlatego, że nigdy nie piłam z takiego szkła. He to może mieć lat?

— zastanawiała się Monika, unosząc na wysokość oczu kieliszek z grubego niebieskiego szkła.

— Czy ja wiem? — zastanawiała się całkiem serio Justyna. — Myślę, że około dwustu.

— Czuję się, jakbym brała udział w przyjęciu z okazji koronacji Stanisława Augusta — śmiała się Agata.

— Za pana Karola — zaproponowała gospodyni.

— Po spełnieniu toastu Justyna zakomunikowała przyjaciółkom, że kolejnym punktem zwiedzania domu będą wyższe kondygnacje. — Słuchajcie, tam na górze nikt nie mieszkał od lat, a co za tym idzie dawno nikt tam nie sprzątał. To zapewne przerastało możliwości seniora. Zatem bądźcie na to przygotowane.

— Nie wygłupiaj się, bywa, że ja też nie sprzątam swojego mieszkania całe wieki — dowcipkowała Agata.

— To dla mnie nie nowina.

— Dobrze, ale uprzedzałam. — Justyna wzięła do ręki trzy kieliszki, butelkę rozpoczętego wina i ruszyła przodem.

Oglądały z uwagą wszystko, co mijały po drodze, od klatki schodowej, holu po inne znajdujące się na ich drodze pomieszczenia. Najwięcej czasu spędziły w salonie pierwszego piętra. Mimo zalegającego wszędzie kurzu z największym zainteresowaniem przyglądały się każdemu przedmiotowi.

— Niech wycieczka posłucha — powiedziała w pewnej chwili Justyna, używając przy tym porcelanowego



dzwoneczka. — Proponuję, abyśmy wzniosły toast za tych, którzy zajmowali niegdyś ten piękny apartament. — W tym momencie spojrzała na wielki olejny obraz przedstawiający uroczą damę w długiej białej sukience, stojącą przy fontannie.

— Za pamięć o nich — dodała Agata.

Po chwili Monika podeszła do fortepianu, kilkoma zwinnymi ruchami dłoni odkurzyła stołek, wyregulowała jego wysokość, uniosła wieko klawiatury i zagrała. Całe wnętrze wypełniły dźwięki mazurka. Wprawdzie niestrojny od lat instrument nieco kaleczył szlachetną gładkość melodii, ale można było odnieść wrażenie, że całe wnętrze nagle ożyło i nabrało dawnego blasku. Justyna i Agata zamarły w bezruchu, dając się unieść muzyce i wyobraźni. Każda z nich zapewne śniła na jawie o czym innym. Z pewnością jednak były to wyobrażenia ściśle związane z epoką, z którą mógł kojarzyć się ten salon.

Wiele radości sprawiła dziewczynom łazienka. Pierwsza odkryła ją Agata i natychmiast wezwała je do siebie. Całość wykonana była z białej glazury, która do złudzenia przypomniała szlachetną porcelanę. W centralnej części znajdowała się wielka wanna o fantazyjnie giętych kształtach z podwyższoną częścią w okolicy pleców. Podobnie imponująco prezentowała się umywalka, duża, masywna, ozdobiona licznymi złoceniami. Najbardziej zaskakującym elementem był tu bidet. Okazało się, że ten — do dzisiaj jeszcze rzadki element pomieszczeń

sanitarnych — był znany już w tak odległych czasach. Całe wnętrze wyposażone było w dużą liczbę wytwornych dodatków. Na ścianie wisiało ogromne lustro w złożonych ramach, obok wieszaki, mosiężne baterie o fantazyjnych kształtach, gustowne półki, na których do tej pory stały flakony z pachnidłami.

— No, dziewczyny, idziemy dalej, bo nie zdążymy zobaczyć wszystkiego — ponaglała Justyna.

— A wiesz, nawet by mnie to ucieszyło — podchwyciła Agata. — Tu jest tak cudownie, że chętnie przyszedłabym jeszcze raz, a może i kolejny — ciągle żartowała.

— Aguś, oczywiście, że przyjdiesz tu jeszcze nie raz i nie dwa. Obiecuję.

— Okay, trzymam cię za słowo.

Drugie piętro przysporzyło przyjaciółkom kolejnych wrażeń, nie tylko duchowych. W jednym z salonów Agata otworzyła koronkową parasolkę i przed wielkim lustrem odegrała scenkę z epoki. Wcielając się w anemiczną pannę, kokietowała wyobrazonego kawalera gestem dłoni, wymownym trzepotem rzęs i udawanym zawstydzeniem. Chichotała przy tym niczym podniecona nastolatka.

Justyna patrząc na nią z boku, czuła ogromną radość. Stan Agaty z dnia na dzień się poprawiał. To widomy znak, że jej dramatyczne przeżycia zaczynają choć trochę blednąć. Być może dobry nastrój był w jakiejś mierze skutkiem wypitego wina, jednak radość na jej twarzy była oczywista.

Wkrótce do zabawy dołączyła również Monika. W sypialni zajrzała do bielizniarki i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła w niej obfitość damskiej bielizny. Wszystko poukładane na półkach w nienaganną kostkę. Sięgnęła po jedną z rzeczy, aby upewnić się, czy bielizna faktycznie pochodzi z minionej epoki. Okazało się, że tak. Trafiła na swego rodzaju ciekawostkę, na sięgające kolan kalesonki — ówczesne majtki — uszyte z białej tkaniny bawełnianej, ozdobione zarówno u góry, jak i u dołu koronkami. Były to dwie odrębne nogawki, które po włożeniu związywano w taliu trokami z tyłu i z przodu. Monika przyłożyła je do ciała i kołyszając biodrami w lewo i prawo, paradowała przed koleżankami. Śmiały się do rozpuku.

Po kilkugodzinnym zwiedzaniu kamienicy zeszły do antykwariatu. Tu Justyna czuła się najpewniej. Wprawdzie mogłaby podać przyjaciółkom kawę w salonie profesora, nie potrafiła jednak jeszcze przełamać w sobie poczucia, że jest tu bardziej gościem niż gospodynią. Warunki w antykwariacie nie były w niczym gorsze niż na górze. Usiadły we trójkę przy okrągłym stoliku i dzieliły się refleksjami.

— Co zamierzasz z tym robić? — zapytała Monika. — Utrzymanie tego to poważna sprawa.

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Na razie nie mam żadnego pomysłu.

— Słuchaj. Mnie się wydaje, że mogłabyś to udostępnić zwiedzającym. Otworzyć takie małe, prywatne muzeum — zaproponowała Agata.

— To nie jest głupi pomysł — podchwyciła Monika. — W ten sposób miałabyś dodatkowe dochody, które przeznaczyłabyś na utrzymanie tego wszystkiego.

— Czy ja wiem? Teoretycznie jest to możliwe. Tylko wówczas dom straci swoją intymność, klimat.

— No tak, w ten sposób stanie się, przepraszam za określenie, domem publicznym — przyznała Monika.

— Rozumiem Justynę i jej dylematy — włączyła się Agata. — Mnie też byłoby szkoda tego wszystkiego. Na pewno chciałabym przez pewien czas nacieszyć się tym sama. Jedno chcę ci zadeklarować już teraz. Jestem gotowa pomóc ci w posprzątaniu tych zapuszczonych salonów.

— Ooo, ja również! — wykrzyknęła Monika. — Ustal tylko dzień, a zjawimy się tu uzbrojone w wiadra i ścierki.

— Naprawdę, zrobiłybyście to dla mnie?

— Jeszcze pytasz? — wykrzyknęły spontanicznie, spoglądając na siebie zdziwionymi oczami.

Echa niedzielnej wizyty w rezydencji Justyny, jak powszechnie nazywano odziedziczoną przez nią kamienicę, krążyły po firmie. Opowiadano na ten temat najprzeróżniejsze historie, najczęściej przesadzone. Przyjmowano jednak wszystko z życzliwością, bez cienia zazdrości.

Ponad tydzień zajęły przyjaciółkom prace porządkowe. Każdego popołudnia jechały razem do kamienicy, gdzie w pocie czoła porządkowały salon po salonie, przywracając wnętrzom dawny blask. Wspólna praca, zjadane na miejscu posiłki, od czasu do czasu butelka wina sprawiły, że ich przyjaźń zacieśniła się jeszcze bardziej.

W połowie marca rezydencja prezentowała się jak w okresie swojej największej świetności. Kobiety były z siebie dumne, kiedy po raz ostatni oglądały wszystkie pomieszczenia w poszukiwaniu ewentualnych niedoróbek.

— No, dziewczęta, przyszedł czas na zasłużonego szampana — zaproponowała Justyna, wydając z barku jeden ze starych roczników. — To jest butelka z zapasów rodziny Bratzkich. Jestem pewna, że profesor nie ma nic przeciwko temu, abyśmy wypily jedną z nich.

— Z przyjemnością spróbuję tak wykwintnego trunku — podjęła z ochotą Agata. — Będę miała okazję napić się czegoś, co ma kilka razy więcej lat niż ja sama.

— Justyna, teraz pozostała ci już tylko przeprowadzka — zasugerowała Monika. — Możesz tu śmiało zamieszkać i bardzo bym się zdziwiła, gdybyś tego nie zrobiła.

— Masz rację, myślałam o tym. Wydaje mi się, że jestem już do tego gotowa i zrobię to w miarę szybko. Mam dosyć życia na dwa domy.

— A więc za rychłą przeprowadzkę — wzniosła kieliszek Agata.

Pod koniec marca Justyna na dobre zadomowiła się w nowym miejscu. Pozostało jeszcze sprzedanie poprzedniego mieszkania, co zleciła agencji.

— Nareszcie jestem, panie Karolu — wyszeptała, siedząc zmęczona w salonie. — Teraz zajmę się domem jak należy. Myślę, że będzie pan ze mnie zadowolony.

Pierwsza noc w nowym miejscu to duże przeżycie. Odkładała ten moment na możliwie późną porę. Chodziła po salonach, poprawiała tu i ówdzie serwetki,

przestawiała przedmioty w inne miejsca. Dotykała rodzinnych fotografii, starając się przeniknąć okoliczności ich powstania. W końcu dopadło ją zmęczenie silniejsze od emocji i położyła się spać.

Obudził ją niespodziewany hałas. Usiadła na łóżku przerażona, widząc w drzwiach pana Karola. Stał, nieco pochylony do przodu, ze swoimi okularami na nosie, trzymając w ręku niewielki bukiet. Nic nie mówił, tylko uśmiechał się pogodnie. Zanim zdołała zrobić cokolwiek, rozplątał się w przestrzeni, a Justyna opadła z powrotem na poduszkę.

Kiedy rano przebudziła się, miała w pamięci to zaskakujące nocne zdarzenie. Tyle że nie była już pewna, czy to był sen, czy profesor faktycznie ją odwiedził. Kwiaty w jego dłoni były zapewne gestem przywitania i to cieszyło ją najbardziej. Poza tym dziwnym zdarzeniem spała spokojnie i była teraz w znakomitej formie.

W pracy musiała oczywiście opowiedzieć przyjaciółkom o wrażeniach z pierwszej nocy spędzonej w nowym domu. Co do odwiedzin profesora uznały, że to nie był żaden sen, tylko zacny gospodarz faktycznie zjawił się, aby ją przywitać.

— Na przyszłość spróbuj z nim porozmawiać, może będzie chciał ci coś przekazać — doradzały spontanicznie.

Kolejne dni Justynie upływały na monotonii pracy zawodowej i na adaptowaniu się do nowych warunków życia. Wszystkie popołudnia poświęcała poznawaniu domu.

Przeglądała zawartość szaf, komód, bielizniarek, serwan-tek, regałów... Dzięki znajdującym się w nich przedmiotom odkrywała kolejne karty historii tej zacnej rodziny. Na zgłębienie wszystkiego zapewne nie starczyłoby jej życia. Za każdym razem z przejściem dotykała namacalnych dowodów ich istnienia.

Wkrótce udało się sprzedać poprzednie mieszkanie. W ten sposób Justyna zamknęła pewną kartę swojego życia. Podjęła również szereg decyzji związanych z nowym domem, jak zainstalowanie systemu alarmowego czy internetu. Kupiła nowy komputer z zamiarem skatalogowania całego księgozbioru w formie elektronicznej. Zleciła również wykonanie witryny internetowej antykwariatu, aby i w ten sposób zaistnieć na rynku.

Prace nad unowocześnieniem swojego otoczenia pochłaniały jej sporo czasu, którego brakowało jej coraz bardziej. Zaczynała nawet kiełkować w niej myśl dokonania zmian w życiu zawodowym. Choć kochała to, co do tej pory robiła, coraz trudniej przychodziło jej godzić wszystkie obowiązki.

O zamiarze odejścia z pracy rozmawiała nawet z przyjaciółkami, które zdecydowanie zaprotestowały. Nie wyobrażały sobie tego w żaden sposób. Od pewnego czasu stanowiły swoistą triadę, której — jak zażartowała kiedyś Agata — nikt teraz nie podskoczy, jeśli odejdziesz — mówiły — znowu zaczną się ostre jazdy karierowiczów. Te argumenty w jakimś stopniu odwiodły Justynę



*od tej decyzji.* Byk lojalna wobec przyjaciółek i dlatego odłożyła swoje plany na inny czas.

Nie na długo jednak. Na zmianę jej postanowienia wpłynęły, docierające do niej, coraz śmielsze uszczypliwości ze strony pracowników firmy. Ludzka zawiść zaczynała brać górę. Uwagi typu: „Gdybym miała taki majątek, w życiu bym tu nie pracowała” czy dużo bardziej wredne: „Nie blokowałabym komuś miejsca pracy...” przelały czarę goryczy.

Justyna zwróciła się do wiceprezesa z oficjalnym wnioskiem o zwolnienie. Krasicki starał się odwieść ją od tego zamiaru i prosił usilnie, aby zmieniła swoją decyzję. Nalegał nawet, żeby ujawniła nazwiska prześladowców, na co w żaden sposób nie przystała. Ostatecznie zaproponował, aby dała sobie kilka dni i jeszcze raz to wszystko przemyślała. Kiedy po tygodniu okazało się, że nie zmieniła zdania, poprosił ją o zaproponowanie następcy. Justyna nie miała najmniejszych wątpliwości, że powinna to być Agata.

— Mówi pani, Bagińska... — powtórzył nazwisko z głębokim zamyśleniem. — Hm, to może być dobre rozwiązanie. Znam panią Agatę, wiem, że rozwinęła się pod pani skrzydłami i zaczęła osiągać wyniki.

— Zapewniam pana, że jest osobą kompetentną i odpowiedzialną.

— Tak, tak. To jest właściwa kandydatura. Bardzo Pani dziękuję, ale przede wszystkim ogromnie żałuję, że

firma traci w pani osobie tak znakomitego architekta. Choć nie ukrywam, że w pewnym sensie to rozumiem. Przed panią otworzyły się teraz nowe możliwości. Proszę dać mi przynajmniej nadzieję, że jeżeli w przyszłości będziemy potrzebowali jakiejś pomocy, porady, nie odmówi nam pani.

— Ależ oczywiście, panie prezesie. Może pan na mnie liczyć.

Justyna wyszła od prezesa wyraźnie zadowolona. Cieszyła się nie tylko z tego, że w końcu odchodzi z firmy, choć nie jest to dla niej łatwe, ale przede wszystkim z tego, że jej miejsce zajmie Agata.

Atmosfera przyjęcia pożegnalnego, które z tej okazji urządziła, była tak miła, że momentami czuła wzruszenie. Serdeczność, z jaką wszyscy odnosili się do niej, i wyrazy sympatii były zaskakujące. Okazało się, że była nie tylko osobą cenioną pod względem zawodowym, ale także bardzo lubianą. Otrzymała naręcza kwiatów i drugie tyle prezentów, które były najlepszym dowodem sympatii ze strony współpracowników.

Wśród gości nie zabrakło również wiceprezesa Krasickiego, który wygłosił mowę pożegnalną, obfitującą w wiele akcentów podkreślających jej zasługi dla firmy. To oczywiście pochlebiało Justynie. Któż nie lubi tego rodzaju oficjalnych dowodów uznania padających z ust szefa? Jednak najbardziej ekscytującym elementem jego wystąpienia było ogłoszenie następcy. Na ten moment sala ucichła,

jakby nagle nikogo w niej nie było. Wszyscy wstrzymali oddech, aby po chwili usłyszeć, że nowym kierownikiem pracowni zostanie Agata Bagińska. A więc dotrzymał słowa, pomyślała z ulgą Justyna. Ma facet klasę.

Po słowach szefa rozległa się burza braw, a niektórzy pozwili sobie nawet na spontaniczne okrzyki: „Brawo, Aga!“. To był szczerzy aplauz. Agata była lubiana w korporacji, uchodziła za bardzo koleżeńską i wesołą kobietę. Przyszedł również czas na osobiste gratulacje, uściski dłoni i całusy.

— No, Aguś, szczerze gratuluję ci tego awansu. Wiedz, że w pełni sobie na to zasłużyłaś — powiedziała Justyna, ściskając przyjaciółkę.

— Dziękuję. Przyznaj, że wiedziałaś o tym, że maczałaś w tym swoje paluchy.

— Nie wygłupiaj się. Nie jestem aż tak wszechmocna. Sama sobie na to zasłużyłaś — upierała się przy swoim, chcąc wzbudzić w przyjaciółce większą wiarę w siebie.

— No dobrze, niech ci będzie. W każdym razie postaram się nie zawieść twojego zaufania — żartowała przepojona radością.

Następny dzień był pierwszym dniem nowego życia Justyny. Wprawdzie rano przebudziła się rutynowo z zamiarem pójścia do pracy, po chwili jednak obsunę się z powrotem na poduszkę, próbując złapać drugi sen. Na nic się to jednak nie zdało. Przyzwyczajenie,

jak mówią, jest drugą naturą człowieka. Po kilkunastu minutach wstała, choć tak naprawdę nie wiedziała, co będzie robić.

Na szczęście w takim domu nie można było się nudzić. Na każdym niemal kroku czekały ją nowe doznania. Samo przeglądanie niezliczonej ilości szuflad, z których każda kryła w sobie jakąś niespodziankę, dostarczało wiele powodów do radości. Biorąc do ręki poszczególne przedmioty, wyobrażała sobie, komu i czemu służyły. To były takie miniaturowe wyprawy w przeszłość, pełne tajemnic.

Efektom tych penetracji było między innymi odkrycie puzderka leżącego w rogu szuflady jej czereśniowej toaletki. Znalazła w nim wyjątkowo piękny wisiorek w kształcie elipsy, wykonany ze srebra i kości słoniowej. Natychmiast zawiesiła go na szyi i doszła do wniosku, że będzie go nosić. Znajdowały się tam również bardzo oryginalne srebrne kolczyki i równie ciekawa brosza.

Po południu zeszła do antykwariatu, aby zająć się rozbudową witryny internetowej. Czas był na to najwyższy. Należało umieścić na niej pierwsze egzemplarze książek, które mogłyby zainteresować potencjalnych nabywców. Wybrała kilka pozycji, obfotografowała je ze wszystkich stron, a następnie wprowadziła do komputera. Dla każdej z nich sporządziła odpowiednią metryczkę, dodając uwagi dotyczące stanu fizycznego. Zajęło jej to sporo czasu, ale była dumna z wykonanej pracy. To było dla niej zupełnie nowe doświadczenie.

Zajrzała również do skrzynki z „podrzutkami”, która nie była opróżniana od kilku tygodni. Nagromadziła się w niej spora liczba książek, które — wzorem pana Karola — należało przejrzeć i zagospodarować. Czuła się trochę dziwnie. Miała wrażenie, jakby gdzieś z boku obserwował ją antykwariusz. Nie było to uczucie strachu. Raczej rodzaj respektu, odpowiedzialności za wykonywaną pracę. Justyna wiedziała, czym były dla niego te książki, i zapewne teraz oczekiwał od niej tej samej troski o każdy kolejny egzemplarz.

Sortowała poszczególne pozycje przede wszystkim pod względem stopnia zniszczenia. Te, które wymagały naprawy, odkładała do specjalnego pojemnika. Raz w miesiącu przyjeżdżał po nie zaprzyjaźniony introligator i zabierał do renowacji. Był nim starszy pan, który zajmował się tym jako emeryt. Natomiast pozostałe książki umieszczała na półkach.

To były jej pierwsze czynności w nowym zawodzie. W ten sposób, chcąc nie chcąc, stała się antykwariuszką, i to nie tylko z nazwy. Całe szczęście, że miała na tym polu znaczne doświadczenia. Sama przez wiele lat gromadziła starodruki, choć czyniła to tylko z pasji. Dzięki temu posiadała pewne tajniki, które dla laika są zupełnie obce i niezrozumiałe. Przydawała się również wiedza, którą przekazywał jej mimochodem pan Karol podczas ich spotkań. Zawsze słuchała go z uwagą i jak się teraz okazało, przyswoiła znaczną część jego bezcennych wskazówek.

Wieczorem odwiedziła ją Agata. Jakież to było dla Justyny zaskoczenie, kiedy nagle usłyszała charakterystyczny dźwięk dzwonka znajdującego się w bramie kamienicy, zwłaszcza że zdarzyło się to po raz pierwszy. Zbiegła podekscytowana na dół i z radością przywitała przyjaciółkę, równie promienną jak ona.

— Aguś, tak się cieszę — rzuciła, nie dając jej dojść do słowa. — Co to za okazja? — zapytała, widząc ogromną wiązanek kwiatów w jej rękach.

— Poczekaj, zaraz ci wszystko wyjaśnię.

— No tak, przepraszam. Wchodź szybko.

— To są kwiaty dla ciebie. Dostałam ich dzisiaj tyle, że zabrakło mi w domu wazonów. Z kolei wiem, że u ciebie jest ich dostatek — żartowała.

— Ojej, jesteś kochana, ale chodźmy na górę. Przerwała to przedłużające się powitanie w sieni i ruszyła przodem.

— Ściągaj płaszcz i siadaj — poprosiła po wejściu do salonu, a sama zajęła się kwiatami. — Są cudowne, dziękuję.

— No właśnie. Dostałam ich dzisiaj całe mnóstwo. To z okazji przywitania nowej szefowej — uśmiechnęła się filuternie. — Wszyscy byli dla mnie tacy mili. Gratulowali mi i w ogóle... — przerwała na chwilę, aby powstrzymać wzruszenie.

— To cudownie, tak się cieszę, Aguś. Mówiłam ci, że w pełni sobie na to zasłużyłaś.

— Nie gniewaj się, że wpadłam bez uprzedzenia, ale tak bardzo chciałam ci o tym wszystkim opowiedzieć.

— Nie wygłupiaj się, o jakim uprzedzeniu mówisz? Nic się przecież nie zmieniło, no może adres zamieszkania. Zawsze byłaś, jesteś i będziesz moim najmiłszym gościem.

— Ale mam coś jeszcze — sięgnęła do torebki i wyjęła z niej gazetę.  
— Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. Ja natomiast twierdzę, że szczęścia również.

— O czym mówisz? — dopytywała niecierpliwie Justyna.

— Sama zobacz.

Na pierwszej stronie jednego z tabloidów znajdował się krzykliwy tytuł *Gwałciciel poskromiony*, a poniżej duża fotografia człowieka z przysłoniętą twarzą. Początkowo Justyna nie skojarzyła, o kogo może chodzić. Po chwili spojrzała pytającym wzrokiem na Agatę, jakby bała się wypowiedzieć to, co przyszło jej do głowy.

— Tak, to on: Artur B. to Artur Bralczyk — potwierdziła.

— Jak na to wpadłaś?

— Zupełnie przypadkiem. Gazetę zobaczyłam na biurku Leszka Kaliskiego. Moją uwagę przykuł tytuł. Dopiero po chwili zobaczyłam zdjęcie i wprost zdębiałam. Chwilę później poczułam ulgę, jakby ogromny wór kamieni spadł z moich pleców.

— Poczekaj, kochanie, przeczytam.

Artykuł prasowy donosił, że powszechnie szanowany wrocławski biznesmen dopuścił się gwałtu na dziewiętnastoletniej dziewczynie przy użyciu silnego środka odurzającego. Napisano również, że zachodzi poważne podejrzenie, że może być w to zaangażowana także inna osoba, której tożsamości jeszcze nie ustalono. Przy czym sprawa ma charakter rozwójów). Policja sądzi, że zatrzymany gwałciciel ma na swoim koncie więcej tego typu przestępstw, dlatego prosi osoby poszkodowane o zgłaszanie się do wydziału śledczego.

— Szok! I ulga — to jedyne słowa, jakie była w stanie wypowiedzieć Justyna.

— W końcu bydlak trafił tam, gdzie jego miejsce — dodała Agata. — Bardzo mi ulżyło — dodała półszeptem.

— Czy zamierzasz w związku z tym coś zrobić?

— Nie, skąd. Absolutnie — wzdrygnęła się na samą myśl, że musiałaby przeżywać to jeszcze raz.

— Ja też uważam, że nie powinnaś. W końcu i tak dostanie za swoje.

— Dziękuję, że się ze mną zgadzasz. W ten sposób będzie mi łatwiej.

— Podeszła do siedzącej na krześle Justyny, objęła ją serdecznie i wtuliła się w jej ramię. — Bardzo ci za wszystko dziękuję — wyszeptała, płacząc.

To były łyzy ulgi, a może nawet szczęścia. W ten sposób zapewne zamykała raz na zawsze ów straszny epizod swojego życia. Justyna cieszyła się razem z nią. Szczególnie że los do tej pory nie był dla Agaty łaskawy.



Niepowodzenia małżeńskie, później ten gwałt... Ta dobra, piękna i mądra kobieta w żaden sposób sobie na to nie zasłużyła. Niestety, nikt nie jest w stanie pojąć, dlaczego tak się w życiu dzieje, że ktoś tak szlachetny doświadcza tylu przykrości. Pasowałyby tu znakomicie słowa piosenki Edyty Geppert:

*Lecz czemu mnie do niebios bram  
Prowadzisz drogą taką krętą.  
I czemu wciąż doświadczasz tak,  
jak gdybyś chciał uczynić świętym I.*

---

<sup>1</sup> E. Geppert, *Zamiast*, z albumu *Pamiętnik, czyli Kocham Cię, życie*, 1998.

W połowie kwietnia nie było już najmniejszych oznak zimy, wyjątkowo mroźnej i obfitującej tego roku w śnieg. Przyroda budziła się do życia, choć nieco później niż zwykle. Na skwerach przekwitały już przebiśniegi i krokusy, a gałęzie drzew i krzewów zdobiły zielone pąki. W niewielkich okienkach antykwariatu, znajdujących się na poziomie chodnika, pojawiły się doniczki z kolorowymi hiacyntami. Do tego jeszcze Justyna zawiesiła w nich fantazyjne firanki. To był widomy znak, że placówka po kilkutygodniowej przerwie wznowiła swoją działalność. Zaczęli do niej zaglądać pierwsi klienci. Niektórzy z nich to starzy bywalcy. Z szacunkiem witali nową właścicielkę, życząc jej udanych transakcji. Inni przychodzili tu po raz pierwszy, a to szczególnie cieszyło Justynę. Starła się być dla wszystkich bardzo miła i cierpliwa, co zapewne podobałoby się panu profesorowi.

Zresztą wszystko, co robiła, czyniła z myślą o swoim mistrzu. Innym powodem do satysfakcji były pierwsze przychody pochodzące ze sprzedaży książek.

Wieczorem, po zamknięciu antykwariatu, zajęła się porządkowaniem półek. Tak to już niestety jest, że klienci potrafią pozostawić po sobie niezły bałagan. Na szczęście nie do wszystkich regałów mają dostęp. Cenniejsze egzemplarze, nie mówiąc o tych najcenniejszych, Justyna podaje osobiście. Natomiast pozostałe są ogólnie dostępne i można w nich buszować do woli. Dlatego skutki tego są tak oczywiste.

Kiedy tak w zupełnej ciszy zajmowała się układaniem książek, nagle usłyszała jakiś hałas. Obejrzała się zaskoczona, ale niczego nie spostrzegła. Podeszła bliżej kontuaru, ale i tu nic nie przykuło jej uwagi. Dopiero kiedy spojrzała w kierunku biurka, zobaczyła leżącą na podłodze tekturową teczkę. To z pewnością ona była powodem tego hałasu. Zapewne zsunęła się ze sterty dokumentów i upadła na podłogę. Schyliła się po nią i odłożyła na miejsce. Po kilkunastu minutach usłyszała podobny hałas. Co jest? — zapytała szeptem. Panie Karolu, czy chce mi pan coś powiedzieć?

Po raz kolejny podeszła do biurka i ku swojemu zdziwieniu na podłodze ujrzała tę samą tekturową teczkę. Podniosła ją z podłogi, ale tym razem nie odłożyła jej na miejsce. Usiadła za biurkiem, odwiązała błękitne wstążeczki i zajrzała do środka. Wewnątrz znajdowały się

jakieś listy, napisane starannym pismem. Było ich kilka. Wszystkie adresowane do kobiety imieniem Ania.

Dlaczego znajdowały się tutaj, w tej teczce? — zastanawiała się Justyna. Być może pochodziły ze skrzynki dla „podrzutków.” Pamiętała z opowieści seniora, że ludzie wrzucają do niej różne rzeczy, nie tylko książki. Być może ktoś chciał w ten sposób ocalić te listy?

Zaraz, zaraz... — sięgnęła w głąb swojej pamięci. Pamiętam, jak pewnego wieczoru pan Karol zaczął mówić o jakichś listach. Jego opowieść przerwała mu wówczas fala kaszlu. Zdążył tylko wydusić z siebie, że kiedyś mi o nich opowie. Tak, to zapewne chodziło o te listy.

Wyjęła je wszystkie z teczki i położyła na blacie biurka. Było ich w sumie siedem. Na żadnym z nich nie było ani daty, ani też dokładnego adresata poza imieniem tajemniczej Anny. Pisał je ktoś o imieniu Marcin, tak się podpisywał. Miała przez moment wątpliwości, czy powinna je przeczytać. Przeważyła jednak myśl, że skoro pan Karol chciał jej o nich opowiedzieć, to zapewne mogą być ważne.

*Aniu, najdroższa moja,*

*od ostatniego listu upłynęły cztery tygodnie. Cztery długie tygodnie wypełnione bólem samotności. Nie ma dnia, abym nie myślał o Tobie, o nas, o czasie, który spędziliśmy razem. Chcę zapamiętać każdą chwilę przeżyłą obok Ciebie. Kiedy byłaś przy mnie, wszystko*

*miało sens, układało się jak w cudownej bajce. Twoje odejście sprawiło, że życie straciło treść...*

*Ciągle nie rozumiem, dlaczego los był dla nas tak okrutny. Dlaczego dotknął nas tak boleśnie?*

*Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiam, tym więcej dostrzegam ku temu powodów. To była z pewnością moja wina, a w konsekwencji spotkała mnie kara. Zbyt często Cię zawodziłem, nie spełniałem oczekiwań. A Ty, najdroższa, nie skarżyłaś się nigdy, nie okazywałaś krzty rozczarowania, niezadowolenia. Zawsze byłaś dobra, wyrozumiała, cierpliwa i kochająca!*

*Bardzo żałuję tych chwil, gestów, które mogły sprawić Ci zawód, być powodem Twojego zasmucenia. Gdybym potrafił cofnąć czas...*

*Nie mogę sobie darować wielu rzeczy. Choćby tego, że w pierwszą rocznicę naszego ślubu nie przyniosłem Ci kwiatów, nie złożyłem życzeń. Ty pamiętałaś. Z gorzką nostalgią wspominam ten wieczór spędzony razem na tarasie naszego domku. Zadbałaś o nastrój, o słowa, które dzisiaj tak bardzo palą powieki.*

*Wybacz, że w Twoje urodziny umówiłem się z kolegami, że tego popołudnia nie byłem przy Tobie. Zapomniałem o nich i nie ma na to żadnego usprawiedliwienia, choć wówczas tak bardzo starałem się znaleźć jakieś bezsensowne wytłumaczenie.*

*Przepraszam Cię za mój poranny chłód, kiedy budziłem się z migreną, a Ty nie bacząc na oschłość, ze współczuciem podawałaś mi tabletki.*

*Pamiętam, jak kiedyś podczas rozmowy na temat obejrzanego filmu — zapomniałem nawet jego tytuł — podniosłem głos. Nie znajdując argumentów, chciałem w ten sposób przekonać Cię do swoich racji. Jakież to było małostkowe i niegodne naszej miłości.*

*Teraz gdy Ciebie już nie ma, widzę to wszystko inaczej. Rozumiem, kim tak naprawdę dla mnie byłaś, co straciłem i jak strasznie Cię kochałem.*

*Upływający czas nie goi ran. Zresztą nie chcę aby się zabiłżniły. Niech bolą! Zastługujesz na to.*

*Byłaś najwspanialszą towarzyszką życia, przyjaciółką i powierniczką. Byłaś moim Szczęściem. Brakuje mi Ciebie każdego dnia, naszych rozmów o tym, jak minął dzień, co w pracy, jak spędzimy weekend, gdzie pojedziemy na urlop.*

*Nie mogę uwierzyć, że Ty już nigdy nie upieczesz mi pysznego wiśniowego placka, którego zapach do dzisiaj roznosi się po domu, że nie ubierzesz tej czerwonej sukienki, która ciągle wisi w przedpokoju. Gdziekolwiek jesteś — wiedz, że nigdy o Tobie nie zapomnę.*

*Na koniec proszę Cię o to, co zawsze. Daj mi jakiś znak, ukaż się — błagam! Choćby we śnie. Tak bardzo pragnę zobaczyć Cię pełną życia i jak dawniej*

*radosną. Chciałbym jeszcze raz przytulić się, poczuć zapach Twoich włosów, usłyszeć szept najpiękniejszych wyznań.*

*Tymczasem żegnaj, najdroższa. Wkrótce znowu napiszę, bo wierzę, że Ty — tam, w tym lepszym świecie — czytasz moje listy, że dzięki nim jesteśmy bliżej siebie.*

*Twój kochający Marcin*

Justyna nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Była oszołomiona. Czuła się niczym intruz. Przeczytała coś, co było tak osobistym wyznaniem, jakiego mógłby się spodziewać jedynie spowiednik. Ten kochający, załamany i cierpiący mężczyzna pisał słowa, które były adresowane do kobiety, której już nie ma na tym świecie. To rodzaj pośmiertnego wyznania win i prośba o przebaczenie.

Spojrzała pobieżnie na inne listy. Miały podobną formę. Były niczym najszczerze rozmowy między rozłączonymi duszami, które dzieli nieprzekraczalna granica. Były próbą jej przekroczenia. Nie powinnam była tego przeczytać, wyrzucała sobie.

Z takim przekonaniem zapakowała je ponownie do teczki i odłożyła na miejsce. Wróciła do przerwanych obowiązków, starając się zapomnieć o tym, co przed chwilą przeczytała. Niestety, nie było to łatwe. Słowa, które zagościły w jej świadomości, kłębiły się teraz w głowie niczym burza na morzu. Była nimi tak poruszona,

że nie mogła myśleć o niczym innym. Kim jest ten człowiek? Nigdy nie spotkałam kogoś tak wrażliwego i kochającego. Co się stało z tą kobietą? Nie potrafiła oprzeć się pokusie. Spontanicznie sięgnęła po kolejny list.

*Aniu, najdroższa...*

*Piszę o bardzo wczesnej porze, kiedy dzień zaledwie przetarł zaspane oczy. Pragnę podzielić się z Tobą tym, co — dosłownie przed chwilą — zobaczyłem za oknem! Wyobraź sobie, że tej nocy spadł pierwszy śnieg i przykrył wszystko białym puchem, skrzącym się teraz w blasku odchodzącego księżyca. To cudowny i poruszający widok. Jest więc nadzieja, że zbliżające się Boże Narodzenie będzie miało taki właśnie cudowny wystrój. Szkoda, że ty tego nie widzisz. Z pewnością napisałabyś kolejny piękny wiersz.*

*Przez dłuższy czas stałem przy oknie, nie mogąc nacieszyć oczu. Oczu, w których pojawiały się łzy...*

*Przepraszam Cię za nie. Pamiętam, że obiecywałem więcej nie płakać. Ale w takich chwilach, najdroższa, kiedy nie mam z kim podzielić się swoją : radością, brakuje mi Ciebie najbardziej Ból przeszywa mnie na wskroś. Szczególnie teraz, kiedy zbliża: ją się święta, które były dla nas czasem największej radości.*

*Pamiętasz? Zawsze czekaliśmy na nie z ogromną niecierpliwością, poganiałiśmy zbyt wolno płynący*



*czas. Staraliśmy się zadbać o najdrobniejsze szczegóły, o nastrój, prezenty i o to, co najważniejsze: abyśmy mieli dla siebie dużo czasu.*

*Pamiętasz? Nawet po wigilijnej kolacji u rodziców śpiesznie wracaliśmy do siebie, aby usiąść przy naszym stole i jeszcze raz przełamać się opłatkiem. Później brałaś gitarę i razem śpiewaliśmy kolędy.*

*Czar tych wieczorów, podobnie jak nastrój następnych dni, pachnących igliwem, pomarańczą, płomieniem świec, noszę do dzisiaj w sercu.*

*Mimo że od tak dawna nie jest nam dane przeżywać tych chwil razem, czuję, że w ten szczególny czas jesteś blisko mnie. Wierzę w to głęboko.*

*Chcę ci również napisać, że wczoraj byłem na zakupach w markecie i kupiłem kutię.*

*Tak, kutię! Wyobraź sobie, że sprzedają ją teraz gotową, w puszkach. Nie wiem, czy będzie tak smaczna, jak ta, którą Ty przyrządzałaś, ale kupiłem ją z myślą o nas. Pamiętam, jak przepraszałaś mnie każdego roku za to, że nie potrafisz jej robić. Twoim zdaniem nie była tak smaczna jak u mamy. Nie miałaś racji, najdroższa. To była najwspanialsza kutia na świecie, której już nigdy w życiu nie spróbuję.*

*Zapewne robisz ją teraz gdzieś tam, w niebie i sama widzisz, jak wszystkim smakuje.*

*Najdroższa, za kilka dni święta. Nasze święta, choć tak bardzo inne od tamtych, które pamiętam.*

*Teraz gdy Cię nie ma przy mnie, nie są już takie wspaniałe. Postaram się jednak, aby nie były smutne. Obiecuję. Spróbuję. Ale jeśli i tym razem mi się to nie uda, już teraz proszę o wybaczenie.*

*Najdroższa moja, życzę Ci Najpiękniejszych Niebiańskich Świąt. Wkrótce znowu napiszę.*

*Twój kochający Marcin*

Usiadała wygodnie w fotelu i próbowała wyobrazić sobie człowieka piszącego te listy. Miała wypieki na policzkach. Emocje sprawiły, że czuła w skroniach przyspieszone tętno. To musi być ktoś o wielkim sercu, westchnęła. Sięgnęła po trzeci list.

*Anulko moja,*

*korzystam z wolnej chwili, aby napisać ten krótki list. Chcę, jak zwykle, podzielić się z Tobą tym, co czuję.*

*Zbliżają się Święta Wielkanocne. To jest taki szczególny czas, kiedy człowiek potrzebuje bliskości drugiego człowieka, kiedy samotność i tęsknota doskwierają najbardziej.*

*Przez wiele lat spędzaliśmy je razem, cieszyliśmy się każdą wolną chwilą. Pamiętam, jak wychodziliśmy po śniadaniu na spacer, aby razem poszukać śladów wiosny. Wracaliśmy do domu przemarznięci, ale szczęśliwi.*

*Zapewne w tym roku też wybiorę się na taki spacer, zajrzę w miejsca, w których bywaliśmy razem.*

*Odwiedzę również Twój grób, zapalę znicze, abyś mogła przy nich ogrzać swoje dłonie.*

*Wiele bym dał, abyś teraz była przy mnie, abym mógł cieszyć oczy Twoją obecnością. Tak bardzo mi Ciebie brakuje. Brakuje mi mojej Ani, Anulki... mojej cudownej przyjaciółki.*

*Kruszynko moja. Patrząc na Twoją fotografię, szepczę najpiękniejsze ze słów — kocham. Czytając Twoje wiersze, mam wrażenie, że jesteś obok mnie. Nie mogę uwierzyć, że już nigdy nie napiszesz nowych.*

*Zegnam Cię, Serduszko, wkrótce znowu napiszę.*

*Marcin*

Panie Karolu, zadał mi pan nie lada zagadkę, wypowiedziała bezwiednie słowa, które były przejawem jej bezradności. Co chciał mi pan wówczas powiedzieć na ich temat?

Ta myśl, podobnie jak cały tragizm opisywanej w listach sytuacji, wypełniały jej umysł przez resztę wieczoru. Nie mogła myśleć o niczym innym. Przeczytała z uwagą także pozostałe listy, szczegółowo je analizując. Usiłowała dociec, kiedy mogły zostać napisane. Sądząc po używanym w nich języku, papierze, doszła do wniosku, że nie mogły być stare.

Przez kilka następnych dni jej myśli krążyły wokół tajemniczych listów. Zawarta w nich historia dwojga boleśnie doświadczonych przez los ludzi poruszyła ją do głębi. Współczuła autorowi listów, który — mimo upływu czasu — nie mógł pogodzić się z utratą bliskiej mu osoby. Dałaby wiele za to, żeby poznać człowieka, który tak bardzo cierpi z powodu tragicznej miłości.

Na sobotę zaprosiła do siebie Agatę, aby podzielić się troskami, które od kilku dni zaprzętały jej umysł. Przyjaciółka wprost nie mogła się doczekać tego spotkania. Próbowwała wyciągnąć z niej coś przez telefon, ale Justyna była nieugięta.

Kiedy już usiadły w salonie, Agata dała upust swoim emocjom.

— Wiesz co, przyłożyłabym ci teraz, naprawdę! Wprost rozsadza mnie ciekawość, a ty niewzruszona niczym boha-

terka filmu *TM. jakie grzechy* odpowiadasz enigmatycznie: „Przyjedziesz, to się dowiesz”. Serca nie masz.

— Musiałam cię czymś zwabić do siebie. Inaczej mogłabyś nie przyjechać — obracała w żart jej słowa.

— Nie rób ze mnie takiej nieczulej egoistki. Jestem na każde twoje zawołanie — przekomarzała się, wiedząc, że za chwilę i tak cała prawda ujrzy światło dzienne.

— Słuchaj, znalazłam coś, co wkręciło mnie do tego stopnia, że od kilku dni nie mogę myśleć o niczym innym. — W tym momencie uniosła tajemniczą tekturową teczkę.

— Justyna, mówże szybciej, bo nie ręcę za siebie!

— W tej tezcze znajduje się siedem listów napisanych przez mężczyznę, który w jakichś dramatycznych okolicznościach stracił swoją ukochaną — zaczęła drżącym z przejęcia głosem. — Nie może się z tym pogodzić i pisze do niej wstrząsające listy. Opisuje w nich swój ból, tęsknotę, miłość, przeprosza za popełniane błędy, często bardzo prozaiczne. Wreszcie też błaga ją, aby dała mu jakiś znak swojego istnienia, aby ukazała mu się choćby we śnie.

Agata słuchała tego wszystkiego z zapartym tchem. Justyna raz po raz sięgała do listów i czytała niektóre fragmenty. Obie chwilami miały łzy w oczach.

— To bardzo smutna i dramatyczna historia — stwierdziła przyjaciółka. — Takich ludzi przecież nie ma. Jak on ja kochał! To wszystko wygląda tak nieprawdopodobnie.

— Mam podobne odczucia — przyznała Justyna. — Chciałabym poznać kogoś takiego.

— Ja też. Ach, te nasze marzenia — odpowiedziała z rozrzewnieniem, trzymając w dłoniach jeden z listów. — Słuchaj, a nie myślałaś o tym, aby spróbować go odnaleźć?

— Czy nie myślałam? Od wczoraj nie robię niczego innego — obruszyła się Justyna. — Przeanalizowałam niemal każde słowo w poszukiwaniu śladów, które pozwoliłyby zidentyfikować ich autora.

— I co? Do jakich doszłaś wniosków?

— Wydaje mi się, że opisywane w listach wydarzenia miały miejsce w niezbyt odległym czasie, że dotyczą kogoś, kto mieszka bądź mieszkał we Wrocławiu.

— A dlaczego sądzisz, że akurat tu?

— Wskazuje na to fakt, że swoje listy wrzucał do skrzynki pana Karola. Musiał o niej wiedzieć — dodała z przekonaniem. — Pisał je w porywie serca, ale nie miał do kogo wysłać. Przechowywanie ich w domu uznał zapewne za bezcelowe. Postanowił więc przekazywać je tam, gdzie przetrwają lata. Przypuszczam, że musiał albo mieszkać gdzieś w okolicy i wiedzieć o funkcjonowaniu tutejszej skrzynki, albo znał ten antykwariat z racji swoich zainteresowań.

— No, nieźle, Justyna. Masz instynkt — Agata nie kryła podziwu dla efektów jej dedukcji. — To jest wielce prawdopodobne.

— Nie wiem natomiast, na przestrzeni jakiego czasu listy pojawiały się w antykwariacie. Pan Karol nie zdążył mi tego powiedzieć. A to z kolei poszerza zakres ewentualnych poszukiwań.

— A więc zamierzasz go odnaleźć?

— Nie ukrywam, że chodzi mi to po głowie. Chciałabym zobaczyć człowieka, który potrafi tak kochać — westchnęła.

— Ja również — dodała rozmarzona Agata.

Długo jeszcze dyskutowały o tym, co zrobić, aby dotrzeć do prawdy. Układały najprzeróżniejsze scenariusze postępowania, żaden jednak nie był na tyle sensowny, aby — tak na serio — same się do niego przekonały. Ostatecznie zadeklarowały, że będą o tym intensywnie myślały. Postanowiły zaprząć do poszukiwań także Monikę.

Przez kilka następnych dni Justyna rozważała różne warianty. Uznała w końcu, że należy zacząć od znalezienia zmarłej o imieniu Anna. Przy czym, jej zdaniem, analizie należało poddać okres co najmniej pięciu lat. Gdyby to nie przyniosło rezultatu, konieczne będzie cofnięcie się do wcześniejszego okresu. Sukcesu można było oczekiwać jedynie w przypadku, gdyby kobieta była mieszkanką Wrocławia. Choć takiej pewności nie było. Gdyby nawet udało się sporządzić taką listę osób, to wskazanie tej właściwej graniczyło z cudem. Jak bowiem dokonać wyboru nazwiska, skoro listy nie zawierały żadnych

danych? Jednego można się domyślać, że jest nią zapewne osoba w wieku od dwudziestu ośmiu do z górą czterdziestu lat.

Kiedy powiedziała o tym wszystkim swoim przyjaciółkom, złapały się za głowy z przerażenia.

— Justyna, daj sobie z tym spokój. To jest wprost niemożliwe — pierwsza zaoponowała Agata. — To jak szukanie igły w stogu siana.

— Agata ma rację — stanęła po jej stronie Monika. — Ale widząc, jak bardzo ci na tym zależy, gotowa jestem coś dla ciebie zrobić. Miałam kiedyś koleżankę w urzędzie stanu cywilnego. Jeżeli jeszcze tam pracuje, to dotrę do niej. Być może ona mi coś podpowie.

— Mogłabyś? — ucieszyła się Justyna, choć miała świadomość, w co tak naprawdę wrabia koleżankę. — Będę ci ogromnie wdzięczna.

— Ja, niestety, nie mam takich znajomości, ale również jestem gotowa ci pomóc, tylko powiedz jak — deklarowała swoje wsparcie Agata.

— Dziękuję wam i z góry przepraszam za swoje szaleństwo. Mam jakieś przeczucie, że powinnam dotrzeć do prawdy. Szczególnie że — jak mi się wydaje — zależało na tym panu Karolowi.

Mijały kolejne dni. Justyna z ogromnym zaangażowaniem zgłębiała tajniki nowej profesji, mając nadzieję na rozkręcenie interesu. Zaczęła obserwować poważne



aukcje, w tym także internetowe. Analizowała rynek handlu książkami, zamierzając wkrótce włączyć się w jego tryby. Nowo uruchomiona witryna internetowa zaczęła wzbudzać zainteresowanie nie tylko wśród kolekcjonerów, ale i marszandów, ludzi zajmujących się obrotem dziełami sztuki w sposób profesjonalny. Pojawiły się pierwsze oferty, doszło nawet do kilku spektakularnych transakcji. Zaczynała się czuć na tym polu coraz pewniej.

Pewnego przedpołudnia, kiedy pochylona nad biurkiem oddawała się pracom biurowym, usłyszała dźwięk dzwonka, sygnalizujący wejście klienta. Uniósła głowę i spoglądając w kierunku drzwi, zobaczyła kogoś... jakby znajomego. W pierwszej chwili, zanim wzrok zdążył przyzwyczać się do panującego w tej części antykwariatu półmroku, nie mogła sobie przypomnieć, kim może być ów człowiek. Mężczyzna o znajomej sylwetce, w długim płaszczu i kapeluszu na głowie trzymał w ręku imponującą wiązaną kwiatów. Wyszła zza biurka, jak nakazywała grzeczność, aby przywitać klienta.

— Witaj, Justyno — usłyszała głos, który także wydał się znajomy.

Dopiero w tym momencie zrozumiała, kim był ów tajemniczy człowiek. Mężczyzna podszedł bliżej i zdejmując kapelusz z głowy, próbował wręczyć jej kwiaty.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał, patrząc przenikliwie w jej zaskoczone oczy.

— Tak, teraz poznaję. Skąd się tu wziąłeś? Jak mnie znalazłeś? — dopytywała z manifestowaną nutą niezadowolenia w głosie.

— To nie było wcale takie trudne. Ile to już lat? Osiem, dziewięć...

— Dla mnie cały wiek. Na tyle długo, żeby zapomnieć, jak wyglądasz. Co cię tu sprowadza? — pytając, przyjęła kwiaty niemal wciskane w jej ręce.

Jegomość okazał się byłym mężem Justyny. Nie widzieli się od czasu, kiedy niespodziewanie postawił żagle i odpłynął z jej życia z jakąś młódką. Odbyli kilka rozmów telefonicznych porządkujących ich bieżące sprawy, a później pojawił się jeszcze na procesie rozwodowym i ślad po nim zaginął. To był dla niej duży wstrząs. Trzeba było wielu miesięcy, aby poukładała sobie życie na nowo. Kiedy w końcu okrzepła, dziwiła się, jak mogła wytrzymać z takim lowelasem. Zawsze lubił panienki i tylko dzięki swojemu sprytowi udawało mu się okłamywać ją przez kilka lat wspólnego życia. Teraz ten znieawidzony człowiek stał przed nią uśmiechnięty, jakby nigdy nic.

— Zaniemówiłaś, kochanie. Nadal mnie nie poznajesz? — patrzył na nią tym swoim obleśnym wzrokiem.

— Już nie kochanie, jeśli można — obruszyła się. — A poznaję cię doskonale. Nazbyt dobrze wyryłeś w mojej pamięci swój wizerunek. — Zaczęły ponosić ją emocje. Kiedy to sobie uświadomiła, postanowiła nad tym zapanować.

— Dlaczego tak ostro? — nasrożył się. — Wpadłem, żeby zapytać, co u ciebie. Jak sobie ułożyłaś życie? Z tego, *co* słyszałem, dokonałaś czegoś wielkiego.

— Nie wiem, o czym mówisz. A tak w ogóle, to o co ci chodzi?

— Słyszałem, że odziedziczyłaś niezły majątek. Jesteś teraz wielką panią. Czy się mylę? — Z bezczelnym uśmiechem na twarzy rozglądał się po antykwariacie.

— Nie, nie mylisz się i nic ci do tego.

— Oczywiście, że nic mi do tego — nieco spokojnie. — Staram się tylko wyrazić swoje uznanie. Zawsze wiedziałem, że dojdiesz w życiu do czegoś niezwykłego. Tylko że wówczas nie przywiązywałem do tego takiej wagi. Byłem niedojrzały.

— Daruj sobie tę fałszywą skruchę, na nic ci się ona nie zda. Mam swoje życie, a ty swoje. I niech tak zostanie.

— Wiesz, nawet rozumiem twoje rozdrażnienie. Gotowy jestem przeprosić cię za swoje zachowanie, bo było rzeczywiście nie fair — wyszczerzył zęby. — Ale to było szmat czasu temu. Dzisiaj jesteśmy dojrzalsi, mądrzejsi. Może warto byłoby zakopać ten nieco już przerdzewiały topór wojenny?

— Niczego nie zamierzam zakopywać ani też nie zamierzam z tobą prowadzić żadnych wojen. Co było, to było, i nie wracajmy już do tego. Bardzo dziękuję za kwiaty, choć od dawna już nie oczekiwałam ich od ciebie. A teraz wybac, mam swoje obowiązki.

— Odprawiasz mnie? Tak po prostu? — nie potrafił ukryć zaskoczenia. — Dobrze, wpadnę może innym razem, kiedy będziesz w lepszym nastroju. — Zaczął zbierać się do wyjścia. Zanim opuścił sklep, powiedział od progu:

— Ja nie jestem twoim wrogiem. Przyszedłem tu z dobrymi intencjami. Szkoda, że tego nie doceniasz.

W Justynie wszystko się gotowało. Czuła, że za chwilę eksploduje. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że nagromadziło się w niej tyle złych emocji wobec tego człowieka. I teraz dawała temu upust.

Podekscytowana zadzwoniła do Agaty i opowiedziała jej o wszystkim. Przyjaciółka przyznała jej rację. Była również oburzona. Starła się uświadomić Justynie, że jego wizyta nie była przypadkowa. Teraz gdy dowiedział się o jej sytuacji materialnej, postanowił spróbować. Być może miał nadzieję na jakiś kąsek z tortu, który przypadł jej w udziale.

Długo nie mogła usnąć. W jej głowie szalały ponure myśli. Zastanawiała się, do czego może posunąć się człowiek powodowany chciwością. Wprawdzie nigdy wcześniej nie był agresywny, natomiast z pewnością był sprytnym intrygantem. Zresztą samo narzucanie się, kolejne natrętne wizyty, o które go podejrzewała, budziły niepokój. Pamiętała wszak jego słowa: „Wpadnę może innym razem, kiedy będziesz w lepszym nastroju”.

W nocy przyśnił się jej pan Karol. Siedział za swoim biurkiem, bardzo pogodny, i czytał listy. Owe tajemnicze

listy, które od jakiegoś czasu są głównym tematem jej rozmyślań. W pewnym momencie profesor wstał i krętymi schodami udał się na parter, do swojego mieszkania, w którym obecnie mieszka Justyna. Wszedł do sypialni i położył teczkę z listami na stole, przy którym zwykle siadywała wieczorami. Zanim wyszedł, położył na nich swoją bladą pomarszczoną dłoń. Trwał w tej pozycji przez chwilę, po czym... sen się rozplątał.

Kochany pan Karol — pomyślała zaraz po przebudzeniu. Daje mi do zrozumienia, że to jest coś ważnego. Zrobię wszystko, aby rozwiązać tę zagadkę. Choćby zajęło mi to lata.

W tym nieco karkołomnym postanowieniu utwierdziło ją teraz nie tylko emocjonalne przesłanie listów, ale także ów sen. Była przekonana, że skoro jej nieżyjący przyjaciel już dwa razy zwrócił na nie jej uwagę, są naprawdę ważne. Wierzyła w to głęboko. Szczególnie że od pewnego czasu zaczynała przyzwyczajać się do różnego rodzaju, można by je nazwać, irracjonalnych zdarzeń. Od kiedy zamieszkała w kamienicy, ma wrażenie, że dzieją się w niej dziwne rzeczy. Teraz gdy spędza tu praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę, słyszy różnego rodzaju odgłosy dochodzące z wyższych kondygnacji.

Pewnego wieczoru, kiedy położyła się już do łóżka, była pewna, że rozpoznaje dźwięki fortepianu płynące z góry. Miała wrażenia, że ktoś na nim gra, bardzo cicho i rzewnie. W pierwszej chwili przeraziła się, bała się Wyjść z łóżka, aby to sprawdzić. W końcu jednak poczuła

wewnętrzny spokój, a początkowy strach zmienił się w coś, co można by porównać z uczuciem zaciekawienia. Innym razem niemal słyszała plusk wody w łazience, jakby się ktoś kąpał w wannie przed pójściem do łóżka. Zdarzało się również, że w momencie kiedy nie mogła znaleźć rozwiązania jakiegoś problemu, w jej głowie pojawiała się podpowiedź. Nagle i niespodziewanie. Nigdy wcześniej nie miała z czymś takim do czynienia.

Zaczęła się do tego przyzwyczajać. Była coraz bardziej przekonana, że w tym domu mieszkają jego dawni lokatorzy. Ponieważ byli dla niej życzliwi, przestała się ich bać.

Kiedy słyszała coś, co do złudzenia przypominało skrzypiącą na piętrze podłogę czy ciche kroki na schodach, nie zwracała na to uwagi. Zaakceptowała to wszystko. Otoczenie, w którym się obracała, dom, jego wnętrze — to wszystko sprawiało, że ten zamknięty świat stał się dla niej bliższy od zewnętrznego. Rzeczywistość zza okien była coraz mniej atrakcyjna, przyjazna. Od pewnego czasu niechętnie wychodziła z domu. Nawet kiedy musiała pójść po zakupy, szybko wracała, uciekając od zgiełku dnia codziennego. Tu odnajdywała wewnętrzny spokój.

Przez dwa tygodnie eksmałzonek Justyny nie dawał żadnego znaku życia. Cieszyła się nadzieją, że odpuścił sobie i nie będzie jej więcej niepokoił. Zaczynała wierzyć, że jego wizyta to czysty przypadek, bez podtekstów. Zaczynała nawet odczuwać pewien niesmak, że potraktowała go zbyt obcesowo. Nikt nie lubi sytuacji, w których daje się ponieść emocjom, w efekcie posuwając się do niekontrolowanych zachowań. Czowała z tego powodu dyskomfort.

Wkrótce okazało się, że powinna była zaufać swojej intuicji, pierwszemu wrażeniu. W najmniej spodziewanym momencie, kiedy zajęta była śledzeniem aukcji internetowych, dzwonek nad drzwiami zaanonsował Przybycie niechcianego gościa. Już od progu przywitał ją swoim obleśnym uśmiechem, ukazującym pełny stan uzębienia.

— Witaj, Justyno, łacinie dziś wyglądasz. — Podszedł do kontuaru, niosąc, równie wielką jak poprzednio, wiązanek kwiatów. Justyna patrzyła na niego jak zamurowana. Nie mogła wydusić z siebie słowa. — Cóż to, znowu mnie nie poznajesz? — to miał być żart, który sam okraszył tłumionym chichotem.

Justyna ugryzła się w język. Postanowiła, że tym razem nie da się wyprowadzić z równowagi.

— Dlaczego miałabym cię nie poznać? Niedawno przypomniałeś mi o swoim istnieniu, choć przez kilka ostatnich lat omijałeś mnie z daleka.

— Cóż, masz rację. Tak się niestety złożyło. Ludzie czasami popełniają błędy — znowu uderzał w te same tony, silił się na skruchę. — W końcu przychodzi refleksja, szkoda tylko, że tak późno. Mówię szczerze.

— Nie wiem, co masz na myśli. Jeśli nas przypadkiem, to rzeczywiście za późno — starała się panować nad emocjami, choć przychodziło jej to coraz trudniej.

— Usiądę na chwilę, jeśli pozwolisz — rozpiął poły płaszcza i nie czekając na aprobatę, usiadł w fotelu.

— Ale tylko na chwilę, bo mam pilne zajęcia.

— Oczywiście, rozumiem. Kobieta pracująca. Powiedz przynajmniej, co u ciebie. Co robiłaś przez te wszystkie lata?

— Cóż, jeżeli cię to aż tak interesuje, to były to bardzo dobre lata. Miałam dobrą pracę, cieszyłam się szacunkiem i spełniałam się zawodowo. Teraz, jak już wiesz, jestem na swoim.



— Tak, wiem. Wiem o wszystkim. Kilka razy czytałem o tobie w prasie. Odnosiłaś sukcesy jako architekt. Ale życia osobistego sobie nie ułożyłaś.

— Wiesz co? Nic ci do tego.

— Hola, hola. Nie złość się. Nie miałem niczego złego na myśli. Myślałem tylko...

— Co myślałeś, że skoro sobie, jak twierdzisz, życia nie ułożyłam, to tylko czekam na okazję? A może wyobrażasz sobie, że to ty mógłbyś mnie uszczęśliwić?

— A dlaczego nie? Mnie również się życie rozsypało. Dlaczego nie moglibyśmy spróbować jeszcze raz? Przecież łączyło nas piękne uczucie.

— Dobrze powiedziałaś! Łączyło! Ale już nie łączy. Zbrukałeś to. A zresztą nie zamierzam z tobą o tym rozmawiać.

— Ja uważam, że warto rozmawiać, że być może nie wszystko jeszcze stracone. — Był tak pewny siebie, że w Justynie zapalił się lont dynamitu i tylko patrzeć, jak eksploduje.

— Nie, mój panie. Nie mamy o czym rozmawiać. Nigdy w życiu nie będziemy już razem. Nawet o tym nie marz. I na koniec o jedno cię proszę, nie przychodź tu więcej. Bądź wreszcie mężczyzną.

To ubodło go bardzo boleśnie. Justyna trafiła w sam środek resztek jego męskiej dumy. Wstał energicznie, w pośpiechu zapiął guziki i zanim skierował się do wyjścia, powiedział:

— Dobrze, jak sobie chcesz. W każdym razie próbowałem. Miałem naprawdę czyste intencje. Myślę, że kiedyś będziesz żałowała tej szansy. — Trzasnął drzwiami i wybiegł na ulicę.

Boże, oby to był ostatni raz, pomyślała. Żeby już nigdy więcej nie musiała oglądać tego człowieka. Jak on mógł! Skąd pomysł, żeby wrócić tu po tylu latach i jakby nigdy nic proponować... W głowie mi się to nie mieści. Jak mogłam związać się z takim człowiekiem? Miłość rzeczywiście bywa ślepa.

Niemal w tej samej chwili pomyślała o autorze tych cudownych listów, które pozostawił jej antykwariusz. O człowieku, który posiadał tak ogromny potencjał wrażliwości, że mógłby nim obdarować kilkunastu innych mężczyzn. W zderzeniu z tymi refleksjami jej były mąż jawił się jako cyniczny dupek. Tajemniczy Marcin wydawał się Justynie bohaterem jakiejś pięknej melodramatycznej powieści. Zadawała sobie pytanie: Czy rzeczywiście ktoś jeszcze potrafi tak kochać?

Starania Moniki związane z ustaleniem listy zmarłych kobiet o imieniu Anna trwały ponad miesiąc. Kiedy w końcu zadzwoniła z zaskakującą wiadomością, Justyna omal nie pękła z radości. Umówiły się na wieczór, aby porozmawiać o szczegółach.

— Przepraszam, że to trwało tak długo, ale sprawa nie była prosta — tłumaczyła się Monika. — Moja znajoma musiała to robić po godzinach pracy. Tylko wtedy

mogła sobie pozwolić na wertowanie tych wszystkich opasłych rejestrów. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile ludzi umiera każdego roku.

— Moniczko, nawet się nie tłumacz. Mam świadomość, co to była za robota. Ale i tak uporałyście się z tym bardzo szybko.

— Słuchaj, tu masz listę z nazwiskami wszystkich kobiet o imieniu Anna, które zmarły w okresie ostatnich pięciu lat. Tak jak prosiłaś.

— Ojej! Aż tyle! — wyrzuciła z siebie zaskoczona taką liczbą nazwisk.

— Tak. Ni mniej, ni więcej tylko sto czterdzieści siedem osób.

— O Boże, to jest ten przysłowiowy stóg siana — dodała zatroskana, trzymając palec na ustach. — Jak tu teraz? I czy w ogóle ona tu jest.

— Faktycznie masz duży problem — przyznała Monika. — Znacznie większy niż sporządzenie tego wykazu. Zastanawialiśmy się z moją znajomą, którą musiałam wtajemniczyć w nasze poszukiwania, i przyznam ci się, że ona również rozłożyła ręce — przerwała, zawiesiła głos, a po chwili spojrzała jej prosto w oczy. — Słuchaj, a może spróbowałabyś odszukać tego mężczyznę? Być może ten kierunek poszukiwań będzie łatwiejszy?

— Myślałam i o tym, ale w jego przypadku nie ma żadnego punktu zaczepienia. Znam tylko imię. Nic więcej. Ona przynajmniej została odnotowana w ewidencji osób zmarłych.

— No tak — przyznała rację. — Hm, trudna sprawa. Serdecznie ci współczuję, bo wiem jak bardzo chciałybyś dojść do prawdy.

— Tu może pomóc jedynie przypadek. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Tak, tylko przypadek — Justyna powtórzyła swoje słowa głęboko zamyślona, jakby miała coś konkretnego na myśli. Być może liczyła na pomoc ze strony pana Karola?

Następne dni i tygodnie upływały Justynie na codziennych obowiązkach związanych z prowadzeniem antykwariatu. Czuła się w tej profesji coraz pewniej. Choć, jak do tej pory, częściej coś sprzedawała niż kupowała. Poczyniła również kilka zakupów, z których — jak sądziła — byłby zadowolony jej nieżyjący mistrz.

Sprawa tajemniczych listów ciągle zaprzętała jej umysł, ale w żaden sposób nie posuwała się do przodu. Nie było dnia, aby nie myślała z sentymentem o ich bohaterach, a już szczególnie o autorze. Czuta w sobie dokuczliwą niemoc, która uniemożliwiała dojście do prawdy. Każdego dnia zaglądała do pojemnika z „podrzutkami” z nadzieją, że ujrzy w nim kolejny list. Niestety ich autor z sobie tylko znanych powodów albo zaprzestał pisania, albo wysyłał je teraz pod inny adres.

Wiosna zadomowiła się już we Wrocławiu na dobre. Było na tyle ciepło, że Justyna zaczęła znowu biegać. Wieczorami, po zamknięciu sklepu, wskakiwała w dres i ruszała truchtem wzdłuż Odry. Wprawdzie nie był to jej dawny szlak, który знаła z poprzedniego miejsca zamieszkania, jednak nowy był równie atrakcyjny, a miejscami może nawet bardziej. Dzień był coraz dłuższy, dzięki czemu miała więcej czasu na ulubiony jogging. Natomiast wieczorami siadywała w wygodnym fotelu i oddawała się lekturze książek, które czytała pasjami. To był jej drugi świat.

Jak dotąd jej były mąż się nie pokazał, co bardzo cieszyło Justynę. Miała nadzieję, że dał jej w końcu spokój. Sądząc po jego ostatniej reakcji, można było oczekiwać, że więcej się u niej nie pojawi.

Bardzo rzadko, zbyt rzadko spotykała się z Agatą, która pochłaniały teraz nowe obowiązki. Justyna doskonale ją

rozumiała, choć szalenie brakowało jej rozmów z przyjaciółką. Ona potrafiła być tak cudownie pogodna i *życzliwa*. Niejeden raz Justyna ładowała przy niej swoje życiowe akumulatory. Zresztą Agata również czerpała z tych spotkań wiele pozytywnej energii. Czasami też radziła się w sprawach zawodowych, a na tym polu Justyna była prawdziwą skarbnicą wiedzy.

Po jednym z takich zwykłych, codziennych, szarych dni Justyna położyła się do swojego wielkiego łóża z baldachimem. Przed uśnięciem zagłębiła się jeszcze w lekturę jednej z czytanych aktualnie książek, aby nieco zmęczyć oczy.

Tej nocy znowu miała sen, w którym pojawił się pan Karol. Jak poprzednio siedział w antykwariacie i pochylony nad biurkiem, analizował listę zmarłych kobiet, którą Justyna otrzymała dzięki Monice. Widziała, niczym na jawie, jak swoim kościstym palcem wiódł od góry do dołu, zatrzymując się przy niektórych nazwiskach na chwilę, jakby je analizował. W pewnym momencie wyprostował głowę, spojrzał przed siebie i lekko się uśmiechnął. Był wyraźnie zadowolony z lektury tego dokumentu. Można było sądzić, że znalazł interesującą go osobę. Po czym, wzorem poprzednich zdarzeń, rozpląnął się wraz ze snem. Po przebudzenia Justyna starała się zapamiętać wszystko, co śniła. Wiedziała, że każda następna chwila może zatrzeć w pamięci senne widzenia. Niestety, nie była już w stanie przypomnieć sobie ani nazwiska, ani

nawet strony, która sprawiła panu Karolowi taką radość. Położyła się w nadziei na ponowny sen. Niestety, emocje nie pozwalały jej usnąć drugi raz. Cieszyła się jednak myślą, że na tej liście znajduje się nazwisko, którego poszukuje. Tylko które?

Była godzina czwarta nad ranem. O spaniu nie było już mowy. Justyna wstała z łóżka i zajęła się analizą arkuszy z urzędu stanu cywilnego. Było na nich tyle nazwisk, że sama ich liczba zniechęcała do czytania. To między innymi dlatego nigdy dotąd nie zadała sobie trudu, aby przeanalizować je dokładnie. Teraz, zainspirowana snem, postanowiła przeczytać je bardzo uważnie, nazwisko po nazwisku.

Pierwsza strona nie przyniosła żadnych rezultatów, podobnie druga i trzecia. Żadne z nazwisk nie wzbudziło jej zainteresowania. Dopiero na czwartej stronie, mniej więcej w połowie arkusza trafiła na coś, co zwróciło jej uwagę. Choć w pierwszym momencie pominęła je, po chwili wróciła do niego ponownie. To było nazwisko dwuczłonowe i zapewne dlatego jej reakcja była spóźniona.

Justyna nie mogła sobie przypomnieć, skąd je zna. Anna Olech-Rambecka? Rambecki... To niemożliwe. Zapewne przypadek, zbieżność nazwisk, powiedziała cichutko, ledwo słyszalnie.

Zagłębiła się w myślach. Pośpiesznie przeanalizowała wszystkie możliwości. Przez jej głowę przeleciało tysiące

różnych zdarzeń, sytuacji, dat, których brakowało jej teraz najbardziej. One byłyby niezwykle pomocne. Wulkan kipiących myśli rozsadzał jej głowę.

Kiedy nieco ochłonęła, próbowała uporządkować myśli. Wróciła do lat młodości, do chwil spędzonych z Marcinem Rambeckim. Swojej pierwszej prawdziwej miłości, która — mimo smutnego zakończenia — do dzisiaj wywoływała w niej tyle pozytywnych wspomnień. Ale czy to rzeczywiście mogło chodzić o niego? — zastanawiała się z pewną ostrożnością. Podświadomie chciała, aby tak było, bała się jednak myśleć w ten sposób, żeby nie doznać zawodu. Wiele wskazywało na to, że to może być właśnie on. Choćby ta szczególna wrażliwość, jaka przebijała z listów, bardzo przypominała Marcina.

— Słuchajcie, teraz już nie możecie mi odmówić spotkania — zadzwoniła do Agaty i Moniki.

Przyjaciółki, usłyszawszy w czym rzecz, nawet się nie zastanawiały. Pojawiły się u niej po południu niczym na rytualnym sabacie, aby poznać kolejne karty baśni o miłości. W najśmielszych fantazjach nie przypuszczały, że w tę melodramatyczną historię może być wplątana ich przyjaciółka. To było dla nich takie piękne.

— Nie uwierzycie, kim może być Anna — zaczęła tajemniczo Justyna, patrząc na reakcję przyjaciółek. — Jest wielce prawdopodobne, że to jest nieżyjąca żona Marcina.



— Jakiego Marcina? — nie wytrzymała Monika.

— Nie żartuj! — dodała Agata. — Zona Marcina... twojego Marcina?

— Zaraz, zaraz. Dziewczyny, rozjaśnijcie mi umysł, bo nie nadążam

— niecierpliwiła się Monika, czując, że uciekają jej najważniejsze elementy tajemniczej układanki.

— Nie gorączkuj się — uspokajała ją Agata. — Marcin to pierwsza wielka miłość Justyny, jeszcze z ogólniaka.

— Marcin, był... dla mnie kimś szczególnym — powiedziała to bardziej do siebie niż przyjaciółek. — Niestety los nie był nam przychylny — dodała nieco głośniej. — Czyżby teraz znowu pojawił się na mojej drodze?

— To byłoby piękne, choć szkoda, że w takich okolicznościach — podjęła Agata. — Ale nie podniecaj się, bo może się okazać, że to jest ślepy trop.

— Opowiedz mi coś więcej o was — prosiła podekscytowana ich miłosną historią Monika. — Tych kilka zdań, i to, jak o nim mówisz, wywołuje we mnie przyjemne dreszcze.

— Ja też chętnie posłucham — podchwyciła Agata.

— Nie znam przecież wielu szczegółów.

— Jeszcze czego, żadnych szczegółów nie będzie. Jakie ciekawskie... Ale chętnie wam o nim opowiem, nawet gdyby to miał być tylko fałszywy trop.

Przyjaciółki z przejęciem słuchały opowieści o parze zakochanych w sobie nastolatków, o uczuciowych wzlotach i ostatecznym upadku ich związku. Były urzeczone jej historią, choć — kierując się zapewne solidarnością płci — nie kryły oburzenia wobec niewdzięcznika.

— Jak on mógł! — powiedziała z niesmakiem Monika. — Byliście taką uroczą parą.

— Tacy właśnie są mężczyźni — podchwyciła pesymistyczny wątek przyjaciółki Agata. — Kochają do czasu, aż się nimi nie znudzą.

— Macie rację. Coś w tym jest — przyznała Justyna.

— Może my jesteśmy zbyt naiwne, nazbyt romantyczne... Sama nie wiem. A może po prostu nie byliśmy sobie przeznaczeni?

— Nie mów tak — nie godziła się z taką tezą Agata. — To najczęściej pospolite łotry. O jedno im tylko chodzi.

— Poczekaj, Aguś. A jak rozumieć Marcina? Mnie porzucił, ale Anię kocha nawet po śmierci. I to jak!

— Hm. Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć

— przyznała bezradnie Agata, po czym dodała. — Wydaje mi się, że w tych sprawach potrzebna jest pewna dojrzałość, odpowiedzialność. Sama miłość, choćby była najżarliwsza, przegrywa w zderzeniu z szarą codziennością.

— Temat rzeka i każda z nas miałaby w tej sprawie własne zdanie — przerwała Monika. — Powiedz nam raczej, co zamierzasz.

— Cóż. Po pierwsze sprawdzę daty jej urodzenia i zgonu. Jeśli okaże się, że teoretycznie pasują do sytuacji, podejmę dalsze poszukiwania. Mam nadzieję znaleźć potrzebne mi informacje na cmentarzu. Wybiorę się tam jutro.

Wizyta na cmentarzu była bardzo owocna. Przy pomocy zarządcy nekropolii Justyna odnalazła mogiłę Anny. Miała bardzo ładny nagrobek, wykonany ze szlachetnego kamienia z gustownym mosiężnym krzyżem na płycie głównej. Daty urodzenia i zgonu pasowały do okoliczności, co ucieszyło ją niezmiernie. Po stanie kwiatów w wazonach można było wnioskować, że dawno nikt nie odwiedzał zmarłej. To z kolei nieco ją zaniepokoiło. Mogło świadczyć o tym, że Anna nie ma w pobliżu nikogo bliskiego.

Wróciła ponownie do biura komunalnego z prośbą o informację, kto zajmuje się tym grobem. Aby zdobyć tę wiedzę, musiała się uciec do pewnego fortelu. Podała się za kogoś z rodziny, kto dawno nie był w tych stronach i szuka kontaktu z bliskimi. W ten sposób dowiedziała się, ze stuprocentową pewnością, że mężem Anny był Marcin. Mało tego, otrzymała również jego adres, choć zdobyła go w sposób mniej już oficjalny. Kobieta, która prowadziła księgi, niska wychudzona niewiasta z orlim nosem, w nazbyt oczywistej formie przypomniła jej starą maksymę: „Jak się da, to się robi”. I Justyna dała, aby w ten sposób przybliżyć się do prawdy.

Była tym wszystkim bardzo podekscytowana. Na wizytę u Marcina nie była jeszcze gotowa. Odłożyła ją na lepszy moment, potrzebowała czasu, aby się tym wszystkim nacieszyć, przygotować. Zresztą bardzo się bała spotkania po latach. Nie wiedziała, jak Marcin ją przyjmie, jak zareaguje na jej nagłe pojawienie się.

Justyna siedziała w salonie i trzymając w ręku skrawek papieru z adresem Marcina, oddawała się wspomnieniom. Mimo zawodu, mimo krzywdy, jakiej przed laty doznała z jego strony, myślała o nim pozytywnie. Przywoływała w pamięci chwile, które razem spędzili. Byli kiedyś prawdziwą parą nierozłączek. Chodzili wszędzie razem, połączeni splecionymi do bólu palcami ich nastoletnich dłoni.

Zawsze kiedy wraca pamięcią do lat młodości, pojawiają się obrazy związane ze świętami Bożego Narodzenia. Te wspomnienia wryły się w jej pamięć najgłębiej.

Zapagnęła teraz zajrzeć do swoich pamiętników, gdzie znajdowało się wiele dowodów jej dziewczęcych fascynacji. Napisała kiedyś opowiadanie na temat świąt. Któż ich zresztą wówczas nie pisał?

To, które miała teraz przed sobą, nosiło tytuł *Zimowa opowieść* i oparte było na faktach. Opisała w nim swoich rodziców i dziadków, którzy mieszkali w małej wiosce pod Lubaniem, w Kościelniku. Świąteczna opowieść zaczyna się od tego, jak nastolatka, którą była ona sama, wraca z zakupami do domu:

*To był ostatni moment na kupno prezentów. Do świąt pozostało już tylko dwanaście dni.*

*—Jak ja się cieszę! Wprost uwielbiam Boże Narodzenie. To najpiękniejszy czas w roku. Nie mogę doczekać się, kiedy pojedziemy na wieś. Tam jest tak cudownie. Wprost nie wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy dziadków już zabraknie. Nawet nie chcę o tym myśleć.*

*Święta w mieście to nie to samo. Nie mają takiego uroku. Tam gdzie jeździmy, zawsze jest dużo śniegu. Wszędzie, jak okiem sięgnąć — białe.*

*Moi dziadkowie mają niewielką chatę pod lasem.*

*Dom i zabudowania gospodarcze znajdują się na niewielkim wzniesieniu, skąd rozpościera się widok na całą okolicę. Z drugiej strony wznosi się wzgórze porośnięte świerkami.*

*Nawet nie wyobrażacie sobie, co to za widok, kiedy gałęzie pokryte grubymi czapami śniegu zwisają dostojnie ku ziemi. Jakby kłaniały się świątecznym gościom.*

*Jesteśmy tam zwykle dwa, czasami trzy dni wcześniej, aby nacieszyć się tą atmosferą.*

*Rano zapewne pójdę z dziadkiem i moim ulubionym kudłaczem Azorem do lasu po choinkę. Uwielbiam przedzierać się przez gęstwinę w poszukiwaniu najokazalszej jodły.*

*To wbrew pozorom nie jest wcale takie łatwe. Trzeba pokonywać nie tylko strome wzniesienie, ale także głębokie zaspę.*

*Zwykle idę przodem i wyszukuję najzgrabniejsze drzewka.*

*— Dziadku, dziadku, zobacz, ta jest ładna! — wołam z emocjami. Po chwili słyszę:*

*— Justynko, czy ty oczu nie masz? Zobacz z drugiej strony. Brakuje jej przecież gałęzi — odpowiada zawiedzonym głosem dziadek.*

*I tak przez godzinę, a czasami nawet dłużej. W końcu wracamy do domu, ciągnąc za sobą najpiękniejsze drzewko.*

*Kiedy dziadek umieści je w stojaku i postawi w pokoju, wszędzie rozniesie się świeży zapach igliwia.*

*Ozdabianiem choinki zajmuje się zwykle moja mama. My natomiast znowu ruszamy w teren, idziemy na skutę lodem staw. Dziadek wyrąbuje przerębel i za pomocą niewielkiej sieci odławia karpie na wieczkę.*

*Tymczasem mama z babcią szaleją w kuchni. Czego tam nie ma! Gdzie nie spojrzeć, wszędzie misy, patery, talerze pełne przeróżnych składników, z których wyczarowują wigilijne pyszności.*

*— Justysiu, Justysiu, nie uciekaj, chodź no tutaj! — woła za mną babcia. — Stawaj do maszynki i kręć mak na kutię!*

*W ten sposób i ja zostaję wprzęgnięta w kierat przygotowań do najpiękniejszej w roku wieczerzy.*

*Tata przyjeżdża zwykle po południu, po pracy i w ten sposób cała ta przedświąteczna krzątania go omija.*

*— Mamusiu... — mówi do babci — po co tyle tego wszystkiego, kto to zje? To przecież tylko trzy dni.*

*Ale babcia wie swoje. Wigilia musi być okazją. Tego ją nauczyła mama.*

*Kiedy zaczyna zmierzchać, przebieramy się odświętnie i czekamy na pierwszą gwiazdkę. To odwieczny znak do rozpoczęcia wieczerzy. I w końcu zasiadamy wszyscy przy stole.*

*Dziadek podaje każdemu biały opłatek posmarowany miodem i składamy sobie życzenia.*

*To bardzo podniosły i radosny moment, choć bywa, że uronimy także łzę. Od kilku lat wspominamy wujka Roberta, którego nie ma już wśród nas. To z myślą o nim babcia stawia pusty talerzyk na stole.*



*Ale kolęda zwykle łagodzi ból wspomnień. Kiedy dziadek zaintonuje „Wśród nocnej ciszy”, robi się na sercu ciepło.*

*Zajadając się wigilijnymi przysmakami, których zawsze jest co najmniej dwanaście, rozmawiamy o swoich troskach i radościach.*

*O północy, jak co roku, idziemy z babcią na pasterkę. Nie zniechęca nas siarczasty mróz. Tam, w ich niewielkim kościółku, panuje niepowtarzalna atmosfera. Wszyscy z takim przejęciem śpiewają kolędy, że radość wprost serce rozpiera.*

*Po mszy zaglądamy do szopki, gdzie na sianku leży nowo narodzony Jezus, a przy nim czuwają Maria i Józef. Ach, jaki to piękny czas.*

*— No, ale dosyć tych marzeń, trzeba schować prezenty, zanim wrócą moi najbliżsi.*

Ot, takie dziewczęce pisanie. Ale bardzo podobało się ono wówczas Marcinowi, który po przeczytaniu tego opowiadania potraktował ją kuksańcem za to, że go w nim nie umieściła: „Wtedy miałbym szansę wejść na stałe do literatury” — żartował.

Następnego dnia postanowiła odwiedzić przyjaciółki w pracy. Jadąc, cieszyła się, że zrobi im niespodziankę. Choć tak naprawdę chciała jak najprędzej podzielić się swoimi odkryciami. A przy okazji postanowiła również przełamać swoje uprzedzenia do niektórych osób.

Kiedy pojawiła się w dawnej pracowni, przywitano ją brawami. Wszyscy szczerze ucieszyli się na jej widok. Nadal była tu mile widziana. Nikt już nie przejawiał wobec niej uczuć zazdrości, jakich doznała w ostatnich dniach swojej pracy. Podchodzili teraz do niej z gestami przyjaźni.

Kiedy zostały same, Justyna opowiedziała przyjaciółkom o swoich ustaleniach. Przyjęły je z podziwem i entuzjazmem.

— Na co ty czekasz? — pytała Monika. — Ja bym nie wytrzymała.

— A ja ciebie rozumiem — innego zdania była Agata. — Myślę, że ja również rozważałabym wszystko w spokoju, bez zbędnego pośpiechu.

— No właśnie. Wprawdzie ponoszą mnie emocje, ale czekam na jakiś impuls. Chcę mieć pewność, że niczego nie zepsuję. Boję się też... rozczarowania.

— Tego nie będziesz wiedziała, dopóki nie spróbujesz — trwała przy swoim Monika. — Kiedy się z nim zobaczysz, dowiesz się wszystkiego.

— To, że powinnaś się z nim spotkać, jest oczywiste — broniła swojego punktu widzenia Agata. — Choć wydaje mi się, że ja również odłożyłabym to na stosowny moment.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy Justyna starannie ubrana wybrała się z wizytą do Marcina. Była tak zdenerwowana, że nie mogła trafić kluczykiem do stacyjki

swojego samochodu. Targały nią różne wątpliwości. Zastanawiała się, jak też on teraz może wyglądać. Nie widzieli się przecież od liceum, a dokładnie od dnia, kiedy wyjechał na studia do Poznania. Przez kilka miesięcy pisywali do siebie płomienne listy, po czym zerwał z nią raz na zawsze. Od tamtego czasu nie widzieli się i nie mieli o sobie żadnych wiadomości. Dlatego ta wizyta tyle ją teraz kosztowała.

Kiedy dotarła na miejsce, siedziała w aucie jakiś czas, zanim zdecydowała się wysiąść. Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze szarej kamienicy. Klatka schodowa wyglądała nieco przyjaźniej niż fronton budynku, co dodawało jej otuchy. Szła po schodach bardzo powoli, jakby dawała sobie kilka dodatkowych chwil, zanim spotka się z Matcinem.

W końcu stanęła na chwiejnych z emocji nogach przed drzwiami. Poprawiła spadającą na oczy grzywkę i drżącą dłonią nacisnęła dzwonek. Czekala, niemal cały wiek, zanim usłyszała jakieś szmery dochodzące ze środka. Serce zaczęło jej walić niczym dzwon, a jego miarowy rytm czuła w skroniach. Zza wielkich, pomalowanych grubą warstwą brązowej farby drzwi usłyszała chrapliwy głos mężczyzny: „Kto tam?”. Justyna, nieco zaskoczona nieprzyjaznym tonem, po chwili odpowiedziała, że przyszła do Marcina Rambeckiego. Po drugiej stronie zapanowała głucha cisza. Dopiero po dłuższej pauzie stojący za drzwiami mężczyzna zaczął odryglowywać drzwi.

Kiedy je uchylił, Justyna zobaczyła niskiego jegomościa w niebieskim szlafroku i rogowych okularach na nosie, który bacznie się jej przyglądał.

— Pani do kogo? — ponowił pytanie, jakby nie dowierzał temu, co przed chwilą słyszał.

— Do pana Marcina Rambeckiego. Podano mi taki adres, mam nadzieję, że właściwy.

— A kto go pani dał? — dopytywał przezornie nieznajomy.

Justyna uprzejmie wyjaśniła, o co jej chodzi i w jakich okolicznościach otrzymała ten adres, trzymając się wersji, że jest dalszą krewną. Dopiero po tych wyjaśnieniach nieznajomy odpowiedział, że Marcin nie mieszka tu od ponad roku, a on kupił ten lokal za pośrednictwem agencji nieruchomości. Zapewnił przy tym, że nie zna jego aktualnego adresu. Może nawet i znał, ale był wyjątkowo nieuprzejmy. Widać było, że nie ma ochoty dłużej uczestniczyć w tej rozmowie, czemu dał wyraz, zamykając Justynie drzwi przed nosem. W ten sposób kolejny ślad prowadzący do Marcina urwał się nagle i niespodziewanie.

— Niech cię! — nadała się i odeszła z kwitkiem. Wsiadła do samochodu i postanowiła zrealizować

plan „B”. W tym celu musiała udać się do biura meldunkowego. Była niemal pewna, że tam zdobędzie potrzebne informacje. Tymczasem urzędniczka, okazując — zarówno słowem, jak i gestem — swoją bezradność, odebrała

jej kolejną nadzieję na odnalezienie Marcina. Dlaczego? Okazało się, że przy zmianie miejsca zamieszkania petent nie ma obowiązku podawania nowego adresu.

W ten sposób Justyna znowu znalazła się na rozdrożu i co najgorsze nie miała pomysłu, co ma robić dalej. Przecież nie dam ogłoszenia do prasy, wściekała się z bezradności. Była już tak blisko, a los splatał jej nowego figła.

Kolejny wieczór upłynął Justynie na rozmyślaniach, których głównym bohaterem był Marcin. Z nostalgią wspominała lata spędzone razem. Przeglądając ponownie listy, odnajdywała w nich cechy jego charakteru, które tak dobrze pamiętała. W wielu fragmentach rozpoznawała tego samego Marcina, który — jeśli już kogoś pokochał — to angażował się w to całym sobą. Żałowała, że nie zachowała ani jednej jego fotografii. Zniszczyła je wszystkie zaraz po otrzymaniu feralnego listu, który był ostatnim elementem ich znajomości.

W południe Justyna zadzwoniła do Agaty i opowiedziała jej o ślepej uliczce, w jakiej znowu utknęła. Była zrezygnowana.

— Nie wiem, co robić dalej, gdzie się teraz udać — zwierzała się ze swojej bezradności. — Popatrz, byłam już tak blisko, niemal czułam jego obecność. A tu masz...

— To rzeczywiście pech. Słuchaj... Wydaje mi się, że jego nowy adres powinni znać w biurze nieruchomości, w tym, które zajmowało się sprzedażą mieszkań.

— To wielce prawdopodobne, tylko jak ustalić, które to biuro? A na samą myśl, że musiałabym znowu jechać do tego dziwaka w niebieskim szlafroku, robi mi się niedobrze. Sądząc po tym, jak mnie wczoraj potraktował, nie mam pewności, czy w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać.

— Cholera, jak ci pomóc? — szczerze zatroskała się Agata. — Wiesz co, pogadam jeszcze z Moniką, może ona coś wymyśli.

— Dobrze, spróbuj. A tak w ogóle to przepraszam, że ci zawracam głowę swoimi sprawami. Myślę jednak, że mnie rozumiesz. Mam przecież tylko ciebie.

— Przestań, proszę. O czym ty mówisz? Nawet tak nie myśl. Od czego ma się przyjaciół?

— Wobec tego przestaję się rozczulać i czekam na wieści. Pozdrów Monikę. Pa.

Długo nie musiała czekać. Godzinę później odezwała się Monika z wyrzutami, dlaczego od razu do niej nie zadzwoniła.

— Justyna, masz u mnie grubą krechę. Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko! Dlaczego muszę dowiadywać się o twoich problemach z drugiej ręki? — Wybacz, ale ja naprawdę nie chciałam wam robić kłopotów. Poskarżyłam się jedynie Agacie, a ona...

— A ona... — przerwała jej wywód — *zapytała* mnie, co ja bym zrobiła na twoim miejscu. A ja odpowiedziałam jej, że to proste.

— Jak to? — weszła jej w słowo Justyna. — Jak to proste?

— No tak. Na biurze meldunkowym świat się nie kończy. Na szczęście są tacy, którzy wiedzą wszystko.

— O kim mówisz? — dopytywała niecierpliwie.

— O policji, moja droga! O stróżach prawa!

— No tak, nawet do głowy mi to nie przyszło — przyznała, choć z nutką zwątpienia. — W tym problem, że oni takich informacji nie udzielają, ot, tak sobie.

— Być może nie wszystkim, ale jeśli się kogoś zna... — Monika rzuciła triumfalnie.

— A ty znasz! Mogłabyś?

— Cudotwórczynią wprawdzie nie jestem, ale spróbuję. Daj mi kilka dni.

— To cudownie. Będę ci bardzo wdzięczna, Moniczko. Z góry dziękuję za trud, jakkolwiek będzie tego efekt.

Tydzień później Monika zaproponowała Justynie spotkanie. Miała dla niej jakieś informacje, o których nie chciała rozmawiać przez telefon. Była przy tym tak tajemnicza, że nawet z tonu głosu nie można było wywnioskować, czy udało jej się zdobyć potrzebne informacje.

— No, nareszcie jesteś — już u progu Justyna witała przyjaciółkę, na którą czekała z niecierpliwością.

— A już myślałam, że nie przyjedziesz.



— Przecież obiecałam, a ja jestem słowna. Chyba w to nie wątpisz?  
— przekomarzała się Monika.

— Skąd, oczywiście, że nie. Siadaj, proszę, i mówże wreszcie.

— Nie denerwuj się. Pozwól odsapnąć, zmęczyły mnie te twoje pałacowe schody. — Moniki nie opuszczał dobry humor, choć starała się nie okazywać tego na zewnątrz.

— Jakie znowu schody, o czym ty mówisz? — niecierpliwość zżerała resztki wrodzonego spokoju Justyny.

— Mówię, że muszę chwilę odsapnąć, zanim ci wszystko opowiem.

— Okay, rozumiem — ucichała i czekała z zaplecionymi na kolanach dłońmi.

— A więc tak... — zaczęła z udawanym namaszczeniem. — Poszukiwany mężczyzna o personaliach Marcin Rambecki został ostatecznie zlokalizowany. Jego aktualnym miejscem pobytu jest niewielka miejscowość Bożkowice, położona gdzieś pomiędzy Lubaniem a Leśną. Mężczyzna osiadł na odziedziczonym gospodarstwie rolnym, którym zawiaduje od trzynastu miesięcy. Mieszka sam, z nikim nie utrzymuje bliższych kontaktów. Całymi dniami ciężko pracuje, remontując zabudowania. Z ustaleń wynika, że zamierza poświęcić się hodowli koni. I co ty na to, moja droga? — zapytała po złożeniu tego, niemal służbowego sprawozdania z poszukiwań zaginionego. — Tu masz jego dokładny adres.

— To imponujące! Jak ty to zrobiłaś? — dopytała Justyna, z uznaniem przyglądając się kartce, na której znajdował się adres Marcina.

— Cóż, ma się te *kontakty*... — powiedziała niby od niechcienia. — Ale, mówiąc serio, zrobił to dla mnie mój stary przyjaciel.

— Ogromnie ci jestem za to wdzięczna. Powiedz, czy mogę ci się w jakiś sposób zrewanżować.

— Nie żartuj. Prawdziwą dla mnie nagrodą będzie wasze spotkanie. Wiem, ile to dla ciebie znaczy. — Monika wyciągnęła do niej rękę ponad stołem i uściśnęła serdecznie jej dłoń, pytając: — Kiedy zamierzasz wybrać się w tamte strony?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Muszę to wszystko dokładnie przemyśleć. Na razie mam jeden wielki mętlik w głowie — po tych słowach zadumała się. — A więc wyjechał na wieś. Tam zapewne szuka spokoju. Mówisz, że zamierza hodować konie?

— Tak ustalono.

— To by się zgadzało. Studiował weterynarię. Pamiętam, że zawsze lubił zwierzęta. A teraz wrócił do korzeni, na tereny, na których się wychowywał — głośno analizowała fakty, a Monika nie przerywała jej spontanicznych wynurzeń. Było jej miło, że jest tego świadkiem, że Justyna obdarowuje ją takim zaufaniem. Imponowała jej rola powiernicy. To najlepszy dowód na to, że traktuje ją jak prawdziwą przyjaciółkę.

— To są tereny, które ty także dobrze znasz, prawda?

— Tak. Mieszkałam kiedyś w Lubaniu, a do Bożkowie miałam nie więcej niż dwanaście kilometrów. Jeździłam tam często z przyjaciółmi na rowerach. Aaa, nie mówiłam ci, że tam znajduje się niewielkie jezioro z ośrodkiem wypoczynkowym. W wakacje spędzaliśmy tam sporo czasu. Wraz z przyjaciółmi pływaliśmy pod żaglami. Na wysokim zalesionym brzegu znajdują się przepiękne ruiny zamku Rajska z wieżą widokową. To naprawdę ładne miejsce. Wiele rodzin spędza tam swoje urlopy.

— Nigdy nie byłam w tym regionie.

— Po drugiej stronie jeziora stoi znany ci zapewne zamek Czocho. O nim to już chyba słyszałaś?

— Czy ja wiem? Coś mi to mówi...

— No jak to? Tam kręcona była słynna komedia *Gdzie jest generał* z Jerzym Turkiem w roli głównej. O tym musiałaś słyszeć.

— No tak, rzeczywiście. Przypominam sobie. Być może dzięki tobie zobaczę kiedyś to wszystko — dodała dwuznacznie.

— Nie wiem, co masz na myśli, ale jestem pewna, że możesz to wszystko kiedyś zobaczyć. Te miejsca nie znajdują się gdzieś na końcu świata. To tylko dwie, trzy godziny jazdy samochodem z Wrocławia.

— Może kiedyś... Któż to wie?

Rozbudzone wspomnienia towarzyszyły Justynie przez kilka kolejnych dni. W każdej wolnej chwili

umykała myślami w przeszłość, do lat dzieciństwa, okresu dorastania, beztrudnych wakacji i młodzięcych przygód. Zbierała się w sobie, budowała wewnętrzną śmiałość, która utwierdziłaby ją w przekonaniu, że jest już gotowa na spotkanie z Marcinem.

Początek czerwca był wyjątkowo ciepły, a momentami nawet upalny. Wyglądało tak, jakby pogoda starała się nadrobić zaległości po długiej i mroźnej zimie. Ulicami spacerowali lekko ubrani przechodnie, którzy zrzucili z siebie resztki ciepłych okryć. Dominowały krótkie spódniczki i kolorowe bawełniane bluzeczki, ożywiające szarość ulic.

W jeden z takich gorących dni Justyna postanowiła odwiedzić Marcina. Spakowała niezbędne rzeczy, wsiadała do samochodu i ruszyła w kierunku autostrady. Cieszyła się, że w końcu przełamała wszelkie opory, że znalazła w sobie dość siły, aby stanąć oko w oko z przeszłością. Po wielu latach wracała w rodzinne strony.

Podróż nie zajęła jej tak dużo czasu, jak początkowo zakładała. Nie przypuszczała, że dzięki nowej autostradzie dotrze do Lubania tak szybko. Na widok znajomej wieży kościelnej serce zabiło jej mocniej. Czowała, jakby po długiej nieobecności wracała do domu.

Zatrzymała się w rynku, który w niczym nie przypominał tamtego zaniedbanego placu z lat jej wczesnej młodości. W miejscu, gdzie dawniej znajdowały się resztki

starych murów z wieżą pośrodku, stała teraz imponująca budowla, składająca się z kilkunastu stylowych kamieniczek. Plac wokół nich wybrukowano niczym wrocławski rynek. Tylko renesansowy ratusz przetrwał w niezmienionej formie. Obok niego znajdował się kolejny plac, utwardzony kolorową kostką, z tą samą — niestety — brzydką fontanną. Chwilę później jej oczom ukazała się majestatyczna wieża Bracka, która od wieków górowała nad miastem. Wzdłuż prowadzącej do niej ulicy powstały równie piękne jak w rynku stylizowane kamieniczki. Jak tu teraz ładnie, pomyślała z podziwem.

Pojechała również na Kamienną Górę, gdzie znajdował się jej rodzinny domek. Teraz zamieszkiwali go jacyś obcy ludzie. Patrząc z perspektywy chodnika na zadbaną posesję, czuła wzruszenie. Ileż wspomnień wiązało się z tym miejscem... Z rozrzewnieniem spoglądała w okno na poddaszu, gdzie niegdyś znajdował się jej pokój. Przez moment miała ochotę wejść do środka, zobaczyć wnętrza, które tak wiele dla niej znaczyły. Nie znalazła jednak w sobie tyle odwagi. Bała się siły wspomnień.

Jadąc do Bożkowie przez Kościelniki, zboczyła nieco z głównej drogi, aby zobaczyć dom, w którym niegdyś mieszkali jej dziadkowie. I znowu odżyły wspomnienia. Tu wśród zielonych łąk i lasów nad brzegiem Kwisy spędziła najszcześniejsze lata swojego dzieciństwa. Oczyma wyobraźni widziała zamarznięte stawy, ośnieżone pagórki, koloryt budzącej się wiosny, skwar lata, czas żniw,

jesienne wykopki. Słyszała gwar rozbawionych dzieciaków biegających z patykiem za starą rowerową rawką.

Była tym wszystkim wzruszona. Wkrótce czekały ją kolejne, jeszcze silniejsze emocje. Jadąc w kierunku Bożkowie, mijała stary kościółek, do którego często chodziła. Obok niego na wzgórzu znajdował się cmentarz, gdzie pochowano jej dziadków. Postanowiła zatrzymać się tu w drodze powrotnej.

Krętą drogą, wijącą się wśród lipowego szpaleru, a następnie przez kolejną osadę dotarła do celu podróży.

Zatrzymała się przed zabudowaniami, które — sądząc po numeracji — miały należeć do Marcina. Zobaczyła duży piętrowy dom z czerwonej cegły, otoczony ogrodzeniem z kutej stali. Po jego drugiej stronie znajdowało się duże podwórze i zabudowania gospodarcze, zapewne dawna obora i stodoła. Posesja wyglądała na zadbaną. Przed budynkiem rosły krzewy ozdobne i drzewa głównie iglaste, natomiast za zabudowaniami znajdował się sad. Całość położona była na niewielkim wzniesieniu, skąd można było dostrzec połyskujące w słońcu błękitne lustro wody w jeziorze.

Justyna oglądała to wszystko przez uchyloną szybę samochodu. Zbierała się na odwagę. Potrzebowała czasu na oswojenie się z nową rzeczywistością. Była podekscytowana niczym nastolatka przed pierwszą randką. Zastanawiała się, co powiedzieć, kiedy w końcu stanie przed Marcinem. Jak mu wyjaśni cel swojej wizyty?

Kiedy tak pogrążona w myślach szukała właściwych słów, usłyszała jakieś odgłosy dochodzące z posesji. A więc ktoś jest w domu — pomyślała. Pod wpływem impulsu wysiadła z samochodu i podeszła do bramy. Zatrzymała się, kiedy dostrzegła mężczyznę schodzącego po drabinie z dachu stodoły. Początkowo nie rozpoznała w nim Marcina. Ale to był on. Serce waliło jej jak oszalałe. Z przejęcia nie mogła oddychać. Odruchowo przykucnęła, kryjąc się za ogrodzeniem, aby jeszcze przez jakiś czas pozostać niezauważona.

Marcin, mimo upływu lat, zachował sportową sylwetkę i sprężyste ruchy. Wydawał jej się trochę wyższy niż dawniej. Musiał mieć nieco ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Jego dawne blond włosy, w tym ulubiona, spadająca na czoło grzywka nabrały srebrzystego odcienia. Ubrany w obcisłe dżinsy i czerwoną koszulę wyglądał ekscytująco. Krzątał się wokół stosu dachówek, które zamierzał wykorzystać przy naprawie dachu.

Justyna, skryta za ogrodzeniem, tkwiłaby tam zapewne jeszcze jakiś czas, gdyby nie bernardyn, który zwiertzył intruza i ostrzegawczym szczekaniem zdradził jej obecność. Teraz nie miała już wyjścia. Wyprostowała się i podeszła do metalowej furtki. Marcin natychmiast zainteresował się ujadaniem czworonożnego stróża. Kiedy przy uchylonej furtce ujrzał kobietę, skarcił psa i nie ruszając się z miejsca, patrzył na niespodziewanego

gościa. Początkowo jej nie rozpoznawał. Justyna stała jak zamurowana i czekała na rozwój sytuacji.

— Pani do mnie? — zapytał bez entuzjazmu. — Mogę w czymś pomóc?

— Ja do pana Rambeckiego — odpowiedziała drżącym z wrażenia głosem. — Do pana Marcina Rambeckiego — powtórzyła dla dodania sobie otuchy.

— To ja, o co chodzi? — dopytywał, nie ruszając się z miejsca. Nie był towarzyski. Swoim zachowaniem wręcz dawał do zrozumienia, że nie ma ani czasu, ani ochoty na rozmowę.

— Jeżeli ujarzmi pan swojego psa, to spróbuję wszystko wyjaśnić. — Była zdenerwowana. Przez moment nawet żałowała, że tu w ogóle przyjechała. Marcin nie zrobił na niej najlepszego wrażenia.

— A, rozumiem. On nie jest groźny. Proszę się nie obawiać — zdecydowanym poleceniem wezwał Brutusa do posłuszeństwa, a sam wolnym krokiem ruszył w kierunku furtki.

Justyna uczyniła podobnie, bacznie obserwując jego zachowanie. Miała nad nim pewną przewagę. Wiedziała, z kim ma do czynienia, natomiast on nie wiedział, kim jest niezapowiedziany gość.

Po kilku krokach wyraźnie zwolnił, a następnie zatrzymał się. Było widać, że walczy z myślami, że odnajduje w nich stare ramy, w które teraz dałoby się wpasować wizerunek stojącej przed nim kobiety. Nietrudno było



dostrzec moment, w którym już wiedział, kiedy był pewien, kto wszedł na jego posesję. Nadal jednak trwał w bezruchu, jakby szukał właściwszej formy na wyrażenie swojego zaskoczenia. W końcu zapytał ledwie słyszalnym głosem:

— Justyna?

— Tak, to ja — odpowiedziała równie cicho. — Nie gniewasz się, że przyjechałam?

— Justyna! To naprawdę ty? — ruszył ku niej zdecydowanym krokiem. Ona uczyniła podobnie.

Kiedy spotkali się w połowie dzielącej ich odległości, padli sobie w ramionami niczym najlepsi przyjaciele, których nigdy nic nie dzieliło. Przez chwilę trwali w milczeniu, po czym oddalili się od siebie na długość swoich rąk, aby z niedowierzaniem spojrzeć sobie w oczy.

— Justyna... — pierwszy odezwał się Marcin. — Ile to lat minęło?

— Sporo — odpowiedziała z trudem. Nie potrafiła opanować wzruszenia. Teraz ze szklistymi od łez oczami wyglądała jeszcze piękniej.

— Justyna, jak tu trafiłaś? — Marcin albo nie dostrzegał jej wzruszenia, albo wolał tego nie zauważać. — Co za przypadek sprawił, że się tu znalazłaś?

— To nie jest przypadek — głos drżał jej nadal, a może nawet jeszcze bardziej niż przedtem. — Przyjechałam, aby się z tobą zobaczyć... porozmawiać. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe?

— O czym ty mówisz? Bardzo się cieszę, że przyjechałaś — zapewniał ją szczerze. — Ale nie stójmy tak. Wejdź proszę. Jesteś na pewno zmęczona podróżą.

— Nie jest tak źle, przyjechałam tylko z Wrocławia.

— Specjalnie dla mnie? — zdawał się nie dowierzać.

— W zasadzie tak. Ale odwiedziłam również swoje zakątki, w których dorastałam — próbowała stonować wymowę swojej wizyty.

— A, rozumiem. To taka sentymentalna eskapada. Ale jak trafiłaś na mnie? Na ten adres?

— To długa historia, na którą musisz mieć więcej czasu, no i ochotę, aby jej wysłuchać. — Wyraźnie opuszczało ją dotychczasowe napięcie.

— Czasu mi nie brakuje, tego możesz być pewna. No i zaczyna mnie zżerać ciekawość. Pozwól jednak, że najpierw przygotuję coś do picia, a ty usiądź tu i chwilę poczekaj — gestem ręki wskazał na stolik znajdujący się pod rozłożystą jabłonią, gdzie mogła się skryć przed żarem słońca.

Siedząc w cieniu drzewa, rozglądała się po okolicy pełnej zieleni, kwiatów na łąkach, zagajników. To wyjątkowo urokliwe miejsce na urlop i wypoczynek.

Po chwili zjawił się Marcin, niosąc tacę z napojami i ciastkami. Justyna obserwowała go z podziwem. Radził sobie w roli gospodarza znakomicie. Zdążył nawet przebrać się w inne spodnie i koszulę.

— No i tak tu sobie żyję — gestem głowy wskazał na otoczenie. — Nie jest jeszcze tak, jakbym chciał, ale na

to trzeba czasu. Mieszkam tu zaledwie od roku. Gdzie nie spojrzeć, wszystko wymaga remontu.

— Ale radzisz sobie, jak widzę, znakomicie. W wielu miejscach dostrzegam twoją ingerencję. Rok to rzeczywiście niewiele i trudno oczekiwać cudów. Co do miejsca... jest wyjątkowe.

— Tak, tu jest rzeczywiście pięknie — wyraźnie się rozmarzył. — A będzie jak w bajce. Może kiedyś uda mi się pokazać ci efekt moich prac. Zamierzam zająć się końmi, chcę stworzyć niewielką stadninę z myślą o turystach.

— To świetny pomysł — Justyna postanowiła nie przyznawać się do tego, że zna jego niektóre plany. Nie czuła się z tym najlepiej, więc odłożyła te wyjaśnienia na inny czas. — Okolica jest wyjątkowa, teren sprzyjający turystyce konnej, te łąki, lasy, ta przestrzeń... Słowem, pomysł znakomity. Powiedz mi, czy stoją jeszcze ruiny zamku? To było kiedyś cudowne miejsce. Organizowaliśmy tam sobie ogniska.

— Ciągłe stoją, ale jak długo jeszcze — nie wiem. Nikt się nimi nie opiekuje. Z roku na rok popadają w ruinę. Rozgrabiono już resztki kamiennej sztukaterii. Żal na to wszystko patrzeć.

— Szkoda, wielka szkoda. Kiedyś czytałam, że ktoś to kupił. Ucieszyłam się, że w końcu znalazł się gospodarz.

— Dokładnie tego nie wiem, ale wydaje mi się, że to jest nadal w rękach prywatnych. Niestety, to przypadkowy

właściciel, który nie wykazuje nabytkiem większego zainteresowania. Jeżeli będziesz miała ochotę, to możemy wybrać się tam na spacer.

— To dobry pomysł. Możemy przecież porozmawiać, idąc — ucieszyła się z tego pomysłu.

Podczas spaceru Justyna opowiedziała Marcinowi całą historię, która przywiodła ją do niego, o panu Karolu, spadku, listach, poszukiwaniach...

Słuchał tego wszystkiego w skupieniu. Ani razu jej nie przerwał, o nic nie dopytywał, niczego nie komentował. Katem oka widziała jego twarz pogrążoną w smutku, słyszała ciche westchnienia. Miała wrażenie, że chwilami jego myśli zajęte były czymś innym, jakby jej nie słuchał. Na koniec zapytała niepewnie:

— Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły. Przyjechałam tu bez uprzedzenia. Chcę, żebyś wiedział, że wtargnęłam do twojego świata z kilku względów. Po pierwsze winna to byłam mojemu przyjacielowi — antykwariuszowi. To on skierował mnie na ślad twoich listów i chciał, abym się nimi zainteresowała. Po drugie treść tych listów mocno mnie poruszyła. Zapragnęłam poznać człowieka, który potrafi tak kochać. I wreszcie po trzecie, znając już ich autora, nie mogłam oprzeć się pragnieniu spotkania z tobą. Wierzę, że mi to wybaczysz.

Milczał. Szedł obok niej ze spuszczoną głową, patrząc uparcie pod nogi. Justyna dałaby wiele, aby móc poznać jego myśli. Wprawdzie bała się ich, ale czuła też

swego rodzaju ulgę. Wreszcie powiedziała mu całą prawdę i była gotowa przyjąć z jego strony każdą reakcję. Nawet gdyby była dla niej przykra. Miał do tego prawo, bo to ona wkroczyła w jego prywatność.

— Nie mam ci czego wybaczać — powiedział nadal zadumany. — Nie zrobiłaś nic złego. Absolutnie. Moje listy... Cóż, pisałem je, bo czułem taką potrzebę. Nie zastanawiałem się, czy ktoś je będzie czytał. Należało przypuszczać, że tak. Przekazywałem je do antykwariatu z pewnym rozmysłem, ponieważ tylko tam mogły nas przetrwać. Czas pokaże, czy to był dobry pomysł. A więc nie przepraszaaj. Cieszymy się tym spotkaniem — dodał na koniec, uśmiechając się zaledwie kącikiem ust.

W drodze powrotnej Justyna opowiedziała mu o sobie, o małżeńskich niepowodzeniach, pracy, awansach, pasjach i antykwariacie. Marcin z podziwem kwitował jej osiągnięcia. Nie rozumiał tylko, dlaczego dotąd nie ułożyła sobie życia. Wyznał niespodziewanie, że nadal jest piękną i ze wszech miar atrakcyjną kobietą.

— Dziękuję za miłe słowa — odpowiedziała nieco zażenowana. — Jestem sama z wyboru, nie dlatego, że nie potrafiłam sobie kogoś znaleźć. Gdybym miała szczerze powiedzieć, jaki jest tego powód, chyba bym nie potrafiła.

Rozmowa pochłaniała ich tak dalece, że nawet nie zauważyli, kiedy wrócili do domu. Marcin zaproponował obiad, który sam zamierzał przygotować. Justyna

przyjęła zaproszenie, deklarując pomoc. Chwilę później uwijali się w przestronnej wiejskiej kuchni, dzieląc się obowiązkami. Na obiad miało być spaghetti w sosie pomidorowym z mięsem drobiowym, pieczarkami i parmezanem, zapiekane w piekarniku. Wszystko według własnego przepisu Marcina, który dyrygował pracami niczym wytrawny szef kuchni.

Przygotowując składniki, rozmawiali na tematy ogólne, skrupulatnie omijając czas ich młodzieńczej znajomości. Najwyraźniej ten temat był dla nich za trudny. Jakby to była niezagojona rana. Podobnie zresztą nie rozmawiali o jego życiu i Annie.

Justyna miała świadomość delikatności tego tematu i nie zamierzała naciskać. Miała nadzieję, że przyjdzie taki czas, kiedy będą mogli porozmawiać i o tym.

Obiad zjedli w sadzie, pod jabłonią, przy wtórze rozśpiewanego ptactwa i brzęczących owadów. Zdążyła się też zaprzyjaźnić z Brutusem, który okazał się, na przekór swojemu wyglądowi, niezwykle miłym pieszczochem. Przez cały czas warował przy nowo poznanej pani, patrząc jej w oczy. Robił to na tyle skutecznie, że co pewien czas otrzymywał jakiś kęs z pańskiego stołu.

Zbliżał się czas powrotu. Justyna zamierzała jeszcze odwiedzić groby dziadków, a w Lubaniu także rodziców. Pożegnanie było równie czułe jak przywitanie.

— Jedź ostrożnie — prosił Marcin.

— Dziękuję za troskę, będę rozważna.

— Wpadniesz jeszcze kiedyś? — zapytał niby od niechcienia.

— Myślisz, że powinnam? — odpowiedziała pytaniem i z nadzieją na potwierdzenie. — Masz tu tyle pracy — dodała niejako dla usprawiedliwienia.

— Co tam praca. Czasu mam dosyć. Nikt mnie przecież nie pogania. W każdym razie zapraszam.

— Dobrze. Może kiedyś — odpaliła samochód i machając przez uchyloną szybę, pomknęła wąskim asfaltowym traktem w dół.

Jak było? Opowiadaj! — nalegała niecierpliwa Monika. — Jak cię przyjął? Był zaskoczony twoim przyjazdem?

— Nie wiem, od czego zacząć — usprawiedliwiła swoją powściągliwość Justyna. — Na początku mnie nie poznawał. Ale po chwili widziałam, jak zmienia się jego twarz, jak zaczyna sobie przypominać. W końcu przywitaliśmy się bardzo czule.

— Jakie to cudowne — wyrwało się Agacie.

— Ale powiedz, jaki on teraz jest — naciskała Monika.

— Hm, jak to powiedzieć? W sumie fajny. Przyznam, że teraz podoba mi się nawet bardziej niż dawniej. Jest taki dojrzały, rozważny, odpowiedzialny. W spojrzeniu wyczuwa się męską rzetelność. Lekko szpakowate włosy podkreślają jego życiową stateczność. Jest przy tym bardzo stonowany, mówi łagodnym głosem, bez emocji.



A ta sylwetka... Boże... — wzniosła w zachwycie oczy  
— mógłby pozować starożytnym mistrzom dłuta.  
— Hej, hej, co ja słyszę? — podjęła Agata. — Naszą Justynę ustrzelił w końcu Amorek.  
— Sądząc po tym, jak go opisuje, wcale się nie dziwię  
— stanęła w jej obronie Monika. — Ten wizerunek doskonale pasuje do mojego wyobrażenia o facecie, który napisał te cudowne listy. Słowem, zazdroszczę ci.  
— Nie masz czego. Przecież to jest, tak naprawdę, obcy mi człowiek. No, może dobry znajomy.  
— Rzeczywiście tak myślisz? — nie dowierzała Agata. — Nie zamierzasz kontynuować odnowionej znajomości?  
— Czy ja wiem... Nie mam pojęcia, jak się to rozwinie. Nie umawialiśmy się na nic. Chociaż przy pożegnaniu rzucił coś w rodzaju: „Zobaczymy się kiedyś?”. Ale czy to była tylko kurtuazja, czy krył się w tym jakiś podtekst, tego nie wiem.  
— A ty byś chciała? — dopytywała Monika.  
— Chyba tak — odpowiedziała, zamyślając się, po czym dodała: — A raczej na pewno. Ale jak będzie, czas pokaże.  
Od wizyty u Marcina minęło kilka dni. Justyna z sumiennością poświęcała się pracy w antykwariacie. Sprzedawała, kupowała, doradzała niezdecydowanym klientom, porządkowała księgozbiór z większym entuzjazmem niż dotychczas. Towarzyszył jej dobry nastrój i miłe wspomnienia po niedawnej wizycie.

Myślała o Marcinie z rosnącą sympatią. Wyobrażała sobie, co robi, jak jest ubrany i czy znowu przyrządza na obiad ulubioną zapiekankę z makaronem. Była ciekawa, jak ją wspomina, co o niej myśli. Nie liczyła na wiele. Miała świadomość dramatu, jaki przeżył. Znała stan jego uczuć wobec Anny wyrażony w listach. Wprawdzie podczas spotkania starał się tego nie okazywać, jednak chwilami wyczuwała skrywane napięcie, dostrzegała jego zamyślenie. Podziwiała go za to i szanowała, choć czuła w sercu delikatne ukłucia.

Po tych kilku dniach od spotkania z Marcinem Justyna oczekiwała na jakiś sygnał z jego strony. Ale telefon milczał jak zaklęty. Żałowała, że nie zaprosiła go do siebie. Jednak moment pożegnania był tak emocjonalny, że nawet o tym nie pomyślała. Postanowiła, że poczeka jeszcze dwa dni i ewentualnie sama się odezwie.

Zadzwoiła trzeciego dnia. Zebrała się w sobie i na przekór zasadom, nie bacząc, co sobie o niej pomyśli, wykręciła numer.

— Witam cię, Justyno... — usłyszała radosny głos Marcina, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. — Nie uwierzysz, ale schodząc z dachu, pomyślałem o tym samym. Zadzwoiłaś w momencie, kiedy sięgałem po telefon.

— Tak? To miłe. Z tego, co mówisz, mniemam, że nadal ciężko pracujesz.

— Staram się wykorzystać pogodę. Chcę dokończyć remont dachu — wyjaśniał swoje zapracowanie, a być może także usprawiedliwiał się, że przez kilka dni nie dawał znaku życia. — A co u ciebie?

— Dziękuję, wszystko jakoś się układa. Moja praca, w przeciwieństwie do twojej, nie zależy od pogody, a więc nie muszę niczego robić w pośpiechu. Natomiast nie ukrywam, że zazdroszczę ci tej ciszy, spokoju, no i słońca. W mieście jest zupełnie inaczej — dodała z nostalgią.

— Wiesz, nawet cię rozumiem. Pamiętam jeszcze ten harmider, swąd spalin, tłumy przechodniów. Ale... — przerwał nagle, jakby rozważał jakiś pomysł. — Słuchaj, a co stoi na przeszkodzie, żebyś uciekła od tego wszystkiego na trochę? — Wyraźnie się podniecił tym, co zamierzał zaproponować. — Wskakuj do swojego garbuska, drogę już znasz i...

— Czy mam rozumieć, że zapraszasz mnie do siebie?

— A dlaczego nie? Możesz zapakować więcej rzeczy niż poprzednio i zatrzymać się u mnie na kilka dni. — W chwili kiedy wypowiedział te słowa, sam był nimi zaskoczony. Nie mógł uwierzyć, że zaprosił Justynę do siebie, i to na dłużej. — Odpoczniesz trochę, oderwiesz się od codzienności — próbował łagodzić wymowę tego spontanicznego zaproszenia, jakby obawiał się, czy nie zagalopował się za daleko i co sobie pomyśli Justyna.

— Zaskoczyłeś mnie. Mówisz serio?

- Jak najbardziej. No chyba że masz jakieś pilne zajęcia.
- W zasadzie nie... A może ty byś przyjechał teraz do mnie? Można by powiedzieć z rewizytą.
- Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz — zniżył głos, jakby powód tej odmowy miał jakiś głębszy podtekst. Po czym dodał. — A zresztą — jak wiesz — mam tu huk roboty.
- No właśnie. Będę ci tylko przeszkadzała.
- Zapewniam cię, że nie będziesz. Wręcz przeciwnie, może nawet mi pomożesz. Widziałem, jak znakomicie radzisz sobie w kuchni — zaśmiał się. — Ale to oczywiście żart. Nie bierz tego na serio.
- No dobrze, sam tego chciałeś — zgodziła się z wyraźnym zadowoleniem. — Nie ukrywam, że przyda mi się krótki wypoczynek.
- No widzisz. To kiedy wpadniesz? Najlepiej jutro. Prognoza pogody na najbliższe dni jest obiecująca. Będziesz mogła do woli zażywać słonecznych kąpieli. I jeszcze jedno, jeśli możesz, weź spodnie. Koniecznie.
- Ooo, to ciekawe. Zdradzisz mi, po co?
- Zobaczysz, jak przyjedziesz — nie zamierzał ujawniać powodów swojej sugestii.

Następnego dnia w południe Justyna wyruszyła w kolejną sentymentalną podróż. Cieszyła się z tego wyjazdu. Miała nadzieję, że w końcu będzie mogła spokojnie porozmawiać z Marcinem o wszystkim, co ją nurtuje. Miała do niego tyle pytań, które przez lata pozostawały bez odpowiedzi. Początkowo, po ich ponownym spotkaniu, towarzyszyło jej wyłącznie współczucie. Ubolewała z powodu jego traumatycznych przeżyć. Teraz jednak chciałyby poznać fakty związane z ich rozstaniem. Całą niemal drogę układała scenariusz rozmowy, która wyjaśni w końcu wszystkie niejasności.

Na miejsce dotarła w porze podwieczorku, kiedy słońce z wolna chyliło się ku zachodowi. Gospodarz wykazał się zaskakującą czujnością. Kiedy samochód zbliżył się do jego posiadłości, skrzydła bramy uchylły się i Justyna mogła swobodnie wjechać na dziedziniec.

— Witam miłego gościa. Jak podróż? — zapytał kurtuazyjnie, widząc przez uchylone okno samochodu uśmiechniętą twarz Justyny.

— Dziękuję, dobrze. Na autostradzie nie było większego ruchu, a więc jechało mi się całkiem spokojnie — wysiadła z samochodu, podając mu dłoń na przywitanie.

— To świetnie. Pomogę ci z bagażem i pokażę pokój. Rozpakujesz się, a ja w tym czasie coś przygotuję. Obiadu, rozumiem, nie jadłaś?

— Wiesz co... Obiadu rzeczywiście nie jadłam, ale jakoś nie mam ochoty na nic takiego. Natomiast z przyjemnością się czegoś napiję. Gorąco dzisiaj jak w piekle, a do tego mój garbusek nie ma klimatyzacji, więc sam rozumiesz.

— Jasne. Ale żałuj, bo zrobiłem przepyszną sałatę. Zastanów się jeszcze. Tymczasem zapraszam na górę.

Justyna ulokowała się w przytulnym pokoiku z dwoma niewielkimi oknami wychodzącymi na jezioro. Wnętrze umeblowane było skromnie, ale gustownie. Znajdowała się tam duża dwudrzwiowa szafa, okrągły stół z trzema krzesłami, stare łóżko z tradycyjnym materacem, obok którego stała nocna szafka z niewielką lampą. Wyposażenie tego pokoiku musiało pochodzić z okresu międzywojennego i zapewne służyło jeszcze dawnym właścicielom gospodarstwa. Wszystko razem tworzyło niepowtarzalny nastrój, który potęgował okazały bukiet polnych kwiatów. Zapewne Marcin zebrał je na pobliskiej łące, dosłownie

przed chwilą. Były bardzo świeże. W całym pokoju roznosił się subtelny zapach jej ulubionych chabrów. A więc pamięta, że zawsze je lubiłam, pomyślała z zadowoleniem.

— Dziękuję za przemiłe lokum — powiedziała, podchodząc do stołu w sady pod jabłonią, przy którym krzątał się gospodarz.

— Cieszę się, bo miałem obawy, czy nie będzie za skromne.

— Nie miałeś powodów, bo pokój jest naprawdę bardzo przytulny. A te kwiaty... Tak dawno nie widziałam chabrów.

Racząc się domowym kompotem z wiśni i ciastem drożdżowym z rabarbarem, rozmawiali na luźne tematy, które nie dotyczyły ich życia osobistego. Marcin wypytywał ją o samochód, z jakiego jest roczniaka, jak długo nim jeździ, czy nie nastrocza zbyt wielu kłopotów. Justyna natomiast interesowała się postępem prac remontowych, planami na przyszłość. Było miło, ale nieco sztywnie. Nie potrafili przełamać tej dziwnej, niewidocznej bariery, która tkwiła pomiędzy nimi. Oboje mieli tego świadomość, ale byli całkowicie bezradni.

Marcin zaproponował krótki spacer, na co Justyna przystała z ochotą. Idąc o pół kroku przed nią, wytyczał kierunek, w jakim zamierzał ją poprowadzić. Przechadzka nie trwała zbyt długo. Nieopodal sadu znajdowało się niewielkie pastwisko, ogrodzone drewnianym płotem,

na którym pasły się dwa piękne konie. Czteroletni kasztanowy arab i nieco młodsza klacz rasy małopolskiej. Skubały trawę, nie zwracając na nich uwagi.

— Czy ty przypadkiem nie chcesz mi powiedzieć, że to są twoje koniki? — zapytała z zachwytem.

— Tak, właśnie to chciałem ci powiedzieć — odpowiedział dumnie.  
— To jest moja pierwsza inwestycja w przyszłą stadninę. Podobają ci się?

— Jeszcze pytasz? Są wspaniałe — ponosiły ją emocje.

— Teraz zapewne domyślasz się, dlaczego prosiłem, żebyś zabrała spodnie.

— Nie sądzisz chyba, że ja dosiędę któregoś z tych wierzchowców!

— A dlaczego nie? To są bardzo spokojne, dobrze ułożone zwierzęta.

— To cudownie, że pomyślałeś o mnie, tylko że ja już chyba nie potrafię. Nie siedziałam na koniu od czasów studenckich.

— Jazda na koniu to jak jazda na rowerze. Tego się nie zapomina — zapewniał Marcin. — Wystarczy, że zrobisz kilka kółek w zagrodzie i pojedziemy na krótką przejażdżkę.

— Tak sądzisz? Wydaje mi się, że mnie przeceniasz — podtrzymywała swoje obawy.

Marcin nie dał jednak za wygraną. Przekonał ją w końcu, aby poszła się przebrać, a sam w tym czasie zajął się siodłaniem klaczy.



Po kilkunastu minutach zobaczył zbliżającą się do zagrody Justynę. Jej wygląd zrobił na nimi takie wrażenie, że wypuścił z rąk cugle. Wyglądała imponująco w błękitnych, dopasowanych do ciała jeansach, które podkreślały jej zmysłową sylwetkę. Do tego miała na sobie szafirową koszulę z podwyższoną talią, która uwydatniała jej kształtne piersi. Szła w jego kierunku, kołysząc biodrami niczym modelka na wybiegu, a długie krucze włosy, zaczesane gładko i upięte w koński ogon, muskały ramiona. Marcin nie mógł oderwać od niej wzroku. Sądząc po wyrazie twarzy, można było pomyśleć, że widzi ją po raz pierwszy. Kiedy to sobie uświadomił, wzdrygnął się zmieszany i rozejrzał za upuszczonymi lejcami.

Chwilę później urocza, aczkolwiek przestraszona amazonka ruszyła z miejsca. Pierwsze kółka wyglądały nieporadnie, ale po pół godzinie, stosując się do poleceń Marcina, trzymała się w siodle pewnie i elegancko.

— No i co? Mówiłem, że to wcale nie jest taka wielka sztuka — upewniał ją w przekonaniu, że radzi sobie znakomicie.

— Skoro mam tak wspaniałego nauczyciela, nie może być inaczej — zrewanżowała się komplementem.

— Wydaje mi się, że teraz już mogę osiodłać ogiera i wybierzemy się na otwartą przestrzeń. Co ty na to?

— Czy ja wiem? Naprawdę myślisz, że dam sobie radę? — Jestem przekonany, że tak. Inaczej przecież nie narażałbym cię na niebezpieczeństwo.

Jechali obok siebie pełną drogą. Justyna była bardzo spięta i z trudem przychodziło jej prowadzenie luźnej rozmowy. Jazda pochłaniała ją całkowicie, w przeciwieństwie do Marcina, który czuł się w siodle jak ryba w wodzie. Opowiadał jej o swoich pierwszych doświadczeniach z końmi, które miały swój początek na praktykach studenckich. Odbywał je, jako przyszły weterynarz, w dużej stadninie zajmującej się hodowlą rasowych koni.

Z każdą chwilą Justyna oswajała się z sytuacją, z naturalnymi odruchami klaczy, która co pewien czas gwałtownymi ruchami głowy broniła się przed natrętnymi owadami. Podobnie jak to czyniła swoim długim, wyczesanym przez gospodarza, ogonem.

Dużo przyjemniejsza i spokojniejsza okazała się jazda po terenie leśnym, gdzie panował kojący chłód. Wijący się pomiędzy mieszaniną drzew liściastych i iglastych trakt był na tyle wąski, że Marcin musiał jechać przodem, a Justyna podążała za nim. Dzięki temu mogła bez skrępowania obserwować jego zgrabną sylwetkę, swobodne ruchy, wprost idealnie zintegrowane z ruchami konia. W lewej ręce trzymał wodze, a prawa zwisała swobodnie wzdłuż ciała. Wyglądał niczym klasyczny kowboj gotowy w każdej chwili sięgnąć po kolta. W ten sposób dotarli do niewielkiego potoku, który przecinał leśny dukt. Musieli pokonać go w bród. Marcinowi nie sprawiło to najmniejszych problemów, natomiast klacz Justyny zatrzymała się tuż przed lustrem wody.

— Nie bój się. Nic wam nie grozi — zapewniał Marcin. — Ruszaj śmiało.

— Dobrze ci mówić. Ona też się boi.

— Koń wyczuwa twój strach. Bądź bardziej zdecydowana. Tu jest bardzo płytko.

Justyna przełamała w końcu lęk i zrobiła, jak kazał. Lekkiemi uderzeniami stóp w podbrzusze konia ruszyła z miejsca i wjechała do wody. Klacz była nieco zdenerwowana, ale czując zdecydowanie ściągnięte cugle, wolnymi krokami pokonała bród.

— No brawo! — pochwalił jej odwagę. — To był twój chrzest, teraz już poradzisz sobie z innymi przeszkodami.

Po dwóch godzinach konnej eskapady wrócili do zagrody. Justyna była wyraźnie zmęczona. Ledwie zsiadła z konia. Przez chwilę nie mogła zrobić nawet pół kroku. Marcin zapewnił ją, że to normalny objaw u kogoś, kto dawno nie siedział w siodle. Poprosił, aby poszła do domu i odpoczęła, a sam zajął się rozkulbaczaniem koni.

Zbliżał się wieczór. Słońce osnute resztkami rozproszonych chmur chyliło się ku zachodowi, kryjąc się za pobliskim wzniesieniem. Jego krwawy blask, skąpany w połyskującej tafli jeziora, sprawił, że cała okolica nabrała karminowej poświaty. Siedzieli na tarasie, zachwycając się tym niezwykłym widokiem.

— To cudowne. Zawsze wydawało mi się, że zachód słońca może być piękny jedynie nad morzem — Justyna dzieliła się swoim spostrzeżeniem. — A tu urok tego

zjawiska jest nawet podwójny. Z jednej strony ta płonąca tarcza, z drugiej jej żywe, mieniące się tysiącami refleksów odbicie w wodzie. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam.

— Widok jest rzeczywiście niepowtarzalny i nie zdarza się tu często. Jestem przekonany, że to jest na twoje przywitanie — uśmiechnął się z wiarą w swoje słowa. — Ale to także zwiastun dobrej pogody na jutro — dodał po chwili.

— Tak? To świetnie. Wobec tego jutro będę się opalać, maksymalnie. Moje blade przyjaciółki pękną z zazdrości.

— Jeśli pozwolisz, to teraz podam sałatę, która — niestety — nie będzie już tak świeża, jak w południe.

— Nie martw się, jestem tak głodna, że nie będę kaprysić. Mam poczucie, że zjadłabym teraz wszystko, co masz w domu — żartowała, ujawniając swój dobry nastrój.

Po chwili na stole stanęła wielka szklana misa, pełna apetycznego jadła, a nieco później dodatki i cała reszta nakrycia. Sałata wyglądała kusząco i dlatego Justyna nie czekając na specjalne zaproszenie, nałożyła sobie słuszną porcję ku wyraźnemu zadowoleniu gospodarza.

— A więc życzę smacznego i proszę o wybaczenie, że sałata — wprawdzie stała w lodówce — nie jest już tak chrupiąca jak powinna — usprawiedliwił się.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziała, przełykając pierwszy kęs. — Jest smaczna. To także twój autorski przepis?

— Nie tak do końca... Choć w dużej mierze jest improwizowany wedle moich upodobań. Bardzo często wykorzystuję te składniki, które akurat mam pod ręką. Oczywiście muszą do siebie pasować. Lubię eksperymentować, aż w końcu trafiam na właściwy smak. — Marcin również nałożył sobie okazałą porcję sałaty i przyłączył się do kolacji.

— Tym razem chyba ci się udało. Bardzo mi smakuje i nie mówię tego kurtuazyjnie.

W skład zachwalanego przez Justynę dania wchodziły: mieszana sałata, grillowany boczek i pieczarki, gotowane jajka, czerwona fasola, ogórek, pomidor i czerwona cebula oraz sos winegret. Sądząc po dokładkach, rzeczywiście musiało jej smakować.

Po kolacji Justyna pomogła w porządkach, po czym znowu usiedli na tarasie. Marcin przyniósł butelkę wina, zapalił kilka świec i włączył nastrojową muzykę.

Wieczór był piękny. Mimo że słońce skryło się już za horyzontem, nadal było bardzo ciepło. Wokół panowała niemal idealna cisza, tylko z pobliskich łąk dochodziły dźwięki wieczornego koncertu w wykonaniu polnych świerszczy.

Marcin i Justyna siedzieli na tarasie w blasku migocących świec, *racząc* się francuskim winem. Było niby przyjemnie, niemniej w powietrzu wisiało coś, co rzutowało na ich wzajemne relacje. Pojawiały się chwile, kiedy Justyna nie wiedziała, co powiedzieć. Innym razem to on zatapiał się w myślach. Nie potrafili przełamać tych barier.

W końcu Justyna postanowiła wziąć inicjatywę w swoje ręce, do czego zresztą przygotowywała się od kilku dni.

— Marcin, los tak chciał, że spotkaliśmy się po wielu latach — zaczęła wolno, ważąc słowa. — Każde z nas ma za sobą bagaż własnych doświadczeń, lepszych lub gorszych. Łączy nas jednak coś, czego nie da się wymazać z pamięci — zawiesiła głos. — Wybacz, ale muszę wrócić do przeszłości. Do naszej przeszłości. — Marcin słuchał z uwagą, patrząc w bliżej nieokreśloną

przestrzeń. — Byliśmy razem... Łączyło nas prawdziwe, najprawdziwsze, jak sądzę, uczucie. Było tak silne, że nawet nie dopuszczałam do siebie myśli, że moglibyśmy nie być razem... — głos zaczął jej się łamać. — A ty... odwzajemniałeś mi się tym samym. Byłeś jedynym, kochanym i kochającym mnie mężczyzną. Mam w pamięci żywy obraz naszego pożegnania na lubańskim dworcu. Pamiętam każde twoje słowo: „Nie płacz, skowronku. Nie wybieram się na kraniec świata. Będę przyjeżdżał przy każdej nadarzającej się okazji, będę pisał i... kochał”. — Przełknęła kamień, który stanął jej w gardle. Marcin milczał, delektując się smakiem czerwonego wina. — Co się stało? Co się takiego wydarzyło, że twoja miłość zgasła?

Dalej nie była już w stanie powiedzieć ani słowa. Zapanowała cisza, która krzyczała w jej sercu bólem tamtej, kochającej szczerze i bezgranicznie, porzuconej nastolatki.

— Cokolwiek teraz powiem, będzie banalne — przerwał przedłużającą się pauzę w ich rozmowie. — Rozumiem twój żal, ból i mam świadomość brzmienia tych słów. Nie ma dobrych usprawiedliwień, kiedy ktoś zadaje komuś cierpienie. Wszystko, co powiedziałem wówczas na peronie, było prawdziwe. Wierzyłem w każde słowo, podobnie jak ty. Po przyjeździe do Poznania nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Tak bardzo mi ciebie brakowało, że rozważałem nawet powrót.

Tęsknota zniewalała mnie zupełnie. Jedynym ratunkiem były nasze listy. Z nich czerpałem siłę, szczególnie w tych pierwszych tygodniach naszej rozłąki — wziął kolejny łyk wina, dla odwagi. Wiedział, że będzie w końcu musiał wyznać jej całą prawdę.

— To były najpiękniejsze listy, jakie kiedykolwiek otrzymałam — teraz Justyna przerwała milczenie. — Czułam w nich twoją tęsknotę, dlatego jak najszybciej odpisywałam. Zresztą robiłam to także po to, aby otrzymać od ciebie równie szybką odpowiedź. I tak przez kilka miesięcy. Później pisywałeś już coraz rzadziej...

— Justyna, tak trudno mi do tego wracać.

— Mam świadomość, że wolałbyś nie mówić o czymś, co nie jest przyjemne. Zrozum mnie, proszę. Nie chcę używać wielkich słów, ale chciałabym wiedzieć, nawet teraz — po latach — dlaczego...

— Dobrze — szepnął pokornie, po czym nieco już głośniejszym głosem rozpoczął swoją opowieść:

— Annę zobaczyłem po raz pierwszy w klubie studenckim, gdzieś w okolicach świąt Bożego Narodzenia. Była maturzystką. Występowała na wieczorze literackim jako młoda poetka, grająca na gitarze i śpiewająca swoje własne utwory. Nie był to jej recital, występowała w gronie innych artystów. Jej twórczość zrobiła na mnie duże wrażenie. Pisała piękne wiersze, teksty piosenek, a do nich również muzykę. Miała przy tym oryginalny głos, przypominający do złudzenia Joan Baez. Ujęła mnie tym



do tego stopnia, że po koncercie postanowiłem podzielić się z nią swoimi wrażeniami. Nie miałem wówczas niczego złego na myśli. Ot, taka spontaniczna reakcja na artystyczne piękno. — Justyna słuchała jego słów w milczeniu. Wpatrywała się w migocący płomień świecy, jakby w nim kreśliła wizerunek swojej konkurentki. — Ania okazała się bardzo skromną, nieco nawet zagubioną, niepewną siebie nastolatką. Jej pozasceniczny wizerunek zupełnie nie pasował do tego, jaki prezentowała na scenie. Siedząc w blasku świateł, wyglądała na dojrzałą, pewną siebie artystkę. Przy tym ubierała się niezwykle oryginalnie. Nosiła długie do kostek spódnice, lubiła przyduże bluzki w kwiatki. Swoje długie falujące włosy sięgające ramion przepasywała chustką. Wyglądała bardzo malowniczo — w jego słowach dawało się wyczuć ciągle żywą fascynację, którą pielęgnuje w sercu jak najdroższy relikw. — Po tym pierwszym spotkaniu zaprosiła mnie na swój kolejny występ, a później na następny... Początkowo nie było w tym żadnych podtekstów. Z czasem, nawet nie wiem kiedy, fascynacja artystyczna przerodziła się w przyjaźń, aż w końcu pojawiło się głębsze uczucie — zamilkł, zamyślił się, po czym dodał z wyraźnym zamiarem zakończenia swoich zwierzeń. — Opowiedziałem ci wszystko szczerze, tak jak było. Mam pełną świadomość, że bardzo cię wówczas skrzywdziłem, i żadne gesty, słowa nie są w stanie tego zmienić.

Justyną targały najprzeróżniejsze uczucia. Czuła się zraniona. Jak wówczas. Miała ochotę wyrzucić z siebie całą obudzoną złość, ówczesną bezradność i żal, który teraz czuła tak namacalnie. Kiedy jednak spojrzała na Marcina, zapatrzonego w bezkresną ciemność, którego twarz wyrażała ból i tęsknotę, opanowała się. Uświadomiła sobie, że on również cierpi, że swoimi pytaniami przywołała jego wspomnienia o ukochanej.

— Co było dalej? — tym pytaniem przerwała przedłużające się milczenie. Mimo wewnętrznych rozterek, chciała poznać całą prawdę. Być może taka sposobność nie nadarzy się więcej.

Marcin opowiedział jej o całym swoim późniejszym życiu. O tym, jak ukończył studia, o ślubie z Anną, pierwszej pracy. O tym, jak szczęśliwi, pełni życia wyjechali z Poznania, aby osiąść w niewielkim miasteczku, gdzie Marcin dostał pracę. Wiele uwagi poświęcił Annie, z podziwu godną precyzją rysując jej osobowość. Z fascynacją opowiadał o jej szlachetnych cechach charakteru, o wrażliwości i gorącej miłości, jaka łączyła ich przez kilka wspólnie przeżytych lat. Dotarł w końcu do tego, co najboleśniej, choć przez pewien czas starał się oddalać ten temat. Z widocznym trudem opowiedział o dniu, kiedy Anna dowiedziała się o białaczkę. To z tego powodu przeprowadzili się do Wrocławia. Chcieli być bliżej najlepszych specjalistów w tej dziedzinie. Mówił o heroicznej walce z nowotworem, o wielkim cierpieniu,

jakiego doświadczała. W końcu o tym, jak podstępna choroba pokonała Annę. Nie powiedział natomiast ani jednego słowa o swoim bólu, cierpieniu i tęsknocie za ukochaną. Nie skarżył się na okrutny los, który doświadczył go tak boleśnie.

Justyna długo nie mogła zasnąć. Nie potrafiła poskromić myśli, które zatrwały jej umysł. W jej głowie kłębiły się własne przeżycia przemieszane z cierpieniami, jakich doznał Marcin. W jednej chwili czuła do niego głęboki żal, w innej na powrót pojawiała się szczere współczucie. Usnęła dopiero po północy, by rano przebudzić się w podłym nastroju. Była przygnębiona. Nie miała ochoty wychodzić z łóżka. Jedynie słoneczny poranek dodawał jej otuchy.

Marcin wstał nieco wcześniej i zdążył już przygotować śniadanie, które czekało na tarasie.

— Cześć — rzuciła na przywitanie. — Dlaczego mnie nie obudziłeś? Pomogłabym ci przy śniadaniu.

— Witaj. Nie było takiej potrzeby. Chciałem, abyś wypoczęła, w końcu po to tu przyjechałaś. No właśnie, jak spałaś w nowym miejscu?

— Kiedy już zasnęłam, spałam dobrze — odpowiedziała wymijająco. — I nic mi się nie śniło, jeśli chciałbyś o to zapytać.

Porannej rozmowie, podobnie jak i dalszym relacjom towarzyszyła nutka rozdrażnienia. Można było odnieść wrażenie, że każde z nich pielęgnuje w sobie jakąś jątrzącą się zadrę. Oboje mieli tego świadomość, dlatego chętnie

przystali na to, że każde z nich zajmie się czym innym. Justyna wybrała się z leżakiem za stodołę, a Marcin zajął się pracami gospodarskimi.

Po dwóch godzinach przyszedł do niej, aby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje i czy na obiad może być pieczyste z grilla. Justyna zaakceptowała propozycję, zapewniając go, że całe wieki nie jadła tak przyrządzanego mięsa. Zadeklarowała nawet pomoc, ale gospodarz wolał zająć się tym osobiście. W ten sposób oboje nadal mogli oddawać się rozmyślaniom.

Do obiadu zasiedli tradycyjnie pod jabłonią, gdzie można było znaleźć odrobinę przyjemnego cienia.

— Ładnie się podpaliłaś — zauważył Marcin. — Uważaj tylko, żebyś nie przedobrzyła.

Kilka godzin spędzonych na słońcu sprawiło, że skóra Justyny zaczynała zmieniać barwę. To, że miała naturalnie ciemną karnację, spowodowało, że jej ciało nabrało wyraźnie oliwkowej tonacji.

— To już widać? — dopytywała z niedowierzaniem, oglądając z zachwytem swoje ramiona. — Dziewczyny pękają z zazdrości.

— Jak się dzisiaj czujesz? Myślę o mięśniach.

— Rano ci nie mówiłam, ale strasznie bołą mnie nogi. Ledwie wstałam z łóżka.

— A jednak. Ale nie martw się, to naturalne. Zawsze tak jest, kiedy po dłuższym bezruchu zaaplikujesz sobie większy wysiłek. Przygotuj się na to, że jutro będzie jeszcze gorzej.

Obiad był wyśmienity. Marcin po raz kolejny odkrywał przed Justyną swoje umiejętności kulinarne. Natomiast atmosfera stawała się coraz cięższa. Wprawdzie nie było jakichś wyraźnych oznak wzajemnej niechęci, jednak można było wyczuć coś w rodzaju skrywanych pretensji. Justyna zamykała się w myślach, choć bardzo tego nie chciała, podobnie jak Marcin.

Po południu oznajmiła, że zamierza wracać do domu, twierdząc, że musi zająć się sprawami biznesowymi. Marcin próbował ją zatrzymać, ale czynił to bardziej z grzeczności niż przekonania.

Podziękowała za gościnę, ucałowała go na pożegnanie w policzek i ruszyła w drogę powrotną.

Całą trasę rozmyślała na ich temat. Zastanawiała się, dlaczego tak się stało, dlaczego nie potrafili znaleźć wspólnego języka. Była niemal pewna, że z chwilą, kiedy wyjaśni sobie wszystko, będzie szansa na zbliżenie się do siebie. Tymczasem rzeczywistość okazała się zgoła odmienna. Swoimi wspomnieniami wykopali pomiędzy sobą rów, który jeszcze bardziej oddzielił ich od siebie. Justyna nadal myślała o nim bardzo ciepło, mimo to nie potrafiła pozbyć się drzazgi, która raniła jej serce.

Z kolei Marcin nie był w stanie ukryć nękających go problemów po stracie ukochanej. Świadczyły o tym choćby jej zdjęcia znajdujące się w całym domu. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie stały fotografie Anny.

Marcin miał rację, mówiąc, że następnego dnia mięśnie będą dokuczały Justynie jeszcze bardziej. Chcąc wstać ze swojego łóżka z baldachimem, aż jęknęła z bólu. Utykając, powlokła się do łazienki. Z trudem weszła do wanny, aby oddać się relaksacyjnej kąpieli. Miała nadzieję, że gorąca woda ulży jej w cierpieniu. Przynajmniej fizycznym. Nadal bowiem męczyła się wewnątrz. Czuła głęboki zawód, a nawet coś na wzór ponownego odrzucenia. Miała do siebie żal, że tak łatwo dała się zwieść nadzieją na ich wspólną przyszłość.

Były takie momenty, kiedy dostrzegała jego spojrzenia, pełne zachwyty i fascynacji. Miała wrażenie, że bardzo mu się podoba, ale w ślad za tym nie poszły żadne inne gesty poza uprzejmością.

Tego samego dnia zaprosiła do siebie przyjaciółki, które płonęły z ciekawości. Słuchały jej zwierzeń z zapartym tchem, nie przerywając ani na moment.

W końcu, obie — zarówno Agata, jak i Monika — poczuły się zawiedzione. Miały nadzieję na porywający romans z happy endem, tymczasem musiały przełknąć gorycz zaskakującego rozstania.

— No, wierzyć mi się nie chce — pierwsza zareagowała Monika. — Mając taką perspektywę... Czy on oczu nie ma?

— Zapewne stracił je wraz z Anną — dodała nieco złośliwie Agata, patrząc ze współczuciem na Justynę. — Serce mi się kroi na widok twojego cierpienia.

— Czy ja wiem? Cierpieniem bym tego nie nazwała, ale nie ukrywam, że jest mi przykro. Kiedy go w końcu odnalazłam po latach, niemal natychmiast go straciłam.

— Myślisz, że to koniec waszej znajomości? — nie dowierzała Monika.

— Raczej nie. Najprawdopodobniej pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi. W tym przekonaniu utwierdza mnie jego ciągle żywe zafascynowanie Anną. Żebyście słyszały, jak on o niej opowiadał. Z jaką iskrą w oczach. Kto dzisiaj potrafi tak kochać?

— No, ale mówiłaś, że na ciebie również patrzył z fascynacją, by nie powiedzieć z pożądaniem — nie dawała za wygraną Monika. — Przecież to musi coś znaczyć.

— A może mi się tylko wydawało? Sama już nie wiem. Fakty świadczą o czym innym.

Od spotkania z Marcinem upłynęły dwa tygodnie. Przez ten czas nie zadzwonił ani razu. Nie zainteresował się, co u niej słychać. Justyna również nie dzwoniła do niego. Postanowiła uszanować jego wybór i nie narzucać mu się więcej.

Lekiem na jej cierpienie miała być praca, która pochłonęła ją niczym czarna dziura. W dzień zajęta była antykwariatem, a popołudniami domem. Mając na głowie tyle pięter i salonów, na brak zajęć nie mogła narzekać. Zwłaszcza że prace porządkowe przynosiły często nowe, zaskakujące odkrycia. Raz po raz znajdowała przedmioty, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Tak było niemal za każdym razem.

Justyna siedziała za biurkiem, uzupełniając zaległe wpisy w księdze inwentarzowej. W pewnej chwili usłyszała hałas, jaki towarzyszy wrzucanym do antykwariatu książkom. Odruchowo spojrzała w okienko pod sufitem, ale zobaczyła jedynie nogi odchodzącego w pośpiechu mężczyzny. Zajrzała do skrzynki, aby sprawdzić, co tym razem do niej trafiło. To był niewielki karton, zapakowany w kolorowy papier. Zainteresowała się nim natychmiast, ponieważ nigdy dotąd nie spotkała się z tego rodzaju „podrzutkiem”. Po otwarciu kartonu jej oczom ukazała się... wiązanka polnych chabrów. Były na tyle świeże, że poczuła ich specyficzną delikatną woń. Uśmiechnęła się do siebie, a chwilę później miała ochotę krzyczeć z radości.



Szybko wybiegła na ulicę. Jednak ani z jednej, ani z drugiej strony nie było nikogo. Stała na chodniku przez chwilę w nadziei, że sprawca tej zaskakującej niespodzianki wyjdzie z ukrycia.

I doczekała się. Z pobliskiej bramy wyjrzał ten, na którego tak bardzo czekała. Wolnym krokiem ruszył w jej kierunku. To był Marcin, jak zawsze przystojny, męski, a przy tym uwodzicielski. Zbliżył się do niej z pogodnym uśmiechem na twarzy.

— Witaj, Justyno. Nie gniewasz się na mnie? — mówił ściszym, delikatnym głosem. — Przepraszam, że tak długo milczałem. Musiałem sobie to wszystko poukładać.

— Czekałam na ciebie cały wiek — odpowiedziała szeptem, a oczy wypełniły się jej łzami, których nadmiar zaczął spływać po policzkach. — Najważniejsze, że jesteś... — po czym wtuliła się w jego ramiona. Stali tak jakiś czas, ciesząc się wzajemną bliskością. — Na długo przyjechałeś? — zapytała nieśmiało, nie odrywając się od niego, jakby się bała, że go znowu straci.

— A co powiesz, jeśli na zawsze?